

ALEKSANDER DUMAS
(OJCIEC)

CZARNY TULIPAN

POWIEŚĆ



WARSZAWA
NAKŁADEM BIBLIOTEKI RODZINNEJ
1928

K 71364
862 3131

D-95/5499



10.10.

3,00 zł

ROZDZIAŁ I

WDZIĘCZNOŚĆ LUDU

Dnia 20 sierpnia 1672 miasto Haga miało wygląd tak wspaniały, ożywiony i czysty, iż każdy dzień w nim spędzony wydaje się świątecznym, ta Haga z parkiem cienistym, zarosłym drzewami pochylającemi się nad domami gotyckimi, ze zwierciadlanemi kanałami, w których się odbijają dzwonnice z kopułami wyglądu oryentalnego, ta stolica siedmiu prowincyj zjednoczonych, była przepelniona tłumami obywateli, cisnącymi się, dyszącymi niespokojnymi, którzy dążyli z nożami za pasem, z muszkietami na ramieniu lub z pałkami, w kierunku Buitetnhof, więzienia warownego, którego okna zakratowane do dni naszych widzieć się dają i gdzie od czasu obwinięcia o zabójstwo przez chirurga Tyckelaera, osadzony był Korneliusz de Witt brat wielkiego Pensjonarza Holandji.

Gdyby historia tej epoki, a mianowicie tego roku, w którym rozpoczynamy naszą powieść, nie była ściśle związaną z dwoma imionami, które przytoczyliśmy, to być może, że ustęp objaśniający poniższy, wydawałby się zbytecznym; lecz uprzedzamy przedewszystkiem czytelnika, że to jest koniecznem również dla dokładnego zrozumienia treści powieści, jak i dla zgłębienia znakomitego wypadku politycznego obejmującego nierozdzielnie całość naszego opowiadania.

Korneliusz de Witt Ruart z Pulten, to jest inspektor tam i szluz tej prowincji, były burmistrz Dordrechtu, gdzie się urodził, deputowany do stanów Holandji, miał lat 49, gdy naród holenderski sprzykrzywszy sobie rząd rzeczypospolitej ustanowiony przez Jana de Witt Wielkiego Pensjonarza Holandji, upodobał sobie statuderat, po-

mimo wydanego edyktu zwanego wiecznym, mocą którego na zawsze miał być zniesionym. Rzadko się zdarza w podobnych przewrotach porządku rzeczy, ażeby opinja publiczna nie upatrywała uosobienia systemu i tak za obrębem rzeczypospolitej lud przedstawiał sobie dwie surowe postacie braci Wittów, tych Rzymian Holandji, lekceważących pochlebiać skłonnościom narodowym, przyjaciół swobód w ścisłych granicach porządku i pomyślności umiarkowanej; równie jak za obrębem statuderatu widział poważnego i roztropnego młodego Wilhelma Oranji, którego współcześnie nazwali małomównym i który to przydomek potomność zachowała.

Bracia Wittowie starali się zachować dobre porozumienie z Ludwikiem XIV, którego wpływ moralny na Europę umieli ocenić, a nadto uczuli przewagę materjalną w czasie tej cudownej kampanji Reńskiej, wstawionej przez bohatera romansu zwanego hrabią de Guiche i opiewanej przez Boala; kampanji, która w przeciągu trzech miesięcy zniweczyła potęgę stanów zjednoczonych.

Ludwik XIV był od dawna nieprzyjacielem holendrów, którzy się z niego naigrywali i znieważali, przyznać wprawdzie należy przez pośrednictwo francuzów zbiegłych do Holandji. Duma narodowa nadawała nazwę Mitrydata Rzeczypospolitej. Tak więc zjednoczyła się pgdwójna niemawieść przeciw Wittom.

Ten wódz, gotowy mierzyć się z Ludwikiem XIV, którego przyszłość wydawała się i urzeczywistniła olbrzymią, był Wilhelm książę Oranji, syn Wilhelma VI i wnuk z Henryki Stuart Karola I króla angielskiego, to dziecię, o którym wspomnieliśmy, że cień jego spostrzegano za statuderatem. Ten młodzieniec miał lat 22 w 1672 r. Jan de Witt był nauczycielem. Pomimo przywiązania, jakie miał do swego wychowawca, uważając korzystnem dla dobra powszechnego, wyjednał edykt wieczny pozbawiający go nadziei statuderatu. Lecz Opatrzność odrzuciła zarozumiałość ludzką, która tworzy i niweczy władze ziemskie bez Jej pośrednictwa; przez zmienność holendrów i obawę wzbudzoną przez Ludwika XIV, zniewoliła Wielkiego Pensjonarza, że zniósł wieczny edykt przywracając statuderat dla Wilhelma Oranji, którego powołała do celów ukrytych, dotąd w tajemniczych otchłaniach przyszłości pogrążonych.

Wielki Pensjonarz uczynił zadość żądaniom swych ziomków, lecz Korneljusz okazał się uporczywszym i pomimo pogroźek oranżystów, którzy trzymali go w oblężeniu w Dordrechcie, odmówił podpisać akt przywracający statuderat.

Nakoniec na prośby żony zalanej łzami podpisał, dodając przy umieszczeniu swego nazwiska dwie zgłoski V. C. (vi coactus), co oznaczało, zmuszony przemocą. Cudem prawie ocalał tego dnia przed razami swych nieprzyjaciół. Co się tyczy Jana de Witt, jego przyzwolenie lubo było rychlejsze i bez ograniczeń, jednakże nie zabezpieczyło go od prześladowań. W kilka dni potem, zamierzano go zamordować. Pomimo kilku razów możem zadanych, pozostał przy życiu.

Oranżyści uważając, że do spełnienia swych zamiarów dwaj bracia będą im zawsze na zawadzie postanowili zmienić taktykę dla zgładzenia ich ze świata; spróbowali zatem innej broni, gdy ich sztylet zawiódł, to jest użyli potwarzy Często się zdarza, że w chwili stanowczej znajdzie się mąż wiedziony ręką Stwórcy, wielki człowiek do wykonania wielkiego czynu i dlatego, gdy się trafi to zjednoczenie Boskie, historia zapisuje imię tego wybrańca i podaje uwielbieniu potomności.

Lecz gdy zły duch miesza się do spraw ludzkich dla zguby jednej osoby lub przewrotu w społeczeństwie, rzadko kiedy nie znajdzie się natychmiast pod jego ręką jaki nikczemnik, któremu dostatecznem jest jedno słowo, ażeby go użył według swego celu.

Tym nikczemnikiem był Tycklear, jak już nadmieniliśmy, był to chirurg z powołania.

Zeznał on, że Korneljusz de Witt, miotany rozpaczą, jak tego dowiódł przez swoją apostylę z powodu zniesienia wiecznego edyktu i pałający nienawiścią przeciw Wilhelmowi Oranji, ugodził mordercę dla oswobodzenia Holandji od nowego Statudera, i że tym zabójcą miał być on, Tycklear, lecz dręczony wyrzutami sumienia na samo wspomnienie zbrodni, do której go chciano nakłonić, przekłada raczej uczynić wyznanie zbrodni, jak ją spełnić. Teraz osądzmy jakie wrażenie musiało to sprawić na Oranżystach. Prokurator fiskalny kazał uwięzić Korneljusza 16 sierpnia 1672; Ruart z Pulten szlachetny brat Jana de Witt, osadzony w Buitenhof dręczony był na tor-

turze przygotowaczej jak najnikczemniejszy zbrodzień, dla wybadania o mniemanym spisku przeciw Wilhelmowi.

Lecz Korneljusz obdarzony był nie tylko wzniosłym umysłem, lecz i mężnym sercem. Był on z tego rodzaju ludzi, którzy przejęci wiarą polityczną podobnie jak ich przodkowie religijną, uśmiechali się na widok katuszy; jakóż gdy go wzięto na tortury, powtarzał donośnym głosem zachowując miarę wierszy, pierwszą strofę ody *Justum et tonacem Horacjusza*; nie przyznał się do niczego i znużył nie tylko siłę, lecz i fanatyzm swych katów.

Sędziowe pomimo tego uwolnili Tyckleara od wszelkiego zarzutu współnictwa, wydawszy wyrok przeciw Korneljuszowi skazujący go na utratę praw i godności, na kosztą procesu i wieczne wygnanie z rzeczypospolitej.

Było to już żadnem zadowoleniem dla ludu, którego dobru stale się poświęcał Korneljusz de Witt, jednakże jak się przekonano, nie było to dostatecznem.

Ateńczycy pozostawili wprawdzie piękny przykład niewdzięczności, lecz holendrzy ich przewyższyli w tym względzie. Pierwsi wygnali tylko Arystydesa.

Jan de Witt dowiedziawszy się o obwinieniu brata, pospieszył złożyć dostojeństwo Wielkiego Pensjonarza. Ten również godnie był wynagrodzony za swoje poświęcenia. Pozostali mu nieprzyjaciele i rany, jedyne korzyści osiągnięte, które bywają udziałem ludzi zacnych, poświęcających się bezinteresownie dobru ogólnemu.

W tymże czasie Wilhelm Oranji oczekiwał, nie przyspieszając wypadku przez środki zależne od niego, ażeby lud, którego był bożyszczem, utworował mu wstęp do stateratu, usuwając dwóch braci Wittów.

Tak więc 20 sierpnia jak na wstępie tego rozdziału nadmieniliśmy, prawie wszyscy mieszkańcy biegli do Buitenhof dla przypatrzenia się wyjściu z więzienia Kornela de Witt udającego się na wygnanie i jakie znaki pozostawiły fortuny na człowieku, który tak dokładnie pamiętał wiersze Horacjusza. Należy tu dodać, że te tłumy gromadzące się przed Buitenhof nie zebrały się jedynie w niewinnym celu zaspokojenia ciekawości, było bowiem wielu pomiędzy ich zastępami, którzy zamierzali mieć czynny udział, czyli raczej uważając niedostatecznie spełnione zadanie, postanowili je dokonać.

Rozumie się, że to byli niezadowoleni z kata.

Byli wprawdzie i tacy, którzy przybywali z zamiarami mniej nieprzyjaznymi. Dla tych bowiem było to poprostu widowisko zawsze powabne dla motłochu, pochlebiające jego instynktownej dumie, napawać się widokiem ponizenia tego, który tak długo stał wyżej od innych. Ten Korneliusz de Witt, ten człowiek nieustraszony, mówiono, czyliż nie był więziony, dręczony torturami? a więc ujrzymy go bladym, cierpiącym, zawstydzonym? Nie byłóż to pięknym triumfem dla mieszczan bez porównania zawistniejszych od pospólstwa, gdyż każdy prawie obywatel Hagi nie omieszkał spieszyć na to widowisko.

A przytem, szepłali między sobą agitatorowie oranżyści z ręcznie wciskający się pomiędzy gromady, tusząc sobie, że potrafią nimi kierować jak narzędziem ostrem i silnem zarazem, czyliż nie zdarzy się sposobność rzucania błotem, a nawet kamieniami na tego Ruarta z Pulten, który niedość, że podpisał na akcie przywracającym statuderat vi coactus, lecz nadto targnął się na życie Wilhelma Oranji.

Oprócz tego dodawali zawzięci nieprzyjaciele Francji, że gdyby obywatele Hagi byli dobrze myślący i odważni, nie dozwoliliby udać się na wygnanie Kornelemu Witt, gdyż bezwątpienia zawiąże intrygi z Francją i będzie żyć za złoto margrabiego Luvois wraz z drugim zbrodniarzem bratem Janem. W podobnych usposobieniach widzowie nie idą lecz biegną. Dlatego też mieszkańcy Hagi pospieszali tak szybko do Buitenhof.

Pomiędzy najgorliwszymi, dążył z wściekłością w sercu lecz bez zamiaru w umyśle zacny Tycklaer, oprowadzany przez oranżystów jako bohater nieskażonej poczciwości, zaszczyt narodu i wzór miłości chrześcijańskiej.

Ten odważny milczemnik opowiadał, przyozdabiając kwiatami swego rozumu i wszelkimi środkami swej wyobraźni, usiłowania, które Korneliusz de Witt czynił dla przewyciężenia jego cnoty, wyliczał znakomite sumy, które mu obiecywano i opisywał piekielny podstęp, mający ułatwić jemu środki bezkarnego zamordowania Wilhelma Oranji.

Słowa jego z chciwością pochłaniane przez pospólstwo obudzały zapał dla statudera, wznecając zarazem wściekłe przekleństwa przeciw braciom Wittom.

Nakoniec motłoch doszedł do tego, że przeklinał tych niesprawiedliwych sędziów, którzy wydali wyrok dozwa-

lający oddalić się zdrowym i wolnym podobnemu zbrodniarzowi jakim był Korneliusz.

Przytem podburzyciele powtarzali zcicha:

— On odjedzie!... umknie nam.

Na co inni odpowiadali:

— Okręt oczekuje na niego w Schewningu, okręt francuski, Tycklear jego widział.

Pocziwy Tycklear, mężny Tycklear, wołano chórem.

Oprócz tego — odezwał się jeden głos, że i drugi zdrajca, brat jego Jan, podobnież chce nam umknąć.

I obaj złoczyńcy będą tracić we Francji nasze pieniądze, pieniądze za nasze okręty, arsenały, warsztaty sprzedane Ludwikowi XIV.

— Nie dajmy im wyjechać! — wołał jeden z najzagorzalszych.

— Do więzienia, do więzienia — powtarzano. I na te krzyki, mieszczanie biegli z większym zapalem, nabite muszkiety i siekiery błyskały, oczy się zaiskrzyły.

Pomimo tego nie dopuszczono się dotąd żadnego gwałtu i oddział jazdy strzegący przystępów do Buitenhof zachowywał milczącą obojętność, daleko groźniejszą przez umiarkowanie od tych tłumów mieszczan wrzeszczących, wzburzonych, ziorzczących; oddział ten uszykowany we wzorowym porządku, baczny tylko na skinienie swego dowódcy hrabiego de Tilly, kapitana jazdy haskiej, który trzymał w ręku gołą szpadę opuszczoną ku strzemieniu.

Ten hufiec, jedyny szaniec broniący przystępu do więzienia, wstrzymywał przez swoją postawę wojowniczą nie tylko tłumy pospólstwa rozprężone i hałaśliwe, lecz nadto oddział gwardji miejskiej uszykowany wprost Buitenhofu dla zachowania porządku wspólnie z wojskiem, dający przykład burzycielom przez okrzyki:

— Niech żyje Oranji. Precz ze zdrajcami!

Obecność Tillego i jego oddziału była z początku hamulcem skutecznym dla żołnierzy miejskich; lecz wkrótce, stopniowo podnieceni własnymi okrzykami i nie pojmując, ażeby odwaga mogła być udziałem milczenia, wnieśli przeto, iż jeźdźcy strwożeni nie stawiają im oporu i postąpili ku więzieniu wraz z pospólstwem.

Wtedy hrabia de Tilly wyruszył sam naprzeciw nim i podnosząc szpadę, zmarszczywszy czoło odzywa się:

Mości panowie gwardziści! co znaczy ten pochód?
w jakim celu?

Mieszczanie szczękając muszkietami powtarzali okrzyki:

— Niech żyje Oranja. omierć zdrajcom!

— Niech żyje Oranja — mówi Tilly — i ja to powtórzę,
lecz wolałbym, ażebym to usłyszał od ludzi w dobrym
usposobieniu będących. Śmierć zdrajcom i na to się zga-
dzam, lecz to się ograniczyć powinno do życzeń. Krzycz-
cie tak długo dopóki się wam spodoba, jestem tu dla za-
pobieżenia tego i zapobiegnę.

Poczem odwróciwszy się do żołnierzy, zokomenderował:

— Do ataku broń!

Żołnierze wykonali rozkaz z taką szybkością, że oby-
watele i lud natychmiast rozpoczęli odwrót z pośpiechem,
który wywołał uśmiech na twarzy oficera.

— Bądźcie spokojni — odzywa się tonem właściwym
wojskowemu, — moi żołnierze nie dadzą jednego wy-
strzału, lecz z waszej strony wymagam, ażebyście nie po-
stąpili ani kroku do więzienia.

— Czy wiesz panie oficerze, że i my mamy muszkiety—
mówi dowódca gwardji obywatelskiej.

— Widzę to dobrze — odpowiada de Tilly, — gdyż mi-
gacie nimi bezustannie przed moimi oczyma; lecz chciej-
cie uważać, że i my mamy pistolety, które niosą celnie na
50 kroków, a wy jesteście załdewie na 25.

— Śmierć zdrajcom — zawołali gwardziści z rozjątrze-
niem.

— Ba! wy zawsze jedną piosenkę śpiewacie, to jest nu-
żącym.

Poczem zajął stanowisko na czele swego oddziału, gdy
tymczasem tłumy się gromadziły około Buitenhof.

Pomimo tego, pospólstwo wzburzone, chciwe krwi je-
dnej ze swych ofiar, nie dostrzegło, że druga spiesząca
naprzeciw swemu przeznaczeniu, przejeżdżała o sto kro-
ków za oddziałem jazdy, udając się do Buitenhof.

Był to Jan de Witt, który wysiadł z karety ze służącym
i przechodził spokojnie podwórze więzienne.

Zbliżywszy się do dozorca więzienia mówi:

— Dzień dobry Gryfus, przychodzę do mego brata Kor-
nela, ażeby go odwieźć za miasto, gdyż jak ci wiadomo
skazany został na wygnanie.

Dozorca podobny do niedźwiedzia wyuczzonego otwierać

i zamykać drzwi więzienia, ukłonił się w milczeniu i wpuścił go do wnętrza budowli, zamknawszy za nim drzwi.

Uszedłszy kilkanaście kroków spotkał piękną dziewczycę osiemnastoletnią w ubiorze fryzyjskim, która mu się powabnie ukłoniła, potem wzięwszy ją pod brodę mówi:

— Dzień dobry zacna i piękna Rózo, jak się ma mój brat?

— Oh! pan Korneljusz — odpowiada dziewczica — jest zdrów i nie lękam się o to, aby mu się co złego stało, gdyż to już minęło.

— Czegóż się więc obawiasz piękne dziecię?

— Obawiam się tego co się stać może.

— Ah prawda — mówi p. de Witt — te wrzaski pospólstwa.

— Czyś pan słyszał?

— Rzeczywiście lud jest wzburzony, lecz spodziewam się, że gdy nas ujrzy być może, iż się uspokoi, gdyż zawsze staraliśmy się o jego dobro.

— Niestety, nie jest to dostatecznem dla niego, — szepnęła dziewczica oddalając się posłuszna nakazującemu znakowi danemu jej przez ojca.

— W istocie mówi do siebie Jan ta dziewczyna, która bezwątpienia i czytać nie umie wyrozumiała w kilku słowach dzieje świata.

I zawsze równie spokojny, lecz posępniejszy od chwili wejścia do więzienia, był Pensjonarz zbliżał się do komnaty brata swego

ROZDZIAŁ II

DWAJ BRACIA

Piękna Róża przepowiedziała, jak się zdaje rzeczywiście stan rzeczy, gdyż w tym czasie jak Jan de Witt wstępował na schody wiodące do więzienia swego brata, obywatele usiłowali wszelkimi sposobami oddalić Tillego z jego oddziałem.

Widząc to pospólstwo, oceniło zgodne zamiary swej milicji ze swojemi skłonnościami, wrzeszcząc z całej siły:

— Niech żyją mieszczanie!

Co się tyczy Tillego, równie roztropny jak stały, parlamentował z oddziałem gwardji obywatelskiej pod wpływem wymierzonych pistoletów swego szwadronu, tłumacząc im dokładnie, iż miał polecenie od stanów strzec więzienia i miejsc okolicznych.

— Dlaczego wydano ten rozkaz? dlaczego strzec więzienia? — wołali oranżyści.

— Otóż — odpowiedział de Tylly — zapytujecie mnie o to czego nie potrafię wam wytłumaczyć. Powiedziano mi — pilnuj i ja pilnuję. Wy moi panowie, którzy jesteście prawie wojskowymi, znać powinniście co to jest rozkaz.

— Lecz ten rozkaz został wydany, ażeby ułatwić ucieczkę zdrajcom.

— Być może ponieważ zdrajcy są skazani na wygnanie — odpowiada Tilly.

— Któż wydał ten rozkaz?

— Stany, już to wam mówiłem.

— Stany zdradzają?

— To mi jest niewiadome.

— I ty podobnież jesteś zdrajcą.

— Ja?

— Tak, ty.

— No, no. Posłuchajcie mnie moi panowie: kogóż mógłbym zdradzić? Stany? Nie mogę ich zdradzić, ponieważ będąc na ich żołdzie, wykonuję ściśle ich rozkazy.

Następnie gdy hrabia udowodnił dokładnie, iż miał niezaprzeczoną słusność, wrzawa powiększyła się wraz z pogroźkami, na które hrabia odpowiadał z umiarkowaniem:

— Moi panowie współobywatele! błagam was nie nabijajcie muszkietów, bo gdyby przypadkiem, który wystrzelił i ranił mojego żołnierza, wtedy położylibyśmy na placu przynajmniej 200 ludzi, co dla nas byłoby bardzo dotkliwem, a dla was jeszcze bardziej, gdyż zdaje mi się, że z obu stron nie mamy przyczyny życzyć sobie czegoś podobnego.

— Gdybyście się tego dopuścili i my dalibyśmy ognia— zawołali mieszczanie.

— Przyznaję to, lecz chociażbyście nas wszystkich pozabijali, dlatego nie przywrócilibyście do życia tych, którzyby padli od naszych strzałów.

— Ustąpnijcie nam miejsca, a uczynisz zadość obowiązkowi dobrego obywatela.

— Naprzód nie jestem obywatelem — mówi Tilly — lecz oficerem, co jest zupełnie odmiennem; przytem nie jestem holendrem, lecz francuzem, co jeszcze większą stanowi różnicę. Nie uznaję innej władzy nad stany, które mi za to płacą, przynieście mi rozkaz stanów, ażebym ustąpił, a natychmiast zakomenderuję pół obrotu w prawo, gdyż bardzo mi się tu nudzi.

— Tak, tak! — zawołało ze sto głosów, co powtórzyło natychmiast pięćset innych. — Dalej na ratusz, idźmy do deputowanych, dalej, dalej.

— Otóż dobrze — pomrukuje Tilly, spoglądając na odalających się zagorzańców, — idźcie, a zobaczymy czy wam dadzą zezwolenie, idźcie przyjaciele.

Zacny oficer liczył na cześć magistratu, który ze swej strony liczył na jego honor żołnierski.

— Zdaje mi się — mówi do ucha Tillego jego porucznik, — że deputowani powinni odrzucić ich żądanie, lecz zarazem należałoby nam przysłać posiłki, to byłoby niezłe.

W tymże czasie, Jan de Witt, którego opuściliśmy

wstępującego na schody po rozmowie z Gryfusem i jego córką. Różą, stanął przed drzwiami izby, w której leżał na materacu brat jego Korneljusz, który był wzięty na tortury przygotowane.

Wyrok wygnania zapadł przed rozkazem wydania go na tortury nadzwyczajne.

Korneljusz rozciągnięty na łożu odpoczywał nareszcie po trzechdniowych katuszach mając ręce i stawy wyłamane; pomimo tego nie przyznał się do zbrodni, której zamiar mu przypisywano, oczekując śmierci dowiedział się nakoniec, że skazany został na wygnanie.

Budowy ciała energicznej, ożywionej duszą wzniosłą mógłby zawstydić swych nieprzyjaciół, gdyby ci przeniknęli pośród głębokiej ciemności więzienia do jego osoby; wtedy ujrzeliby na jego wybladłych policzkach uśmiech męczennika zapominającego o znikomościach ziemskich od chwili, gdy dostrzegł okazałości niebios.

Korneljusz odzyskał siły wskutek postanowienia silnej woli raczej jak środków pomocniczych i zastanawiał się ile czasu zatrzymywać go będą formy prawne w więzieniu.

W tejsze chwile wrzaski milicji i ludu odnoszące się do obu braci, zagrażały kapitanowi de Tilly, który osłaniał ich swoją opieką. Odgłos tej wrzawy odbijający się od murów więziennych podobnie jak przypływ morza, doszedł do uszu więźnia.

Lecz jakkolwiek groźnym wydawał się ten odgłos, Korneljusz był na to obojętnym i nie podniósł się do okna zakratowanego, przez które przenikało światło i dochodziła wrzawa.

Cierpienia jego tak dalece przejęły jego jestestwo, że uważał je za swój stan normalny. Nakoniec doznawał rozkoszy, czując, że dusza jego i władze umysłowe bliskimi są odłączenia od cierpień cielesnych i wydawało mu się, że dusza i rozum pozbywszy się materjalności, unosiły się za jej sferą, podobnie jak się wzbija w powietrzu płomień ogniska prawie wygasłego, który go opuszcza dążąc do nieba.

Pomyślał o swym bracie.

Bez wątpienia zbliżanie się jego wywarło ten wpływ tajemniczy, który w późniejszym czasie wytłumaczyć można by siłą magnetyzmu. W chwili, gdy Jan był obecnym w myśli Korneljusa, gdy wymawiał imię jego, drzwi się

otworzyły. Jan wchodzi i spiesznym krokiem zbliża się do łoża więźnia, który wyciągnął ręce pokaleczone, obwinięte bandażami do swego czcigodnego brata, którego przewyższył nie tak w zasługach położonych dla Holandji, jak raczej w nienawiści, którą pozyskał od współziomków. Jan pocałował brata z rozrzewnieniem i złożył zwolna jego ręce na materacu.

— Korneljuszu, drogi bracie, ty jesteś bardzo cierpiącym.

— Już nic nie czuję, gdy ciebie widzę.

— Oh! mój kochany Korneljuszu, jeżeli tak jest, to ja przeciwnie widząc ciebie w tym stanie, cierpię za nas obu.

— I ja podobnie, gdym myślał o tobie pośród katuszy, nie uskarżałem się wcale, raz tylko wymówiłem te słowa: biedny mój brat, lecz otóż jesteś, zapomnijmy o wszystkim. — Czy po mnie przybyłeś?

— Tak.

— Mam się dobrze, pomóż mi tylko powstać, a ujrysz jak chodzę.

— Nie będziesz potrzebował iść daleko, gdyż moja karetka stoi stąd niedaleko, za oddziałem Tillego.

— Tilly stoi tu ze swoimi żołnierzami?

— Z jakiej przyczyny?

— Bo mówił Wielki Pensjonarz z posepnym uśmiechem jemu właściwym, — mieszkańcy Hagi objawili żądzę ciekawości widzenia twego odjazdu, i z tego powodu lękano się zaburzenia.

— Zaburzenia? — powtórzył Korneljusz wpatrując się w oblicze pomieszanego brata — zaburzenia?

— Tak, Korneljuszu.

— A więc ta wrzawa, którą słyszałem nie była urojeniem? — mówił więzień do siebie.

Poczem odwracając się do brata:

— To tedy gromadzą się wokoło Buitenhof... nieprawdaż?

— Tak, mój bracie.

— Lecz jak mogłeś się tu dostać?

— I cóż...

— I przepuścili ciebie swobodnie?

— Wiesz dobrze, iż nie jesteśmy lubiani Korneljuszu — dodaje Wielki Pensjonarz z melancholijną goryczą. — Udałem się więc przez mniej ludne ulice.

— Więc się kryłeś Janie?

— Pragnąłem dostać się do ciebie niebawem i czyniłem co mogłem, jak to się zdarza na morzu i w polityce, gdy wiatr jest nam przeciwny, dążyłem wilczym śladem.

W tej chwili wrzawa uliczna dała się słyszeć w więzieniu. Tilly spierał się z milicją miejską.

— Oh, oh, Janie — mówi Korneljusz — wiem, że jesteś zręcznym sternikiem, lecz nie mam nadziei, ażebyś wyprowadził brata twego z Buitenhof pośród motłochu tak szczęśliwie, jak oswobodziłeś flotę admirała Trompa z Antwerpji.

— Za pomocą Boską, Korneljuszu, spróbujemy; lecz naprzód zapytam ciebie...

— O co?

Hałas znów dał się słyszeć.

— Oh, oh, — mówi Korneljusz — jakże ci ludzie są rozjątrzeni. Czy przeciw mnie? lub przeciw tobie?

— Zdaje mi się, że przeciw nam obu... chciałem ci powiedzieć mój bracie, że oranżyści najbardziej nas o to obwiniają, żeśmy weszli w układy z Francją.

— Zaślepięcy!

— Przyznaję to, lecz z tem wszystkiem jest to naszym potępieniem.

— Lecz gdyby te układy przyszły do skutku, oszczędziłyby porażek pod Rens d'Orsay, Weselą i Reinbergiem; francuzi nie przeszliby Renu i Holandja mogłaby się uważać niezwyciężoną pośród swych bagien i kanałów.

— Wszystko to jest prawdą mój bracie, lecz wiedzieć należy i to jest niezapreczenie, iż gdyby znaleziono w tej chwili przy nas korespondencję naszą z panem de Louvois pomimo, że jestem dobrym sternikiem, nie potrafiłbym ocalić wąskiego statku, który ma unieść Wittów z Holandji. Ta korespondencja zgubiłaby nas będąc odkrytą oranżystom. Spodziewam się zatem Korneljuszu, żeś ją spalił wyjeżdżając z Dordrechtu.

— Mój bracie — odpowiada Korneljusz — korespondencja twoja z margrabią Louvois najdowodniej przekonuje, żeś w ostatnich czasach okazał się najznakomitszym, najszlachetniejszym obywatelem stanów zjednoczonych. Cenię sławę mego kraju; lecz również i twoją mój bracie i dlatego nie spaliłem tych pism.

— Jeżeli tak, to wkrótce zakończymy nasze doczesne

życie — mówi spokojnie były Wielki Pensjonarz zbliżając się do okna.

— Nie, bynajmniej, Janie, gdyż ocalimy nasze ciało i wskresimy naszą wziętość u narodu.

— Co uczyniłeś z temi papierami?

— Powierzyłem je Korneljuszowi van Baerle, mojemu chrzestnemu synowi, którego znasz, i który mieszka w Dordrechcie.

— Biedny młodzian! drogie i niewinne stworzenie, ten uczony, rzecz osobliwa! posiadający tyle wiadomości i poświęcony wyłącznie pielęgnowaniu kwiatów witających Boga i Boga stwórcy kwiatów. Złożyłeś więc w jego ręce ten zakład śmierci, a więc jest zgubiony biedny Korneljusz.

— Zgubiony!

— Tak, gdyż okaże się mężnym lub słabym. Jeżeli jest mężnym (bo lubo jest obcym w naszej sprawie, chociaż żyje na ustroniu w Dordrechcie, lubo zwykle bywa roz-targniony, przecież dowie się kiedyś co się z nami stało) będzie się nami zaszczycał, jeżeli jest słabym będzie się obawiał, że miał z nami stosunki; jeżeli jest mężnym zgłosi tajemnicę, jeżeli zaś słabym, podejda go zręcznie. W obu wypadkach Korneljusz ulegnie podobnemu losowi jak my. Tak więc, mój bracie, uciekajmy co prędzej, jeżeli jest czas jeszcze. — Korneljusz podniósł się na łożu i ujawszy rękę brata, który zadrżał dotknawszy bandaży.

— Czyliż nie znam mego syna chrzestnego — mówi — czyliż nie przywykłem czytać w głębi myśli van Baerla. Zapytujesz mnie czy jest mężnym lub słabym? Nie jest ani jednym, ani drugim, lecz cóż stąd? Lecz najgłówniejsza jest, że zachowa tajemnicę, gdyż nawet jej nie zna.

Jan odwrócił się zdziwiony.

— Oh! — mówi Korneljusz ze słodkim uśmiechem — Ruart z Pulten jest politykiem ze szkoły Jana, powtarzam ci, że Korneljuszowi nie jest wiadoma osnowa i znaczenie depozytu, który mu powierzyłem.

— A więc należy pospieszyć — zawołał Jan — ponieważ mamy czas jeszcze, wydać mu polecenie, ażeby papiery spalił.

— Przez kogo?

— Przez mego sługę Kraeke, który miał nam towarzy-

zyć konno, i który tu przyszedł, ażeby ci pomóc zejść ze schodów.

— Zastanów się Janie, czy należy zniszczyć te chlubne dowody?

— Zastanowiłem się przedewszystkiem, mój Korneljuszu, że potrzeba, ażeby bracia Wittowie zachowali życie dla ocalenia swej sławy. Skoro zginiemy, któż nas bronić będzie? Któż nas zrozumie?

— Sądzisz więc, żeby nas zamordowano, gdyby wykryli te papiery?

Jan nic nie odpowiedziawszy wyciągnął rękę w kierunku Buitenhof, skąd w tej chwili dochodziły dzięki okrzyki.

— Tak, tak, słyszę tę wrzawę, lecz przecież o co im idzie?

Jan otworzył okno.

— Śmierć zdrajcom — wyło pospólstwo.

— Czy słyszysz teraz Korneljuszu?

— Zdrajcy... to my! — mówi więzień wznosząc oczy do nieba wzruszając ramionami.

— Tak to my — powtórzył Jan.

— Gdzie Kraeke?

— Przy drzwiach jak mi się zdaje.

— Każ mu wejść.

Jan drzwi otworzył, wierny sługa oczekiwał przy progu.

— Zbliż się Kraeke i zachowaj w pamięci co ci brat poleci.

— Oh to nie jest dostatecznem Janie; muszę na nie-szczęście napisać.

— Z powodu?

— Ponieważ van Baerle nie odda tych papierów i nie spali ich bez mego wyraźnego zlecenia.

— Lecz czy będziesz mógł napisać, drogi przyjacielu— mówi Jan spoglądając na opalone i jątrzące się ręce brata.

— Oh! gdybym miał pióro i atrament przekonałbyś się.

— Otóż ołówek.

— Czy masz papier, gdyż nic mi tu nie zostawiono.

— Wydrzyj kartę z tej biblii.

— Masz słuszność.

— Lecz twoje pismo będzie nieczytelne.

— Co mówisz — zawołał Korneljusz spoglądając na brata. — Te palce, które się oparły wpływowi ognia, ta woła, która poskromiła bóleści, zjednoczą się we wspól-

nem usiłowaniu i bądź spokojny mój bracie, pismo moje nie będzie drżące..

Korneljusz wzięwszy ołówek napisał.

Wtedy dostrzec było można sączącą się krew z palca na obandażowanie.

Pot spływał ze skroni Wielkiego Pensjonarza.

Korneljusz pisał:

Drogi Synu!

„Spal papiery, które ci powierzyłem, spal je nie spojrzawszy na nie, nawet nie odpieczętuj, niech treść ich będzie ci nieznaną. Tajemnice podobne tym, które one zawierają, mogą się stać przyczyną śmierci. Spal je, a ocalisz Jana i Korneljusza.

Bywaj zdrów i kochaj mnie zawsze

20 sierpnia 1672.

Korneljusz de Witt.

Jan ze łzami w oczach, otarł kroplę szlachetnej krwi padłej na papier, poczem oddał go Krackemu przy stosownem zleceniu, powrócił do Korneljusza, który zbliadł i zdawał się bliskim omdlenia.

— Teraz, mówi — gdy poczciwy Kraeke da znak ze swej piszczałki rotmańskiej, będzie to znakiem, iż znajduje się na drugim brzegu kanału... poczem i my odjedziemy.

Pięć minut zaledwie upłynęło, gdy się dał słyszeć przeciągły świst marynarski, który przeniknął szczyty posępnych wiązów i był donośniejszy od wrzawy panującej na Buitenhof.

Jan podniósł ręce z dziękczynnem gestem ku niebu.

— A teraz jedźmy Korneljuszu.

ROZDZIAŁ III

WYCHOWANIEC JANA DE WITTA

W tym czasie, gdy wrzaski pospólstwa zgromadzonego na Buitenhof dochodziły coraz w groźniejszym sposobie do obu braci, gdy Jan de Witt w skutku tego naglił na odjazd, deputacja obywateli została wysłaną, jak nadmieniliśmy do ratusza z żądaniem oddalenia jazdy Tillego.

Od Buitenhof do Hoogstraat było dość blisko, dlatego można było dostrzec pewnego człowieka, który od początku opisywanej sceny, z ciekawością śledził wszystkie jej szczegóły i nakoniec udał się wraz z innymi, raczej postępował za orszakiem deputacji zmierzającej do ratusza, dla powzięcia prędzej wiadomości o wypadku poselstwa.

Ten nieznamy był młodzieńcem od 22 do 23 lat liczącym, wątłej budowy wnosząc z powierzchowności. Zakrywał (mając bezwątpienia powody ku temu) swoją bladą twarz, podłużną chustką płócienną, którą często ocierał pot z czoła lub usta palące.

Oko niewzruszone, podobne jak u ptaków drapieżnych, nos orli i długi, usta proste i wąskie w pół otwarte, raczej rozdarte jak otwór rany; stanowiły cechy, które byłyby dostarczyły Lawaterowi, (gdyby żył) w tej epoce, przedmiotu do spostrzeżeń fizjologicznych, i które nie wypadłyby korzystnie dla młodzieńca.

Pomiędzy postacią wojownika i rozbójnika morskiego mówili starożytni, zachodzi taka różnica, jak pomiędzy orłem a jastrzębiem.

Pogodne lub posępne spojrzenie.

Tak więc ta fizjonomja chorobliwa, to ciało wątłe i męczące zarody cierpień, krok trwożliwy, którym postę-

pował z Buitenhof do Hoogstraat za tłumami wyjącego pospólstwa, były to cechy odznaczające podejrzliwego pana lub niespokojnego złooczyńcy; i być może gdyby był dostrzeżony przez urzędnika policyjnego, tenby uważał w nim ostatniego.

Przytem był ubrany skromnie i nie widać było przy nim żadnej broni, ramię jego było szczupłe, lecz nerwowe, ręka sucha lecz biała, arystokratyczna, opierała się o ramię oficera trzymającego dłonią rękojeść szpady.

Stanąwszy na placu Hoogstratu, człowiek z bladą twarzą, posunął swego towarzysza za obszerną okiennicę w pół otwartą, sam zaś zwrócił wzrok na balkon ratusza.

Na krzyki, wściekłości otworzyło się okno Hoogstratu i ukazał się w nim człowiek pragnący przemówić do ludu.

— Kogo tam widzisz na balkonie? zapytuje młodzieniec oficera wskazując jedynie wzrokiem mówcę, który wydawał się bardzo wzruszonym i utrzymywał raczej równowagę nóg swoich, aniżeli opierał się o balustradę.

— Jest to deputowany Bowelt, odpowiada oficer.

— Co to za człowiek? czy go znasz?

— Jest to zacny człowiek, tak mi się przynajmniej wydawał.

Młodzieniec usłyszawszy podobne zdanie o Bowelcie, okazał poruszenie niezadowolonia tak widoczne, że oficer dostrzegłszy to pośpieszył dodać.

— Tak o nim mówią panie. Co się tyczy mnie, nie mogę tego potwierdzić nie znając osobiście Bowelta.

— Zacny człowiek... powtarza młodzieniec — w jakim rozumieniu można to uważać?

— Wasza Książęca Mość raczy mi przebaczyć, że nic więcej nadmienić nie mogę o człowieku, którego znam tylko z widzenia.

— W istocie — podszeptał młodzieniec, należy cierpliwie oczekiwać wypadku, bo jeżeli ten Bowelt jest rzeczywiście zacnym mężem, to będzie w wielkim kłopotcie, gdy usłyszy wymagania tych szaleńców.

To mówiąc przebierał palcami na plecach swego towarzysza podobnie jak na klawiszach fortepianu, co zdradzało jego wrzącą niecierpliwość źle ukrytą w pewnych chwilach, a szczególnie w obecnej, pod lodowatą postacią, którą przybrać usiłował.

W tymże czasie można było dosłyszeć głos maczelnika

deputacji zapytującego Bowelta, gdzie znajdują się jego towarzysze.

— Jużem wam oznajmił moi panowie, że oprócz mnie jest tylko p. Aspern; przytem nie mogę sam na siebie przyjąć odpowiedzialności.

— Chcemy wydania rozkazu... zawołało tysiące głosów. P. Bowelt usiłował mówić, lecz słowa jego nie były dosłyszane, można tylko było dostrzec poruszenia rąk jego znamionujące drażliwe położenie.

Widząc, że niepodobieństwem było, ażeby go słuchano, odwrócił się do okna otwartego i przywołał p. Aspern.

P. Aspern ukazał się na balkonie i został powitany okrzykami gwałtowniejszemi jak przed 10 minutami powitano p. Bowelt.

Pomimo tego, postanowił przemówić do ludu, lecz to było bezskutecznem, albowiem zamiast słuchania go, tłoczono się do bramy ratusza nie znając oporu ze strony straży.

— Teraz jak uważam — odzywa się młodzieniec obojętnie, gdy lud cisnął się przez główną bramę Hoogstratu — zdaje się, że rozprawy będą miały miejsce wewnątrz.

Pułkownik, chodźmy posłuchać tych narad.

— Nie radziłbym tego W. K. Mości.

— Z powodu?

— Gdyż pomiędzy deputowanymi są tacy, którzy z ła-twością mogliby go poznać.

— A wtedy obwinionoby mnie jako podżegacza. Masz słusność — mówi młodzieniec, którego lica zarumieniły się przez chwilę z powodu, iż okazał podobną niecierpliwosć — masz słusność, pozostajmy tutaj. Z tego miejsca będziemy widzieć wracającą deputację z rozkazem lub bez niego, a wtedy wyrzeczemy stanowczo czy p. Bowelt jest zacnym mężem.

— Lecz zdaje mi się, że W. K. Mość nie możesz przypuścić na chwilę, ażeby deputowani wydali rozkaz Tillemu opuszczenia stanowiska.

— Dlaczego?

— Gdyż podobny rozkaz byłby poprostu wydaniem wyroku śmierci na braci Wittów.

— Przekonamy się o tem — odpowiada obojętnie młodzieniec.

Oficer spojrzawszy na niego badawczo, lecz od niechcienia, zbladł jak ściana.

Ze stanowiska, które obrali, księżę i jego towarzyszy, słyszeli hałas i stąpania ludzi wstępujących na schody ratusza. Poczem szmer ten przenikał przez otwarte okna sali z balkonem, na którym ukazali się pp. Bowelt i Aspern i którzy zachowali tę przezorność, iż powrócili wewnątrz z obawy bezwątpienia, ażeby tłoczące się tłumy nie wyrzuciły ich za balustradę.

Poczem widać było cienie przesuwające się około tych okien.

Sala obrad napełniała się coraz bardziej.

Wtem, wrzawa ucichła, lecz wkrótce wybuchła z większą gwałtownością i doszła do tego stopnia, że starożytna budowla wstrząsła się w swojej posadzce.

W końcu potok odpływać zaczął przez galerje i schody do bramy pod sklepieniem, który pędził z gwałtownością trąby powietrznej.

Na czele pierwszej grupy leciał, raczej biegł człowiek straszliwie zmieniony wskutek radości.

Był to chirurg Tycklear.

— Mamy go! mamy! — wołał trzymając papier w podniesionej ręce.

— Uzyskali rozkaz! — szeptał zdumiony oficer.

— Teraz można stanowczo wyrzec o panu Bowelt, mówi młody, wątpieś czy pan Bowelt jest znacnym mężem lub nie. Zdaje się, że nie okazał się, ani jednym, ani drugim.

Poczem z matężonym wzrokiem przypatrywał się tłumom.

— Teraz udajmy się do Buitenhof, zdaje się, iż ujrzemy tam coś osobliwego.

Zgromadzenie ludu było niezmierne na placu i w pobliżu więzienia. Lecz jeźdźcy Tillego utrzymywali swój posterunek we wzorowym porządku.

Wkrótce hrabia dosłyszał szmer powiększający się za zbliżeniem napływu nowych mas, które przedstawiały się podobne do bałwanów wodospadu.

W tej chwili dostrzegł papier mgający w powietrzu, górujący nad ściśniętymi persiami i pośród połysku broni.

— Ha! mówi unosząc się na strzemionach i dotykając rękojeści szpady swego porucznika — zdaje się, że nikczemnicy uzyskali rozkaz.

— Niegodziwe łotry, zawołał porucznik.

W istocie był to rozkaz, który kompanja milicji miejskiej powitała z okrzykami radości i natychmiast ruszyła z miejsca z hałasem udając się naprzeciw jeźdźcom Tillego.

Lecz hrabia nie dozwolił im zbliżyć się zbyt cznie.

— Stać! stać! zdala od koni, albo zakomenderuję naprzód.

— Oto rozkaz! — odpowiedziały zuchwałe głosy.

Wziąwszy papier, z zadziwieniem spojrział na niego, poczem dodaje głośno:

— Ci co go podpisali, są prawdziwymi katami Kornela de Witta. Co się tyczy mnie, prędzej uciąłoby mi obie ręce, niż zmuszonoby mnie do napisania jednej zgłoski podobnego rozkazu.

Następnie odepchnąwszy rękojeścią szpady tego, który chciał mu odebrać papier:

— Podobne pismo jest dla mnie ważnem i winienem go zachować.

Złożywszy starannie papier, włożył go do kieszeni.

Poczem odwróciwszy się do żołnierzy zakomenderował:

— Trójkami od prawego, marsz!

Nakoniec półgłosem tak, że mógł być dosłyszany od otaczających zbliska:

— A teraz mordercy, możecie dokonać waszego dzieła.

Okrzyk wściekły, mieszczący w sobie wszystkie zawiści i rozkosze dziczy dyszącej na Buitenhof; towarzyszył odwrotowi Tillego.

Jeźdźcy postępowali stępą, kapitan był w tylnej straży.

Jak widzimy, Jan de Witt nie przesadzał niebezpieczeństwa, dopomagając bratu do podniesienia się i nagląc go do odjazdu.

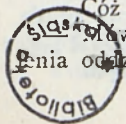
Korneljusz wsparty o ramię Wielkiego Pensjonarza zeszedł ze schodów prowadzących na podwórze.

Przy progu spostrzegł drżącą Różę.

— Oh! Panie Janie! co za nieszczęście.

Cóż takiego moje piękne dziecię?

— Mówią, że poszli na ratusz wyjednać rozkaz oddania oddziału Tillego.



— W istocie moje dziecię, jeżeli go uzyskają, będzie źle z nami.

— A więc... jeżelibym mogła udzielić wam rady — przemawia drżącym głosem dziewczica.

— Słuchamy ciebie... cóżby to było dziwnego, gdybyśmy usłyszeli z ust twoich głos Boga.

— Panie Janie... ja na twoim miejscu nie wychodziłabym na główną ulicę.

— Dlaczego? przecież Tilly stoi z oddziałem.

— Tak, to prawda... lecz on ma rozkaz stać tylko przed więzieniem.

— Wiem o tem.

— I niema innego, ażeby wam towarzyszył za miasto.

— Nie...

— Tak więc, skoro miniecie ostatnich jeźdźców, wpadniecie w ręce motłochu.

— Lecz milicja...

— Właśnie tej najbardziej obawiać się należy.

— Cóż więc czynić?

— Na twoim miejscu p. Janie, wyszłabym przez porternę — mówi dalej bojaźliwie dziewczica — skąd jest wyjście na pustą ulicę, gdyż wszyscy zebrali się na placu przy głównej bramie więzienia; poczem pośpieszyłabym do bramy miejskiej, przez którą wyjedziecie.

— Lecz mój brat iść nie zdoła.

— Spróbuję odpowiada Korneliusz ze stałością.

— Wszakże macie wasz pojazd? — zapytuje dziewczica.

— Tak, to prawda, lecz on stoi przed głównym wcho-dem.

— Nie odpowiada dziewczica — sądząc, że wasz woźnica jest człowiekiem zaufanym, kazałam mu czekać przed porterną.

Obaj bracia spojrzeli na siebie z rozrzewnieniem i to podwójne spojrzenie przybrawszy wyraz głębokiej wdzięczności zwróciło się na dziewczicę.

— Teraz idzie o to — mówi Wielki Pensjonarz — czy Gryfus zechce nam otworzyć drzwi poterny.

— Oh nie, bynajmniej — mówi Róża.

— Cóż więc począć?

— Przewidziałam to i przed chwilą gdy rozmawiał przez okno ze swoim znajomym odczepiłam klucz z pęku.

— I masz go?

— Oto jest.

— Moje dziecię — odzywa się Korneljusz — nie mam nic co bym ci mógł dać za twoją przysługę oprócz Biblii, którą znajdziesz w mojem więzieniu; jest to ostatni dar uczciwego człowieka, spodziewam się, że ci szczęście przyniesie.

— Dziękuję ci p. Korneljusz, ona mnie nigdy nie opuści — poczem mówi do siebie:

— Jakie nieszczęście, że czytać nie umiem.

— Otóż wrzawa znów staje się gwałtowniejsza — mówi Jan — zdaje się moje dziecię, że niema chwili do stracenia.

— Chodźcież więc — mówi piękna fryzka.

I przez kurytarze wyprowadziła braci w przeciwną stronę więzienia.

Poprzedzani przez Różę, zeszli z 12 schodów, następnie przebyli małe podwórze otoczone warownemi wałami i nakoniec wypuszczeni zostali przez drzwi sklezione, na pustą uliczkę, gdzie oczekiwała na nich karetka ze spuszczoneym stopniem.

— Spieszcie moi panowie... czy ich słyszycie — wołał strwożony woźnica.

Umieściwszy Kornela w pojeździe, Wielki Pensjonarz odwrócił się do dziewczycy.

— Bywaj zdrową moje dziecię! wszystko cokolwiek byśmy powiedzieć mogli, byłoby niedostatecznem do wynurzenia naszej wdzięczności. Polecamy cię opiece Boga, który mam nadzieję wynagrodzi ci za ocalenie życia dwom mieszczańskim.

Róża ujęła rękę, którą jej podał Wielki Pensjonarz i ucałowała ją z uszanowaniem.

— Spieszcie, spieszcie... zdaje się, że usiłują drzwi wytłamać.

Jan de Witt szybko wsiadł do karety i zamknąwszy drzwiczki, zawołał:

— Do Tol - Hek!

Tol Hek, była bramą miejską przez którą prowadziła droga do małego portu Scheweningen, gdzie oczekiwał statek na obu braci.

Pojazd ruszył galopem.

Róża wiodła go wzrokiem dopóki nie zniknął w zakręcie ulicy.

Wtedy wróciła przez drzwi potępny, które zamknąwszy, wrzuciła klucz do studni.

Hałas usłyszany przez Różę, która myślała, że się do bramy więzienia dobywają, pochodził rzeczywiście z tej przyczyny, gdyż po odadleniu się oddziału Tillego, pozostała tylko ta zawada.

Jakkolwiek brama była mocno osadzoną i lubo odzwierny Gryfus stanowczo wzbraniał się ją otworzyć, łatwo było przewidzieć, że nie będzie w stanie długo opierać się natarczywości i strwożony Gryfus, wahał się, czy nie lepiejby było otworzyć, jak dozwolić zniszczyć bramę, gdy wtem uczuł, iż go ktoś zlekka pociągnął za suknię.

Odwróciwszy się, ujrzał Różę.

— Czy słyszysz tych szaleńców? mówił.

— Słyszę dokładnie; i na twym miejscu, mój ojczy...

— Otworzyłabyś... nieprawdą?

— Nie, lecz pozwoliłabym bramę wysadzić.

— Lecz wtedy — zamordowanoby mnie.

— Tak, gdyby ciebie widzieli.

— Jakże chcesz, ażeby mnie nie dostrzegli.

— Ukryj się.

— Gdzie?

— W tajemnem więzieniu.

— A ty moje dziecię?

— I mnie weźmiesz ze sobą. Zamkniemy drzwi, a jak więzienie opuszczą, wyjdziemy z naszego ukrycia.

— W istocie masz słuszość! — zawołał Gryfus — to dziwna — dodał — jaki rozsądek mieści się w tej młodej głowie.

Następnie, gdy brama zdawała się ulegać usiłowaniom pospólstwa, Róża otwierając drzwi w podłodze powiedziała:

— Zejdź mój ojczy.

— Ale cóż się stanie z moimi więźniami.

— Bóg będzie się nimi opiekował, dozwól mi czuć nad tobą.

Gryfus w towarzystwie córki zniknął w otworze i drzwi zapadły za nimi właśnie w tej chwili, gdy brama wyłamana została przez pospólstwo.

Lud cisnął się do więzienia wołając:

— Śmierć zdrajcom! Na szubienicę Kornela de Witt.

ROZDZIAŁ IV

Młodzieniec nasunawszy na oczy kapelusz z obszernymi skrzydłami opierając się na ramieniu oficera, ocierający ciągle pot z czoła chustką, stojąc niewzruszony w kącie Buitenhofu pod wystawą sklepu zamkniętego, przypatrywał się widowisku, które zdawało się przybliżyć do końca.

— Tak, zdaje się van - Dekenie, że rozkaz, który deputowani wydali, jest rzeczywiście wyrokiem śmierci na Korneljusza. Czy słyszysz te okrzyki! Lud bardzo jest rozjątrzony przeciw braciom Wittom.

— W istocie, nie słyszałem nigdy podobnych wybuchów nienawiści.

— Zdaje się, że się dostali do więzienia Korneljusza. Ah! spojrzysz, czy nie jest to okno izby, w której był osadzony?

To mówiąc wskazywał na człowieka, który oburącz trząsał kratą żelazną okna więzienia Korneljusza.

— Hurra! hurra! — wołał ten człowiek, już go tam niema!

— Jak to być może! zapytywali z ulicy ostatni z nadciągających, którzy się nie mogli dostać wewnątrz więzienia.

— Niemasz go! powtarzał z wściekłością ten sam człowiek — musiał więc uciec.

— Co mówi ten człowiek — zapytuje błędnie młodzieniec.

— Bardzo byłoby pożądanem, gdyby tylko prawdę mówił!

— Zapewnie — odpowiada młodzieniec, lecz niestety to być nie może.

— Jednakże... mówi oficer... uważ W. K. Mość...

W tej chwili kilka innych postaci ukazało się przez okna, wściekli, zgrzytający zębami, wołali.

— Uciekł, uciekł... ocalili go!...

Pospólstwo uliczne powtarzało ze złorzeczeniami:

— Uciekł, uciekł... a więc gońmy go... ścigajmy!

— Zdaje się niewątpliwem, że p. Korneljusz de Witt ratował się ucieczką — mówi oficer.

— Tak, z więzienia być może — odpowiada młodzieniec — lecz nie z miasta, przekonasz się van - Dekenie, że biedny człowiek zawiedziony zostanie, mniemając, że brama przez, którą miał wyjechać będzie otwartą.

— Czy wydany został rozkaz zamykania bram?

— Nie wiem o tem, któżby go wydał?

— A więc skąd ten wniosek?...

— Fatalizm — odpowiada obojętnie młodzieniec — częstokroć ściga wielkich ludzi, którzy padają pod jego ciosami.

Oficer uczuł zimny dreszcz przebiegający w jego żyłach, gdyż przekonał się, że Korneljusz nie uniknie śmierci.

W tejże chwili wycia pospólstwa piorunowały w powietrzu, dowiedziano się, że Korneljusz uszedł z więzienia.

W samej rzeczy, Jan i Korneljusz okrążywszy główny kanał dążyli ulicą prowadzącą do Tol - Hek, zalecając woźnicy, ażeby wolniej jechał dla oddalenia podejrzeń nastrożyc mogących się z powodu pośpiechu.

Woźnica był posłuszny temu zleceniu dopóki nie ujrzał bramy miejskiej, lecz wtedy pragnąc jaknajrychlej opuścić miejsce więzienia i śmierci, mając przed sobą życie i wolność, zaniechał wszelkiej ostrożności i puścił się galopem.

Wtem nagle wstrzymał konie.

— Cóż się stało? zapytuje Jan przez drzwiczki.

— Oh! moi panowie — zawołał woźnica... oto...

Przerażenie tłumilo głos poczciwego człowieka.

— Kończże — mówi Wielki Pensjonarz.

— Oto brama jest zamknięta...

— Jak to być może?... przecież nigdy w dzień bran nie zamykają.

— Spójrz pan...

Jan de Witt wychyliwszy się z pojazdu przekonał się o rzeczywistości.

— Jedź dalej — rzekł Jan — mam przy sobie rozkaz wolnego wyjazdu, odźwierny otworzy.

Pojazd ruszył z miejsca, lecz było widocznem, że woźnica nie podniecał radości koni, straciwszy nadzieję.

Jednocześnie, gdy Jan de Witt wyrzwał przez drzwiczki, poznany został przez pewnego piwowara, który spóźniwszy się, zamykał pośpiesznie bramę dążąc do swych towarzyszy, którzy wyprzedzili go idąc do Buitenhof.

Wydawszy okrzyk zdziwienia, pobiegł za dwoma innymi, którzy byli na przodzie. Dogoniwszy ich zaczął coś mówić i ci zatrzymali się, spoglądając na oddalającą się karetę, nie będąc pewnymi kogo w sobie mieści.

Tymczasem pojazd stanął przed Tol - Hek.

— Otwieraj! — woła woźnica.

— Otworzyć? — powtarza odźwierny stojący w progu — ale czem?

— A oczywiście, że kluczem.

— To prawda... lecz trzeba go mieć.

— Jakto, nie masz klucza od bramy? — zapytuje woźnica.

— Nie.

— Cóż się z nim stało?

— Wzięto mi go.

— Kto?

— Zapewne ten, któremu o to idzie, ażeby nikt się nie oddalił z miasta.

— Mój przyjacielu — rzekł Wielki Pensjonarz wyglądając przez drzwiczki narażając wszystko dla wszystkiego — mój przyjacielu to ja, Jan de Witt, uczyn to dla mnie i mego brata, którego odprowadzam na wygnanie.

— Oh! Panie de Witt, wierz mi, że jestem w rozpaczy — powiedział odźwierny biegnąc do pojazdu — lecz na honor przysięgam, że mi klucz odebrano.

— Kiedy?

— Dziś z rana.

— Któż go odebrał?

— Młody człowiek blady i szczupły.

— Dlaczegoż mu go oddałeś?

Ponieważ miał rozkaz z pieczęcią i podpisami.

— Przez kogo?

— Przez panów radnych miasta.

— Jeżeli tak, mówi spokojnie Korneliusz, zdaje się, że jesteśmy zgubieni bez ratunku.

— Czy wiesz, że zachowano przy inych bramach podobną przeczność?

— Nie wiem.

— Dalej więc — mówi Jan — Bóg zaleca człowiekowi, ażeby wszelkimi środkami zachował swe życie, ruszaj do innej bramy.

Poczem, gdy woźnica zawracał, rzekł Jan do odźwiernego:

— Dziękuję ci za twoje dobre chęci, zamiar częstokroć przyjęty bywa za uczynek; miałeś zamiar nas ocalić i w obliczu stwórcy, to znaczy, jakbyś go przywiódł do skutku.

— Ah! zawołał odźwierny — czy widzisz pan co się tam dzieje.

— Ruszaj galopem pomiędzy tą grupą — zawołał Jan na woźnicę — poczem skieruj na lewo, jest to jedyna nasza nadzieja.

Grupa, o której mówił Jan, składała się naprzód z trzech ludzi, którzy śledzili karetę i następnie zwiększyła się siedmiu lub ośmiu nowoprzybyłymi.

Ci wszyscy widocznie nie mieli dobrych zamiarów względem uciekających, albowiem widząc pędzące konie, stanęli wpoprzek ulicy i wywijając pałkami wołali:

— Stój! stój!

Ze swej strony, woźnica pochylił się do koni i chłostał ich biczem.

Pojazd mareszcie dotarł na ludzi.

Bracia Wittowie nie mogli nic widzieć siedząc w głębi, lecz uczuli, iż konie wspinali się i pojazd wstrząsnął się gwałtownie. Przez chwilę kołysała się karetka, poczem ruszyła przejeżdżając coś okrągłego i elastycznego co mogło wydawać się ciałem ludzkim, nakoniec oddaliła się pośród przekleństw.

— Oh! rzekł Korneliusz, lękam się czy nie staliśmy się przyczyną nieszczęścia.

— Galopem! galopem — wołał Jan.

Lecz pomimo tego rozkazu, woźnica zatrzymał się niespodzianie.

— Cóż się stało?

— Spójrz pan — mówi woźnica.

Jan wyrzwał.

Tłumy ludu dążyły z Buitenhof ulicą, przez którą wypadła droga ucieczki; z zadziwiającą szybkością płynęła ta wyjąca lawa.

— Zatrzymaj się i sam uciekaj — mówi Jan do woźnicy — nadaremnie jechać dalej, jesteście zgubieni.

— Otóż oni! otóż oni! — wołają chórem.

— Tak to oni! zdrajcy! rozbójnicy! mordercy! — odpowiadają ci, którzy gonili pojazd, niosąc ciało towarzysza swego, roztratowanego przez konie.

Jego to bowiem przejechała karetą braci Wittów.

Woźnica zatrzymał się, lecz pomimo próśb pana swego, nie chciał ratować się ucieczką.

W jednej chwili karetą została otoczona przez tych, którzy naprzeciw niej dążyli i tych, którzy ją ścigali.

W jednej chwili rozniosła się na tym rozkołysanym tłumem jak pływająca wyspa.

Pływająca wyspa zatrzymała się raptem, kowal z tłumy zabił jednego z dwóch koni uderzywszy go szyną żelazną.

W tej chwili uchyliła się okiennica okna i można było poznać postać bladą i wzrok ponury młodzieńca, o którym mówiliśmy.

Za nim dawała się widzieć twarz oficera prawie tak blada jak pierwszego.

— Oh! mój Boże, mój Boże!... cóż to się dzieć będzie.

— Zapewne coś okropnego — odpowiada.

— Oh! spójrz pan... otóż wyciągają z karety Wielkiego Pensjonarza, okładają go razami.

— W istocie, ci ludzie muszą mieć ważne powody do podobnego postępowania.

— A teraz z kolei wyprowadzają Korneliusza, Korneliusza, którego już dręczono na torturach... oh! patrz pan, patrz...

— Tak, w istocie, to jest Korneliusz.

Oficer odwrócił głowę.

Wtedy bowiem stawiając nogę na ostatnim stopniu karety, nie dotknąwszy nawet ziemi, Ruant otrzymał cios szyną żelazną, która roztrzaskała mu głowę.

Powstał jednak, lecz natychmiast upadł.

Następnie kilku ludzi, ująwszy go za nogi ciągnęli go wśród pospólstwa i wtedy widzieć można było krwistą ścież-

kę widoczną przez chwilę, gdyż cisnący się natychmiast ją zamykali.

Młodzieniec zbladł bardziej, niż zwykle, co wydawało się niepodobieństwem i przez chwilę oko jego ukryło się pod powieką.

Oficer dostrzegłszy tych oznak politowania, poraz pierwszy dających się widzieć w swym surowym towarzyszu i pragnąc korzystać z tego zmiękczenia duszy, powiedział:

— Chodźmy stąd, panie, gdyż zdaje się, że mają zamiar zamordować Wielkiego Pensjonarza.

Lecz młodzieniec już oczy otworzył.

— W istocie ten lud jest niepowściągnięty.

— Biada tym, którzy go zdradzają.

— Czy nie masz środka ocalenia tego człowieka, który zajmował się wychowaniem W. K. Mości. Jeżeli podobna i choćbym miał życie utracić...

Wilhelm Oranji, gdyż to on był, zmarszczył brwi z groźnym poruszeniem, przygasił błyskawicę posępnej wściekłości iskrzącej się pod jego powieką i odpowiedział.

— Pułkowniku van Deken, proszę cię pospiesz do obozu i na każdy wypadek niech wojsko stanie pod bronią.

— Lecz mam Waszą Księżęcą Mość pozostawić pośród morderców.

— Nie troszcz się bardziej o mnie jak ja o siebie — zawołał gwałtownie książę.

— Pospieszaj pułkowniku!

Oficer oddalił się ze skwapliwością okazującą nie tak posłuszeństwo rozkazom księcia, jak raczej, ażeby nie był świadkiem przerażającego widoku morderstwa drugiego brata.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, gdy Jan de Witt przez nadzwyczajne wysilenie skoczył na wystawę przedsiionka domu położonego naprzeciw tego, w którym był ukryty jego wychowaniec, wkrótce zachwiał się na nogach potracony przez ścigających go w tym schronieniu; Jan wołał donośnym głosem:

— Mój bracie! gdzie jesteś Korneliuszu!

Jeden z zagorzałców zrzucił mu kapelusz z głowy.

Drugi pokazał mu ręce zakrwawione; był to jeden z morderców Korneliusza, który spieszył, ażeby nie stra-

cił sposobności dręczenia drugiego brata, gdy tymczasem ciągniono do szubienicy ciało pierwszego.

Jan wydał jęk żaloszny przyłożywszy rękę do oczu.

— Ah! zamykasz oczy — mówi jeden z milicji miejskiej, — niedługo będziesz się miemi cieczył.

I zadał mu raz piką w oblicze, z którego krew trysnęła.

— Mój brat! — zawołał de Witt, usiłując przejrzeć pomimo krwi oślepiającej wzrok jego.

— Idź się z nim połączyć, zawył drugi morderca przykładając mu muszkiet do skroni i spuszcżając panewkę.

Lecz wystrzał nie dał się słyszeć.

Wtedy zabójca odwrócił broń i ujawszy ją oburącz za lufę, uderzył kolbą Jana de Witt, który się zachwiał na nogach i upadł, jednakże raz jeszcze zdołał się podnieść.

— Mój bracie! — zawołał głosem tak rzewnym, że młodzieniec zamknął okiennicę.

Przytem nie było już nic ciekawego do widzenia, gdyż trzeci morderca wymierzył z bliska pistolet do głowy Jana de Witt, który mu czaszkę roztrzaskał.

Wielki Pensjonarz padł nieżywy.

Wtedy nikczemni zbrodniarze ośmieleni tym upadkiem, spieszyli zadawać razy trupowi. Każdy chciał go uderzyć to nożem lub drągiem, każdy chciał się napawać widokiem krwi jego i obdrzeć cząstkę odzieży.

Następnie, gdy nasycono się pastwieniem nad ciałami obu braci, pospólstwo zaciągnęło ich do szubienicy naprędce wystawionej, gdzie kaci z zamiłowania zawiesili ich za nogi.

Dalej nadeszli najnikczemniejsi, którzy nie ośmieliwszy się mordować żyjących, krajali ciała, w kawałki i chodzili po mieście sprzedawać je za kilka groszy.

Nie możemy stanowczo twierdzić czy młodzieniec był świadkiem tej ostatniej sceny; lecz w chwili gdy zawieszano ciała Wittów na szubienicy, przechodził pośród tłumów zbyt zajętych, ażeby mogli zwrócić uwagę na niego i dążył w kierunku Tol - Hek.

— Czy pan mi klucz odnosisz? — zapytuje odźwierny.

— Tak, mój przyjacielu, oto masz go.

— Szkoda, żeś mi go pan nie zwrócił przed pół godziną — mówi odźwierny z westchnieniem.

— Z powodu?

— Ponieważ mógłbym bramę otworzyć pp. Wittom; gdy tymczasem zastawszy ją zamkniętą, musieli się zwrócić i wpadli w ręce swych prześladowców.

— Otworzyć bramę! — zawołał głos nakazujący.

Młodzieniec odwróciwszy się, poznał pułkownika van Deken.

— To ty pułkowniku jeszcze jesteś w Hadze? spóźniłeś się z wypełnieniem mego rozkazu.

— Nie moja w tem wina, gdyż to już trzecia brama, którą zastaję zamkniętą.

— Otwórz mój przyjacielu, — mówi młodzieniec do zdziwionego odźwiernego, który rozmawiał poprzednio tak poufale z młodzieńcem, wydającym rozkazy pułkownikowi.

Dla naprawienia swego błędu pospieszył w milczeniu otworzyć Tol - Hek.

— Czy W. K. Mość życzysz sobie mego konia, — zapytuje pułkownik księcia.

— Dziękuję ci, mój wierzchowiec powinien być stąd blisko.

I wzięwszy do ręki złotą piszczałkę, która w tej epoce służyła do przywoływania służby, wydał przeciągłe świśnięcie, na odgłos którego nadbiegł koniuszy konno, trzymając za cugle osiodłanego rumaka.

Wilhelm wskoczył na konia bez pośrednictwa strzemion i spiąwszy go ostrogami, ruszył drogą Lejdejską.

Pułkownik jechał za nim w odległości jednego konia.

Książę dał mu znak, ażeby jechał obok niego.

— Czy wiesz? — mówi nie zatrzymując się, — że te łotry zamordowali podobnie Jana jak i Korneliusza.

— Ah! Książę — mówi smutnie pułkownik — wolałbym dla twego dobra panie, ażeby te duże zawady pozostały na twej drodze wiodącej do Statuderatu Holandji.

— Bezwątpienia, że lepiej byłoby, gdyby to nie nastąpiło, co się stało. Lecz koniec końcem czyn jest dokonany, przecież nikt nas o to nie będzie obwiniał. A teraz przyspieszajmy, gdyż wypada nam być w Alphen przed przybyciem poselstwa, które stany do nas wysłać mają.

Pułkownik skłonił się, poczem książę ruszył naprzód,

za nim w tejże odległości, jak przed powyższą rozmową, jechał van Deken.

— Ah! — mówi do siebie Wilhelm, marszcząc brwi, ścisnąwszy usta i spinając konia ostrogami — jakżebym pragnął widzieć postać Ludwika zwanego Słońcem, gdy się dowie o losie, jaki spotkał jego przyjaciół pp. Wittów.

— Oh! słońce! słońce! mnie nazywają Wilhelmem milczącym, lękaj się, ażebym nie przyćmił twoich promieni.

ROZDZIAŁ V

HODOWCA TULIPANÓW I JEGO SĄSIAD

W tym czasie, gdy lud Hagi, pastwił się nad zwłokami Jana i Korneljusza, gdy Wilhelm Oranji zapewniwszy się, że jego przeciwnicy nie żyją; Kraeke, wierny sługa pędził na dzielnym koniu, bitą drogą wysadzaną drzewami, dopóki nie stracił z oczu miasta i wsi okolicznych, daleki będąc od przypuszczenia, ażeby w jego nieobecności zaszły tak smutne wypadki.

Sądząc się w miejscu bezpiecznem, pozostawił swego konia w gospodzie, i ażeby nie obudzić podejrzeń, odbywał dalej podróż powolnie na statkach, aż do Dordrecht.

Kraeke z daleka poznał to powabne miasto, położone u stóp pagórków uwieńczonych wiatrakami. Dostrzegł piękne domy czerwone z białemi żyłami, kąpiącemi swe podstawy w przezroczach wód; ujrzał przez otwarte balkony wychodzące na rzekę, cudowne tkaniny jedwabne zasiane złotemi kwiatami, cuda Indji i Chin, pod niemi zaś rozciągały się długie i wąskie sieci, stałe zasadzki na węgorze żarłoczne, (nęcone tam przez żywność, którą obficie znajdowały), pochodzącą z pozostałości kuchennych, wyrzucanych w rzekę oknami.

Kraeke z pomostu statku, na którym się znajdował, pośród wiatraków z obracającemi się skrzydłami dostrzegł przy spadku jednego pagórka dom dwubarwny, biały i różowy, cel swego posłannictwa. Szczyt tego domu, gubił się w liściach żółtawych topol; ściany zaś jego otoczone były olbrzymiemi wiązami. Położenie jego było tak korzystne, że słońce padające na niego jak w lejek osuszało, ogrzewało i użyźniało nawet ostatnie mgły, którym

zagrody liściowe, nie mogły zapobiec przenikać co rano i wieczór.

Wylądowawszy pośród zwykłego gwaru miejskiego, Kraeke udał się natychmiast do domu, którego niezbędny opis, przedstawiamy czytelnikowi.

Ten biały dom, lśniący od czystości, wewnątrz starannie utrzymany, podłogi czysto wymyte i woskowane w miejscach ukrytych jak będących na widoku; ten dom mieścił w sobie szczęśliwego śmiertelnika.

Tym zaś szczęśliwym śmiertelnikiem, (*rara avis*) jak mówi Juvenalis był doktor van Baerle syn chrzestny Kornela. Żył on w opisanym domu od lat niemowlęcych, gdyż to był dom, w którym podobnie jak on rodził się ojciec jego i dziad, dawni kupcy szlacheckiego miasta Dordrechtu.

P. van Baerle ojciec, zebrał w handlu indyjskim trzy do czterech kroć sto tysięcy złotych, które syn jego odziedziczył po śmierci swych rodziców; oprócz tej gotowizny Korneljust van Baerle, bohater tej powieści posiadał nieruchomości, przynoszące mu 10.000 czystego dochodu.

Czcigodny obywatel, ojciec Korneljusta, przed śmiercią, która nastąpiła w trzy miesiące po pogrzebie żony, uściskawszy swego syna po raz ostatni, w tych słowach odezwał się do niego:

— Pij, jedz i wydawaj pieniądze, jeżeli pragniesz kosztować życia rzeczywistego, bo to nie jest życiem pracować codziennie na drewnianym stołku lub w skórzanym krześle, w pracowni lub sklepie. I na ciebie przyjdzie kolej umierać i jeżeli nie doczekasz szczęścia mieć syna, nazwisko nasze wygaśnie i może złote przejdą w cudze ręce, te nowe złote, których nikt nie ważył oprócz mojego ojca, mnie i mennicy. Nadewszystko, nie wstępuj w ślady twego chrzestnego ojca Korneljusta de Witt, który poświęcił się polityce, najniewdzięczniejszemu zawodowi, i który może się źle skończyć.

Poczem oddał ducha Bogu czcigodny van Baerle pozostawiając zasmuconego syna, który bardzo mało lubił pieniądze, lecz namiętnie kochał chrzestnego ojca swego Korneljusta; znalazł się więc sam w obszernym domu.

Nadaremnie ojciec chrzestny ofiarował mu rozmaite urzędy w służbie publicznej, nadaremnie usiłował obudzić w nim żądzę sławy. Gdy Korneljust van Baerle czyniąc zadość jego woli, wsiadł na okręt pod dowództwem Ruy-

tera zwany Siedem Prowincyj, będący na czele floty ze 139 okrętów złożonej, z którymi sławny admirał przeważny wpływ wywierał na losy Francji i Anglii. Korneljusz van Baerle miał czynny udział w bitwach morskich, a mianowicie będąc wysłanym ze sternikiem Leger, zbliżył się na wystrzał ręcznej broni do okrętu zwanego Książę, na którym znajdował się Książę Yorku, brat króla angielskiego, dalek gdy Ruyter tak zręcznie i umiejętnie natarł na niego, że zaledwie mógł się schronić na drugi okręt S. Michał; widząc jak tenże okręt był zdemontowany kulami holenderskimi, a drugi Sennwick wyleciał w powietrze; jak 400 majtków zginęło w falach morskich; nakoniec widząc, że po zniszczeniu dwudziestu okrętów, gdy trzy tysiące było zabitych i 5000 rannych, nic stanowczego nie nastąpiło i że obie strony przypisywały sobie zwycięstwo; że wszystko zapowiadało dalsze prowadzenie wojny, i że jedynie bitwa pod Soathwood - Bay przybyła do liczby bitew; gdy obliczył ile straty czasu ponosi człowiek myślący zatykając sobie uszy i oczy wtedy, gdy inni do siebie strzelają, Korneljusz pożegnał Ruytera Ruart z Puften i sławę, uściśkał kolana Wielkiego Pensjonarza, którego považał i powrócił do swego domu w Dordrecht, zadowolony, że odzyskał spokójność; zadowolony ze swoich 28 lat życia, zdrowia żelaznego, rzutu oka pewnego, przekładając nad 400.000 zł. kapitału i 10.000 dochodu to przekonanie, które nabył, że człowiek obdarzony został hojnie od nieba, ażeby był szczęśliwym, dostatecznie zaś, ażeby nim nie być.

Dla zapewnienia sobie szczęśliwego bytu podług swego rozumowania, Korneljusz zaczął się zajmować naukami przyrodniczymi, zbierał i porządkował rośliny krajowe podobnie jak owady, nadto ułożył systematyczny traktat swej pracy z rycinami własnej ręki; nakoniec nie wiedząc jak użyć czasu, szczególnie zaś swych pieniędzy, które przybywały w sposób zatrważający, wybrał sobie z pomiędzy mamiętnych upodobań swego kraju i epoki, jedno z najwykwintniejszych i najkosztowniejszych.

Zakochał się w tulipanach.

Był to czas, w którym jak wiadomo flamandzycy i portugalczyki współubiegając się w tej gałęzi ogrodnictwa, doszli do ubóstwiania tulipanów i robili doświadczenia z tym kwiatem pochodzącym ze wschodu, takie, o ja-

kich żaden naturalista nie powążył się powątpiewać, nie śmiejąc obrażać Stwórcy.

Wkrótce od Dordrechtu do Mons nie mówiono o niczem jak o tulipanach mynhera van Baerle i jego rysunki, suszarnie, zbiory cebul, nasienników, zwiedzane były z równem zajęciem jak niegdyś galerje i księgozbiory aleksandryjskie, przez znakomitych podróżników rzymskich.

Van Baerle wydał swój roczny dochód na zaprowadzenie swego zbioru, następnie naruszył swój kapitał. Praca jego i nakład wynagrodzone zostały najpomyślniejszym skutkiem, wynalazł bowiem 5 różnych gatunków, którym nadał nazwy: pierwszemu Joanna od imienia swej matki, Baerle od nazwiska ojca, Kornel na cześć swego chrzestnego ojca; inne nazwy nie są nam znane, lecz ciekawi mogą je znaleźć w ówczesnych katalogach.

Na początku 1672 Korneljusz de Witt przybył do Dordrechtu na trzy miesiące do swego rodzinnego domu, gdyż nietylko, że tam ujrzał światło dzienne, lecz nadto rodzina Wittów pochodziła z tego miasta.

Korneljusz w tym czasie, jak mówił Wilhelm Oranji, zaczął kosztować owoców nieprzychylności ludu. Jednakże współziomkowie jego Dordrechtscy, nie uważali go za zbrodniarza godnego śmierci i lubo niezadowoleni z jego sposobu myślenia, oceniając jednakże jego osobiste przymioty, przyjęli go gościnnie, ofiarując mu wino na wstępie do miasta.

Podziękowawszy swoim ziomkom, Korneljusz udał się do swego starego domu, zarządził w nim niezłębne naprawy, mając zamiar osadzić tam swoją żonę i dzieci.

Następnie Ruart odwiedził swego syna chrzestnego, który może był jedynym w Dordrechcie co nie wiedział o jego przybyciu.

O ile Korneljusz de Witt ściągnął na siebie nienawiść sięjąc niewdzięczne ziarna zwane namiętnościami politycznymi, o tyle van Baerle zjednał sobie przychylność, zaniedbując zupełnie zajmowanie się polityką, poświęciwszy się wyłącznie uprawie tulipanów.

Van Baerle był uwielbiany przez swych ludzi rzemieślników, nie przypuszczał zatem, ażeby był człowiek w świecie, który źle życzyłby drugiemu.

Jednakże wyznać należy na hańbę ludzkości, Korneljusz

Van Baerle, nie wiedząc o tem, miał nieprzyjaciela daleko okrutniejszego, zawziętszego, nieprzebiegalnego, od najzapaleńszego oranżysty zawistnego miłości braterskiej Wittów, która przez całe życie nie zasepiła się żadną chmurą i przez wzajemne poświęcenia do śmierci dotrwała.

W tym czasie, gdy Korneliusz zaczął poświęcać się uprawie tulipanów, mieszkał w Dordrechcie i jak mówią drzwi we drzwi, obywatel nazwiskiem Isaak Bokstel, który od najpierwszej młodości, poświęcił się podobnemu zamiłowaniu, unosząc się na samą wzmiankę wyrazu tulipan, który jak zapewnia kwiaciarz francuski, to jest historyk najuczęńszy tego kwiatu, było pierwszym słowem w języku chingulajskim, dla oznaczenia tego arcydzieła natury, zwanego tulipanem.

Bokstel nie miał szczęścia być tak namiętnym jak van Baerle. Z wielkimi trudami wskutek zabiegów i cierpliwości, urządził sobie przy swym domu w Dordrechcie, stosowne miejsce do hodowania tulipanów; uprawił ziemię podług wymaganych przepisów, nadając jej potrzebny stopień ciepła i świeżości jak kodeks ogrodniczy przepisuje. Isaak mabył takiej biegłości, że nie omylił się nigdy o 20 część stopnia temperatury w swojej cieplarni. Umiał ocenić pęd wiatru i nadawać mu taki kierunek, że zgadzał się z poruszaniem łodyg kwiatów. Płody jego zaczynały rosnać. Były bowiem piękne, wyszukane. Amatorowie zwiedzali jego tulipany. Nakoniec Bokstel wypuścił w świat Lineusza i Toumeforta, nowy rodzaj tulipanu, któremu nadał swoje nazwisko. Ten kwiat wędrował po wielu krajach. Przebywszy Francję, dostał się do Hiszpanji, a stąd do Portugalji; król Alfons VI wygnany z Lizbony, żyjący na wyspie Terceirze, gdzie bawił się nie polewaniem gwoździków, jak Wielki Kondeusz, lecz hodowaniem tulipanów, wyrzekł pamiętne słowa przypatrzywszy się tulipanowi Bokstela: „Dość piękny“. Jak wspomnieliśmy dom van Baerla był sąsiednim z domem Bokstela; gdy pierwszy poświęciwszy się hodowaniu tulipanów, uznał za stosowne wznieść piętro nad jednym ze swych budowli będących w podwórzu, to podwyższenie ujęło pół stopnia ciepła, a tem samym zniżyło temperaturę ogrodu Bokstela o pół stopnia, nie licząc, iż przez to

wiatr został odwrócony i zniweczył wszystkie ogrodnicze rachuby sąsiada.

Pomimo tego, nic to jeszcze nie znaczyło u Bokstela. Van Baerle uważany był za malarza, to jest rodzaj głupca, który usiłuje wydać na płótno cuda przyrodzenia, przekształcając je potwornie. Malarz wznosił piętro wyżej, ażeby miał więcej światła i miał do tego prawo. P. van Baerle był malarzem jak Bokstel tulipanistą, pierwszy pragnął słońca do swych obrazów i odejmował pół stopnia tulipanom p. Bokstel.

Prawo było na stronie p. van Baerle. Bene sit.

Przytem Bokstel doszedł, że zbyt ciepło słoneczne szkodliwe jest dla tulipanów, i że ten kwiat rośnie lepiej i przybiera żywsze barwy przy ciepłe słońca rannego i wieczornego, niż pod wpływem południowego palącego.

Był więc prawie wdzięcznym Korneljuszowi, że mu darmo wystawił słonochron.

Być może, iż to co mówił Bokstel nie było zupełną prawdą, co dotyczyło jego sąsiada, nie wynurzył być może swej myśli w zupełności, lecz wzniosłe dusze znajdując w filozofji zadziwiające środki, pośród wielkich przeciwności.

Lecz niestety! cóż się wówczas działo z nieszczęsnym Bokselem, gdy dostrzegł przez szyby budynku nowo wystawionego, cebule, nasienniki, tulipany w doniczkach, słowem wszystkie materiały niezbędne dla tulipanisty z powołania.

Były tam nagromadzone pakiety z etykietami, pudła z przegrodami, kraty druciane do przykrywania tych szuflad, które przepuszczając potrzebne powietrze, zabezpieczały od szczurów, myszy, mulów, ciekawych amatorów tulipanów, które wyrastają z cebul wartości 2000 franków.

Bokstel nie mógł wyjść z zadziwienia, z tem wszystkiem nie pojmował jeszcze całego ogromu swego nieszczęścia. Van Baerle uchodził za miłośnika wszystkiego co bawi oko: — Badał przyrodzenie dla swych obrazów, wykończonych jak Gerarda Doua swego nauczyciela i Mierisa swego przyjaciela. Czyliż nie było podobnem, że mając odmalować cieplarnię tulipanów, zebrał wszystkie materiały potrzebne dla oddania jej dokładnie.

Pomimo tego, lubo łudził się tą pocieszającą myślą, Bokstel nie mógł oprzeć się ciekawości, która go dręczy-

ła. Wieczorem przystawił drabinę do muru granicznego i obejmując wzrokiem ogród sąsiada, dostrzegł rozległą przestrzeń zarośniętą przedtem rozmaitemi roślinami, uprawioną, podzieloną na kwatery, pokrytą szlamiem rzeczonym, kombinacją niezbędnie sympatyczną dla tulipanów, całość zaś otoczona darnią dla zabezpieczenia od usuwania się ziemi. Oprócz tego, położenie miejsca wybrane tak, że wschodzące słońce i zachodzące padało najkorzystniej, cień nawet został przewidziany, zabezpieczający od upału południowego; woda w obfitości w pobliżu, położenie południowo - wschodnie, słowem wszystkie warunki mietylko zupełnego powodzenia, ale nawet postępu. Nie masz wątpliwości, van Baerle został hodowcą tulipanów.

Bokstel przedstawił sobie natychmiast tego uczonego człowieka, posiadającego 400.000 kapitału i dziesięć tysięcy dochodu, który zwróci wszystkie środki moralne i fizyczne na hodowlę tulipanów na wielką skalę. Przewidział powodzenie jego w przyszłości i przedwcześnie uczuł taką rozpacz, że ręce mu zadrżały, nogi zachwiały i spadł z drabiny.

Tak więc van Baerle odjął mu pół stopnia ciepła, nie dla tulipanów malowanych, lecz rzeczywistych. Van Baerle będzie posiadał przepyszną suszarnię słoneczną, oprócz tego obszerną izbę, oświetloną, z przystępem świeżego powietrza, zbytek wzbронiony Bokstelowi, który był zniewolony obrócić na ten cel swoją sypialnię, i żeby nie zaszkodzić swym oddechem cebulom i nasiennikom, sypiał na strychu.

Tak więc drzwi we drzwi, o przedział ściany Bokstel miał współzawodnika zwycięzcę, a tym współzawodnikiem nie jest nieznanymi prosty ogrodnik, lecz syn chrzestny Korneljusza de Witt, sławnego męża.

Bokstel jak widzimy nie był podobny do Porusa, który pocieszał się tem, iż był zwyciężony przez Aleksandra, właśnie z przyczyny sławy swego przeciwnika.

W istocie cóż wtedy począć, gdy Baerle wynajdzie nowy rodzaj tulipanu i nazwie go Jan Witt, nazywając poprzedni Korneljuszem. Oh! wtedy umrę z rozpaczy.

Bokstel zawiśniętem przewidywaniem przepowiadał swoje nieszczęście odgadując to, co miało nastąpić.

Bokstel przepędził najokropniejszą noc w swoim życiu.

ROZDZIAŁ VI

NIENAWIŚĆ HODOWCY TULIPANÓW

Od tego czasu Bokstel żył w ciągłej obawie. Wszystko cokolwiek dodaje i podwyższa usiłowania rozumu w pielęgnowaniu myśli ulubionej, wszystko to Bokstel utracił, zajęty wyłącznie szkodą wyrządzoną mu przez sąsiada.

Van Baerle, jak należało wnosić, od chwili obrania stanowczego przedsięwzięcia, osiągnął pożądaný skutek, gdyż tulipany przepysznie się przyjęły. Wkrótce przewyższył nawet hodowców tulipanów w Harlem i Lejdzie, które to miasto uważane dotąd były z przyczyn miejscowych, jako najwygodniejsze do pielęgnowania tych kwiatów. Udało się Korneljuszowi urozmaicić barwy, nadawać kształty i pomnażać gatunki.

Należał on do tej szkoły naiwnej, która przyjęła od VII wieku ten aforyzm rozwinięty w 1650 r. przez jednego ze swoich adeptów:

„Kto pogardza kwiatami, obraża Boga“.

Z tego założenia wychodząc, szkoła tulipanistów wprowadziła w 1653 r. następujący sylogizm:

„Kto pogardza kwiatami, obraża Boga“.

„Im kwiat jest piękniejszy i nim gardzimy, tembardziej obrazamy Boga“.

„Tulipan jest najpiękniejszy z kwiatów“.

„Więc kto pogardza tulipaniem, obraża szczególnie Boga“.

Wskutek tego rozumowania jak widzimy przy złej woli, 4000 do 5000 tulipanistów Holandji, Francji i Portugalji, nie licząc w innych częściach, byłiby potępili cały świat i ogłosiliby heretykami, odszczepieńcami godnymi śmierci kilkadziesiąt milionów ludzi obojętnych dla tulipanów. Nie

małżeży wątpić, że w podobnej sprawie Bokstel lub śmiertelny wróg van Baerle'a postępowałby z nim pod jednym sztandarem.

Van Baerle w krótkim czasie widział swoje usiłowania utwieńczone pomyślnym skutkiem; o nim tylko mówiono w świecie tulipanowym, Bokstel zaś został zupełnie zapomniany. Korneljusz poświęcony wyłącznie uprawie, sadzeniu, hodowaniu tulipanów uwielbiany przez wszystkich miłośników tych kwiatów, nie domyślał się nawet, że stracił z tronu nieszczęśliwego sąsiada; po dwóch latach bowiem doczekał się tak cudownych wypadków, że nikt ze śmiertelnych oprócz Szekspira i Rubensa, nie mógł poszczycić się, że stworzył więcej.

Żeby mieć wyobrażenie o jednym z potępionych Danta, potrzeba było widzieć Bokstela w tym czasie. Gdy bowiem van Baerle uprawiał ziemię, sadił, polewał, przykłęknawszy napawał się rozkoszą przypatrywania każdej żyłce kwitnącego tulipanu, Bokstel ukryty za drzewem muru granicznego, śledził z iskrzącym wzrokiem zawiści każdy krok, każde poruszenie swego sąsiada, i gdy wydawał mu się zadowolonym, spostrzegłszy uśmiech na jego twarzy lub pogodne spojrzenie, wtedy obarczał go tysiącami złorzeczeniami, pragnąc śmiertelnym jadem przekleństw zatruć niewinne rośliny, źródła rozkoszy swego przeciwnika.

Bokstel nie ograniczył się na śledzeniu czynności van Baerla, zapragnął nadto śledzić postępy uprawy kwiatów, będąc prawdziwym miłośnikiem w duszy i arcydzieła sąsiada nie mogły być dla niego obojętne.

Kupiwszy teleskop w tym celu, mógł równie jako właściciel, badać najlżejsze zmiany kwiatu, od chwili, gdy wypuszcza w pierwszym roku blade pączek, zaledwie dostrzeżony nad ziemią, aż do perjodu pięcioletniego, w którym zaokrągliła się powabnie elipsoida kielicha i przybiera barwę niewyraźną prawie, lecz dla oka znawcy dostateczną dla ocenienia jej piękności.

Ileż to razy nieszczęsny zazdrośnik, pochylony nad drabiną widział tulipany oślepiające go swoją okazałością; wtedy dręczyła go gorączka zawiści, ta choroba trawiąca płuca i zamieniająca serce w miljardy jaszczurek pożerających się wzajemnie, obrzydłe źródło okropnych cierpień.

Ileż to razy wśród tych katuszy niepodobnych do okre-

ślenia, Bokstel powziął myśl wpaść mocną porą do ogrodu sąsiada, zniszczyć kwiaty, pogryźć cebule i rzucić się na niego, gdyby chciał stanąć w ich obronie.

Lecz zastanowiwszy się, że van Baerle dochodziłby szkody i niewątpliwie podejrzenie padłoby na niego, gdyż był jedynym sąsiadem jego i nietylko, żeby ściągnął karę na siebie, lecz nadto niechęć i wzgardę tulipanistów całej Europy; Bokstel przeto po długim namyśle chwycił się następującego pomysłu:

Pewnego wieczora przywiązawszy do jednej tylnej łapy dwóch kotów sznurek kilkołokciowej długości, przerzucili ich przez mur sąsiedni wprost na plantę wyborowych tulipanów, która zawierała w sobie nietylko tulipany zwane Korneljusz i Witt, lecz nadto Brabancję białości śnieżnej, purpurowo - różową, Marmurkowy trójkolorowy harlemski, ciemny kolumbijski i jasno-barwisty.

Strwożone koty spadły ze znacznej wysokości niespodzianie na plantę, usiłowały uciekać każdy w inną stronę; gdy jednakże sznurek się wyciągał w całej długości, wstrzymanymi przebiegali ciasną przestrzeń zakreśloną tymże sznurkiem, kosząc nim kwiaty, pośród których biegali; poczem, gdy nakoniec jeden z nich oswobodził łapę od uwiązania, opuścili miejsce spustoszenia. Bokstel ukryty za drzewem nie mógł nic dostrzec z przyczyny ciemnej nocy, lecz wnosząc z wrzasku kotów sądził, iż cel jego został osiągnięty.

Żądza przekonania się naocznie o wyrządzonej szkodzie zatrzymała go do świtu na drabinie, nie czuł zimna nocnego, zemsta ogrzewała go.

Oczekiwał na van Baerla i cieszył się nadzieją, że mu zadał cios dotkliwy.

O wschodzie słońca Korneljusz wszedł do ogrodu i zbliżał się do ulubionej planty, wtem dostrzegł naprzód nierówność na jej powierzchni, a następnie nieporządek pomiędzy szeregami tulipanów, jaki daje się widzieć w kolumnie piechoty, pośród której granat padnie.

Van Baerle nadbiegł błędąc.

Bokstel zadrzał z radości. Kilkanaście tulipanów było zniszczonych, łodygi jednych połamane, drugich pochylone, świadczyły najdowodniej o wyrządzonej szkodzie.

Lecz o dziwy! jakaż radość dla van Baerla, jakaż rozpacz dla Bokstela! żaden z czterech tulipanów pierwsze-

go rzędu nie poniósł szwanku. Było to dostateczną pociechą dla van Baerla, zaś jego sąsiad rwał sobie włosy z rozpacz, że zemścił się prawie bezskutecznie.

Van Baerle pomimo, że nie poniósł dotkliwej szkody, nie omieszkał badać o jej przyczynę, lecz z powziętych wiadomości okazało się, że przez część nocy słychać było miauczenie kotów, przytem łatwo było rozpoznać ich ślady, postanowił przeto dla uniknięcia podobnych wypadków postawić straż przy placie, jakoż tego samego dnia wystawiono szafas dla ogrodniczka.

Bokstel słyszał wydanie tego rozporządzenia i widział wznoszącą się strażnicę, zadowolony na ten raz, że nie został posądzony o udział w szkodzie, oczekiwał na odpowiednią porę do odłożonej zemsty.

W tym czasie, towarzystwo ogrodnicze w Harlem ogłosiło nagrodę za wynalezienie (nie śmiemy twierdzić) stworzenia wielkiego, czarnego tulipanu bez skazy, co podówczas uważane było za nierozwiązane zadanie, gdyż gatunek ten nie istniał w naturze, nawet w stanie dzikiego wyrostu.

W skutku czego mówiono, że ustanowiciele nagrody wynoszącej 100.000 zł. hol. mogli naznaczyć i 200.000 będąc pewnymi, że nikt jej nie otrzyma.

Pomimo tego tulipaniści wszystkich krajów wzięli się czynnie do dzieła, van Baerle należał do ich liczby, podobnież jak i Bokstel. Pierwszy z właściwą sobie cierpliwością i wytrwałością rozpoczął swoje doświadczenia od tego, iż starał się naprzód o zmianę koloru czerwonego tulipanu na brązowy, a ten następnie na ciemno brunatny.

W rok potem van Baerle doczekał się przewidzianego wypadku i Bokstel dostrzegł w ogrodzie jego tę przemianę barwy czerwonej na ciemno-brunatną, gdy on zaledwie otrzymał jasno - brązową.

Bokstel uznawszy się zwyciężonym przez przemożnego sąsiada, nawpół obłąkany poświęcił się wyłącznie śledzeniu jego kroków.

Dom van Baerla stał się odtąd celem badań Bokstela, który zamiedbawszy pielęgnowania własnych cebul i kwiatów, zajmował się tylko temi co się działo u pierwszego oddychał urojoną wonią łodyg tulipanów, napawał się wodą, którą też polewano i żywił się prawie pulchną ziemią, w którą je sadzono.

Lecz najbardziej zajmująca czynność nie odbywała się w ogrodzie.

Van Baerle nocną porą udawał się do swej pracowni, to jest do suszarni oddalonej, na którą głównie był zwrócony dalekowiedz Bokstela.

Wtedy można było dostrzec jak van Baerle siedzący przed stołem, na którym rozłożone były nasienniki polewał je płynami mającemi nadać stosowne barwy.

Bokstel odgadywał, że ogrzewanie niektórych nasienników i podlewanie ich, następnie wzajemne szczepienie, czynność bardzo umiejętna i wymagająca niezwykłej zręczności, zamykanie jednych w ciemności dla nadania czarnej barwy, jak wystawianie na działanie słońca lub lampy, miały na celu utworzenie czerwonej barwy; lub wreszcie poddawanie odbiciu czystej wody dla uzyskania białej, były to naiwno magiczne czynności wyobraźni młodzieńczej i genjuszu, pracowitego van Baerla, do czego nie czuł się zdolnym Bokstel, jednocząc wszystkie swoje władze umysłowe w tubie dalekowiedza, w której odtąd zawistnik pokładał swoje nadzieje, poświęcił myśli i życie.

Rzecz dziwna! podobne poświęcenie i miłość własna sztuki, nie zdołały ugasić barbarzyńskiej zazdrości i żądz zemsty. Częstość kierując swój dalekowiedz na van Baerla zdawało mu się, iż trzyma muszkiet w ręku i szukał cyngla mechanicznie.

Lecz zdaje się, że już dosyć o pracy jednego i szpiegostwie drugiego, zwróćmy się teraz do epoki, w której Korneliusz de Witt przybył do swego rodzinnego miasta.

ROZDZIAŁ VII

SZCZĘŚLIWY CZŁOWIEK ZAPOZNAJE SIĘ Z NIESZCZĘŚCIEM

Korneljusz de Witt jak nadmieniliśmy odwiedził swego chrzestnego syna w miesiącu styczniu 1672 roku.

Było to wieczorem. Korneljusz pomimo, że nie był miłośnikiem ogrodnictwa zwiedził cały dom: cieplarnie, suszarnie, galerję obrazów. Dziękował mu za nadanie nazwy jego pięknemu tulipanowi i wtedy, gdy spędzali rozkoszne chwile jak ojciec z synem, gromadziło się pospólstwo przed domem van Baerla, powodowane podówczas poszanowaniem i ciekawością dla Ruarta z Pulten.

Ten zgiełk niezwykle przebudził Bokstela ze zwykłej odrętwiałości.

Dowiedziawszy się o przyczynie, pospieszył z dalekowidzem na swoje stanowisko, pomimo dokuczającego zimna.

Dalekowidz jego od jesieni 1671 roku nie był czynnym. Tulipany, te córki wschodu nie hodują się w zimie. W tej porze potrzebują być w starannem zachowaniu i mieć przyzwoite ciepło. Korneljusz van Baerle całą zimę przepędził w bibliotece lub w pracowni malarskiej. Rzadko kiedy lbywał w suszarni cebul, chyba dla wpuszczenia rzadko pojawiającego się w porze zimowej słońca.

Wieczorem, dnia o którym na początku wspomnieliśmy, po zwiedzeniu domu, Korneljusz de Witt mówi po cichu do swego chrzestnego syna:

— Mój synu, oddal twych ludzi, pragnę z tobą pomówić na osobności.

Korneljusz skłoniwszy się mówi głośno:

— Czy raczysz pan teraz zwiedzić moją suszarnię tulipanów?

Suszarnia było to Pandemonium tulipanisty, sanetas sanetorum podobnie jak Delfy, miejscem wzbronionem dla ogółu.

Nigdy żaden sługa nie poważył się tam postawić stopy, jak się wyrażał Racine kwitnący w tej epoce. Korneljusz wpuszczał tam tylko podeszłą fryzyjską swoją manikę, która tam robiła porządek i miała takie poważanie dla swego pana, że od czasu jak poświęcił się hodowli tulipanów, nie kładła do potraw cebul z obawy, ażeby nie zniszczyła jakiego nasiennika.

Na wspomnienie suszarni, służący niosący świece cofnęli się z uszanowaniem. Korneljusz wzięwszy lichtarz od jednego z nich, poprzedził swego chrzestnego ojca. Dodajmy do tego, że Bokstel zwykle na tę suszarnię kierował swój dalekowidz.

Tego wieczora był na swoim stanowisku.

Naprzód dostrzegł oświetające się ściany i okna.

Poczem ukazały się cienie dwóch ludzi.

Jeden z nich wysoki, poważny, surowy, usiadł przed stołem, na którym Korneljusz postawił lichtarz.

Bokstel poznał w nim oblicze blade Korneljusza de Witt, którego długie czarne włosy rozdzielone na czole spadały na ramiona.

Ruartz z Pulten powiedziawszy kilka słów, jak można wnosić było z poruszeń ust jego, wyjął z za piersi pakiet opieczętowany papierów, które według wniosku Bokstela musiały być bardzo ważnemi, gdyż van Baerle przyjął je z postacią pełną godności i umieścił starannie w szufladzie. Sądził z początku, że ten pakiet zawierał w sobie nasienniki nowoprzybyłe z Bengalu lub Ceylonu, lecz wrkótce pomiarkował się, że Korneljusz de Witt nie zajmował się bynajmniej tulipanami, lecz ludźmi, gatunkiem roślin mniej poważnym dla wzroku, szczególnie zaś trudnym do zakwitnięcia.

Bokstel wyprowadził więc wniosek, że ten pakiet, zawiera w sobie papiery odnoszące się do polityki.

Lecz dlaczego przyjmował te papiery Korneljusz, który zdawał się być obcym zupełnie polityce i szczylił się nawet z tego.

Był to zapewne depozyt, który powierzał chrzestnemu

synowi de Witt w owej epoce tracący już na wziętości u narodu; ze strony Ruarta był to zręczny postępek, albowiem Korneljusz, jako obcy wszelkim intrygom, nie mógł być posądzanym o jakiebądź uczestnictwo w polityce.

Przytem, gdyby pakiet mieścił w sobie nasienniki, Bokstel znający swego sąsiada nie wątpił, iż ten natychmiast otworzyłby go, gdy przeciwnie Korneljusz przyjąwszy z uszanowaniem papiery, złożył je w głębi szuflady, w której były zachowane najkosztowniejsze cebule.

Po schowaniu papierów, Korneljusz de Witt powstał, ścisnął za rękę syna chrzestnego i zbliżył się do drzwi.

Van Baerle wzięwszy lichtarz do ręki, wyprzedził swego gościa.

Wtedy światło zniknęło z suszarni i ukazało się następnie na schodach potem w przedsionku, a nakoniec na ulicy napelnionej ciekawemi ludźmi, aby widzieć odjeżdżającego Ruarta.

Bokstel nie omylił się w swoim przypuszczeniu. Papiery złożone przez Ruarta stanowiły korespondencję Jana de Witt z p. Louvois, o czem jednakże van Baerle nie wiedział jak to nadmienić Korneljusz bratu swemu. Zalecił mu jedynie, ażeby nikomu nie wydawał tych papierów, oprócz jemu lub osobie mającej od niego pismo upoważniające.

Korneljusz schował ten depozyt pomiędzy najkosztowniejszemi cebulami.

Po odjeździe Ruarta, van Baerle zapomniał o depozycie, gdy tymczasem Bokstel okoliczność tę zachował w pamięci, który podobnie jak zręczny sternik, dostrzegał w niej daleką i niedostrzeżoną chmurę, która z czasem powiększa się i sprowadza burzę.

Z tem wszystkiem van Baerle szybko postępował na drodze do zamierzonego celu, uzyskał już bowiem odmiany barw tulipanów, i tak z ciemno brązowego doczekał się koloru palonej kawy; i tego dnia, gdy zaszły opisane wypadki w Hadze, zastaniemy go około pierwszej z południa wykopującego z planty pierwotne cebule, z nasienia tulipanów barwy palonej kawy, których kwitnienie nastąpić miało na wiosnę 1673 i wydać wielki czarny tulipan wymagany przez towarzystwo Harlemskie.

Dnia 20 sierpnia 1672 r. o godzinie pierwszej z południa, Korneljusz zasiadłszy w swej suszarni podparty łok-

ciem, przypatrywał się z rozkoszą trzem nasiennikom, które oddzielił od cebul; nasienniki te udały się najwyborniej.

— Wynajdę czarny tulipan, mówił do siebie Korneliusz i dostanę sto tysięcy nagrody.

— Te pieniądze rozdram ubogim Dordrechtu; tak więc nienawiść, którą bogaci obudzają w czasie wojen domowych, nie będzie mnie ścigać i będę mógł swobodnie utrzymywać swoje zakłady; nie będę się obawioć oranżystów ani republikanów, równie jak marynarzy i pospólstwa Dordrechtu w dniach zaburzeń, którzy dziś mi zagrażają zniszczeniem moich cebul, dla nakarmienia swoich rodzin, ile razy dowiedzą się, że kupiłem którą za dwieście lub trzysta złotych. Tak jest, te sto tysięcy oddam ubogim lub...

I przy tem lub, Korneliusz zatrzymał się i westchnął.

— Lub — mówi dalej, te sto tysięcy mogłyby być użyte na rozszerzenie moich ogrodów, albo też poświęcone na podróż do Indji, ojczyzny pięknych kwiatów.

— Lecz, niestety! ani myśleć o tem: muszkiety, chorągwie, bębny i proklamacje, oto panujące godła teraźniejszości.

Van Baerle wzniósł oczy do nieba i westchnął.

Poczem zwracając wzrok na cebule:

— Co za prześliczne nasienniki — mówi — jakie są gładkie, kształtne, a zarazem melancholijne, obiecując nadać czarność hebanu mojemu tulipanowi. Na ich skórze nie można dostrzec nawet żyły gołym okiem. Oh! nie masz wątpliwości, żadna skaza nie ukaze się na sukni żałobnej kwiatu, który będzie mi winien istnienie... Jak nazwać to dziecię moich myśli, pracy, owoc bezsennych nocy.

Tulipan nigra Barlaensis.

— Tak, Barlaensis, piękne imię! Tulipaniści Europy, to są wszyscy ludzie z rozsądkiem, zachwyceni zostaną wiadomością: wielki, czarny tulipan odkryty został. Jakże nazywają go? zapytują amatorowie. — Tulipa nigra Barlaensis. Dlaczego Barlaensis? — Od nazwiska jego wynalazcy, odpowiedzą. — Co to za jeden? Jest to ten sam, który odkrył już pięć innych gatunków: Joannę, Janę de Witt, i t. d. Otóż cała moja ambicja, nie wyciśnie łez nikomu. I pewny jestem, że będą jeszcze mówić o Tu-

lipa nigra Barlaensis, gdy mój chrzestny ojciec, ten wielki polityk będzie tylko znany z tulipanu, którego ochrzciłem jego nazwiskiem.

— Gdy mój tulipan zakwitnie, dam tylko pięćdziesiąt tysięcy ubogim, jeżeli spokojność przywróconą będzie w Holandji; zdaje mi się, że to dosyć jak na człowieka, który nikomu nie jest nic winien; drugie zaś pięćdziesiąt tysięcy poświęcę na doświadczenia. Tak, przy pomocy tych pięćdziesięciu tysięcy, spodziewam się, że nadam woń tulipanowi. Oh! gdyby mi się udało nadać mu woń gwoździka lub róży, albo zupełnie oddzielną coby było lepiej; gdyby mi się też udało przywrócić właściwy zapach temu kwiatu, który utracił opuszczając swój tron wschodni; zapach, który mieć można na półwyspie Indyjskim, w Goa, w Bombaj lub Madras, a nadewszystko na tej wyspie, która miała być rajem ziemskim, którą zowią Ceylon. Co za sława, wolałbym wtedy być Korneljuszem van Baerle jak Aleksandrem lub Cezarem.

„Co za przepyszne nasienniki!“

Korneljusz był zachwycony.

Wtem dał się słyszeć dzwonek u drzwi gabinetu.

Korneljusz wzdrygnął się i odwrócił, zasłaniając ręką nasienniki.

— Kto tam?

— W tej chwili przybył posłaniec z Hagi...

— Czegóż żąda?

— Jest to Kraeke.

— Kraeke zaufany sługa Jana de Witt, niech zaczeka.

— Nie mogę czekać — odpowiada głos na korytarzu.

I w tej chwili ukazał się Kraeke.

To ukazanie się niespodziane w tym miejscu tak zmieszało van Baerla, iż ten spostrzegłszy Kraekiego zrobił poruszenie konwulsyjne ręką, którą zakrywał nasienniki i wskutek czego dwie cebulki spadły mu ze stołu, jedna potoczyła się ku kominkowi.

— Do diabła! — zawołał Korneljusz wstając szybko, aby szukać nasienników — cóż się stało Kraeke.

— Oto nie tracąc czasu, masz pan natychmiast ten papier przeczytać i to mówiąc złożył papier na stole.

I Kraeke, który uważał przechodząc przez ulice Dordrechtu, że zanosi się na podobne zaburzenia, jak w Hadze, uciekł nie obróciwszy się nawet.

— To dobrze, dobrze — mój Kraeke — mówi Korneljusz wyciągając rękę pod stołem dla pochwycenia cebulki.

Poczem przypatrując się jej mówi:

— Otóż jedna nieuszkodzona. Ten czart Kraeke! wchodzić tak niespodzianie do mojej suszarni, lecz gdzie druga?

I trzymając w ręku znaną, van Baerle zaczął się klęczać do kominka, gdzie końcem palcy zaczął macać popiół, który na szczęście był zimny.

Po chwili zawoła:

— Otóż i druga nieuszkodzona!

Jednocześnie, gdy Korneljusz klęczał jeszcze przypatrywał się cebulce, drzwi suszarni otworzyły się tak gwałtownie, że Korneljusz uczuł w policzkach i uszach płomień złego daradcy zwanego gniewem.

— Cóż to znowu? — zapytuje — czy poszaleli?

— Panie, panie! — zawołał służący wpadając do suszarni błądy i bardziej wzruszony od Kraekiego.

— I cóż? — zapytuje Korneljusz przewidując niebezpieczeństwo, z powodu podwójnego pogwałcenia zaprowadzonego porządku.

— Ah panie! uciekaj coby prędzej.

— Ja ma uciekać, z powodu?

— Dom jest otoczony przez straż miejską.

— Czegóż chcą?

— Szukają pana.

— POCO?

— Ażeby go uwięzić.

— Minie?

— Tak: z nimi przybył także urzędnik.

— Co to ma znaczyć? — mówi van Baerle ściskając w rękę nasienniki.

— Już nadchodzą...

— Oh moje dziecię! — woła mamka wpadając. Zabierz złoto, kosztowności i uciekaj.

— Lecz którą mam uciekać?

— Wskocz oknem.

— Jest tak wysoko... dwadzieścia pięć stóp.

— Spadniesz na pulchną ziemię na sześć stóp.

Korneljusz wzięwszy ze stołu trzeci nasiennik, zbliżył się do okna, otworzył je, lecz na widok zniszczenia jakie

mógł zrządzić nasiennikom, nie zaś wskutek obawy wy-
skoczenia, zawołał:

— Nigdy tego nie uczynię.

I cofnął się o parę kroków.

W tej chwili dały się widzieć na schodach halabardy
żołnierzy.

Mamka wzniosła ręce do nieba.

Co się tyczy Korneljusza, należy przyznać nie na po-
chwaleń jego jako człowieka, lecz tulipanisty, że zajęty był
wyłącznie swojemi nieocenionemi nasiennikami.

Szukał wzrokiem papieru, w którym mógłby je zawinąć
i spostrzegłszy ćwiartkę biblji złożoną przez Kraekego
na stole, wziął ją i nie przypominając sobie skąd się wzię-
ła, tak dalece był zmieszany, że złożył z niej trąbkę
i wpuścił w nią nasienniki, poczem schował za piersi.

Niebawem ukazał się urzędnik, a za nim żołnierze.

— Czy pan jesteś Korneljuszem van Baerle? — zapy-
tuje go (pomimo, że znał go bardzo dobrze, lecz w tym wy-
padku stosował się ściśle do przepisów prawa.

— Ja nim jestem — odpowiada Korneljusz, kłaniając
się — zresztą wiesz pan o tem dobrze.

— A więc wydaj mi pan buntownicze papiery, które
masz u siebie.

— Papiery buntownicze! — zawołał Korneljusz zdzi-
wiony.

— Oh! nie udawaj zdziwionego.

— Przysięgam panie van Spennen — odpowiada Kor-
neljusz, że zupełnie nie wiem o co rzecz idzie.

— A więc naprowadzę pana na drogę — mówi sędzia —
wydaj nam papiery, które zdrajca Korneljusz de Witt
złożył u ciebie.

Korneljusz przypomniał sobie tę okoliczność.

— Oh! oh! zdaje mi się, że teraz zrozumiałeś o co rzecz
idzie.

— Tak jest, lecz pan mówisz o buntowniczych papie-
rach, a ja nie mam podobnych.

— Więc zaprzeczasz?

— Bezwątpienia.

Urzędnik sądowy obejrzał się, chcąc objąć wzrokiem
całą szuszarnię.

— Jaka część domu pańskiego zowie się suszarnią?

— Jest to właśnie ta, gdzie jesteśmy.

Urzędnik spojrział na papier, który trzymał w ręku.

— Tak, to prawda: poczem mówi — i jak, czy zechcesz oddać mi te papiery?

— Nie mogę panie van Spenmen. Te papiery nie są moje; oddano mi je jako depozyt, a ten jest świętym.

— Doktorze Korneljuszu — w imieniu Najjaśniejszych Stanów, rozkazuję ci otworzyć szufladę, w której zachowane są papiery.

I palcem wskazał na trzecią szufladę kantorka stojącego obok kominka.

Rzeczywiście w tej szufladzie były te papiery.

— A więc się wzbraniasz? — mówi sędzia, widząc, że Korneljusz stoi niewzruszenie — muszę widzieć sam otworzyć.

I wyciągając szufladę w całej długości ujrzał naprzód z dwadzieścia cebul ułożonych starannie z etykietą, dalej za nimi plik papierów, które tam spoczywały w tym stanie w jakim złożył je nieszczęśliwy Korneljusz de Witt.

Urzędnik odpieczętował je, zdarł kopertę, pochłaniając chciwym wzrokiem pierwszą stronicę przez jakiś czas, następnie zawołał:

— Byliście więc dobrze poinformowani.

— Jakto? — zapytuje Korneljusz.

— Nie udawaj napróżno p. van Baerle i chodź z nami.

— Ja mam iść z wami?

— Tak, gdyż w imieniu Stanów aresztuję ciebie.

— Minie aresztować! — zawołał Korneljusz; lecz jakaż moja wina?

— To do mnie nie należy; usprawiedliwisz się przed dwoma sędziami.

— Gdzie?

— W Hadze.

Korneljusz zdumiony, pocałował swoją mamkę, która straciła przytomność, pożegnał łkających służących i udał się za urzędnikiem, który odesłał go pojazdem do Hagi, jako więźnia stanu.

ROZDZIAŁ VIII

IZBA RODZINNA

Czytelnik domyśla się, bezwątpienia, że opisany wypadek był szatańskim dziełem Izaaka Bokstel.

Przypominamy, że za pośrednictwem swego teleskopu, był świadkiem odwiedzin Korneljusza de Witt u van Baerla, jak również, iż nic nie słyszał, lecz wszystko widział.

Przypominamy, że domyślił się ważności papierów powierzonych przez Ruarta swemu chrzestnemu synowi, wnosząc ztego, iż ukrył je pomiędzy zbiorom swych najrzadszych cebul.

Z tego wynikło, że Bokstel, który nie był tak obojętnym na politykę jak jego sąsiad, dowiedziawszy się o uwięzieniu Korneljusza de Witt obwinionego o zdradzę stanu, zaraz wpadł na myśl, iż dość będzie powiedzieć kilka słów, ażeby i chrzestny syn los swego ojca podzielił.

Jednakże jakkolwiek Bokstel pragnął zemstą, zadrzał na myśl oskarżenia, wskutek którego nietylko van Baerle byłby uwięziony, lecz i na śmierć skazany.

Złe myśli mają tę okropną własność, że złe umysły oswajają się z niemi stopniowo.

Przytem mynher Isaak Bokstel zachęcał siebie podobnemi sofizmami:

„Korneljusz de Witt jest złym obywatelem, ponieważ jest obwiniony o zdradę stanu i uwięzionym“.

„Co się mnie tyczy, jestem dobrym obywatelem, ponieważ mnie o nic nie obwiniają i jestem wolny jak ptak w powietrzu“.

„Więc kiedy Korneljusz de Witt jest złym obywatelem,

tym samym i współnik jego Korneljusz van Baerle także jest złym obywatelem“.

„Więc kiedy ja jestem dobrym obywatelem, i gdy obowiązkiem dobrych obywateli jest ostrzegać władze o szkodliwych zamiarach złych obywateli, winienem zatem podać oskarżenie na van Baerla“.

Lecz to rozumowanie jakkolwiek proste, nie byłoby może w zupełności nakłoniło Bokstela do tego kroku i być może zazdrośnik nie chwyciłby się tej drogi do zemsty trawiącej jego serce, gdyby duch zawiści nie połączył się z duchem chciwości.

Bokstel odkrył, do jakiego stopnia doszedł van Baerle w odkryciu wielkiego zadania o czarnym tulipanie.

Jakkolwiek Korneljusz był skromny, nie mógł jednakże ukryć przed zaufanymi przyjaciółmi, iż ma prawie niewątpliwą nadzieję, iż otrzyma w 1673 nagrodę ofiarowaną przez towarzystwo ogrodnicze harlemskie.

To zaufanie Korneljusz van Baerle zatruwało życie Izaaka Bokstel.

Gdyby przyszli aresztować Korneljusza niewątpliwie powstałoby w jego domu zamieszanie i nieład. Tej nocy szczególnie nikt nie będzie pilnował ogrodu. Tak tej nocy Bokstel przejdzie przez mur i gdyby było znane mu miejsce, gdzie była zasadzona cebula mająca wydać czarny tulipan, mógłby ją z łatwością wykopać; tak więc zamiast co miałyby zakwitnąć u Korneljusza, zakwitnie u niego, otrzyma przeto sto tysięcy nagrody i nadto będzie mógł nadać kwiatu nazwę tulipa nigra Bokstelensis.

Na jawie myślał tylko o wielkim czarnym tulipanie, we śnie ciągle o nim marzył.

Nakoniec 19 sierpnia około drugiej po południu Izaak nie mogąc się oprzeć pokusie, ułożył bezimiennie doniesienie i odesłał je pocztą.

Wieczorem władza otrzymała to doniesienie, wskutek którego wydała polecenie sędziemu van Spennen, pójścia na miejsce, zabrania papierów i aresztowania winnego.

Lecz czy to wskutek żalu lub też słabości w zbrodni, Izaak Bokstel dnia tego nie miał odwagi skierować swego dalekowidza ani na ogród, ani na suszarnię sąsiada.

Wiedział dobrze co dziać się będzie w domu biednego Korneljusza i dlatego nie był ciekawym. Z rana nawet powiedział swemu służącemu:

— Dziś nie wstanę z łóżka.

Około dziewiątej, usłyszał wielki hałas na ulicy i zatrwożył się; w tej chwili był bledszym niż prawdziwy chory, bardziej drżący, niż cierpiący prawdziwą febrę.

Służący jego znów przyszedł. Bokstel ukrył się pod kołdrę.

— Ah panie — zawołał nie wiedząc, że oznajmując o nieszczęściu van Baerla, przynosi pożądaną nowinę swemu panu — nie wiesz pan, co się dzieje?

— O czym mam wiedzieć? — zapytuje ledwo zrozumiałym głosem.

— W tej chwili przyszedł aresztować sąsiada pańskiego van Baerla, obwinionego o zdradę stanu!

— Czy to być może!

— Tak mówią, a przytem widziałem wchodzącego tam sędziego van Spennen i żołnierzy.

— Jeżeliś widział to co innego.

— Pójdę się jeszcze przekonać, bądź pan spokojny dowiesz się o wszystkim.

Bokstel dał znak zezwalający.

W kwadrans potem służący powrócił.

— Oh panie, wszystko prawda co mówiłem.

— Pan van Baerle jest aresztowany i odesłano go do Hagi.

— Do Hagi?

— Tak, i jeżeli to prawda co słyszałem, to tam nie długo pobędzie.

— Cóżś słyszał?

— Mówią, lecz to jeszcze nie jest pewnem, że lud w dniu dzisiejszym postanowił zamordować obu braci Wittów.

— Oh! to tylko? wyjąkał Bokstel zamykając oczy dla zakrycia obrazu, który zapewne w tej chwili przedstawiał mu się.

— Do diabła! — mówi do siebie wychodząc służący — mój pan musi być bardzo słaby, że nie wyskoczył z łóżka na podobną wiadomość.

W istocie Isaak był bardzo słaby, jak człowiek, który zamordował bliźniego.

Izaak zamordował tego człowieka w podwójnym celu; pierwszy został już osiągnięty, drugi pozostawał do wykonania.

Upragniona noc nadeszła.

Skoro się zmierzchno wstał z łoża.

Poczem udał się na swoje dawne stanowisko za mur graniczny. Przypuszczenie jego było trafne, nikt nie pilnował ogrodu.

Tam słyszał bijący zegar godziny dziesiąta, jedenasta, dwunasta.

O północy z bijącym sercem, z drżącymi rękoma, z wybladłą twarzą, zeszedł z drzewa, wziął drabinę, przystawił ją do muru, wstąpił na przedostatni szczebel i słuchał.

Zupełna cisza panowała. Żaden szelest nie dał się słyszeć.

Jedynе światło przenikało z okna mieszkania mamki.

Ta cisza i ciemność ośmieliły Bokstela.

Okrążywszy mur zatrzymał się w tej postawie na chwilę, poczem upewniony, że niema przyczyny obawiać się, przestawił drabinę ze swego ogrodu do ogrodu Korneljusza i zeszedł po niej.

Następnie znając dokładnie miejscowość, a szczególnie, gdzie były, cebule przyszłego czarnego tulipana, pobiegł w tym kierunku, jednakże uważał na to, ażeby iść ścieżkami nie pozostawiając śladów po sobie: przybywszy do wiadomego miejsca z radością tygrysa zanurzył paznogie w pulchnej ziemi.

Nie znalazłszy nic, sądził, że się omylił.

Zimny pot spływał mu z czoła.

Grzebał we wszystkich kierunkach, na prawo, na lewo, z przodu, z tyłu, nic!

Nakoniec rozpoznawszy, że ziemia było świeżo poruszona o mało nie oszalał z wściekłości.

I rzeczywiście, gdy Bokstel leżał w łóżku, Korneljusz zeszedł do ogrodu, wykopał cebulę i i jak widzieliśmy rozdzielił ją na trzy nasienniki.

Bokstel ledwo mogąc ruszyć się z miejsca, rozgrzebał kilkanaście stóp kwadratowych ziemi.

Upojony gniewem, powrócił tą samą drogą do siebie.

Wtem przyszła mu nowa myśl do głowy:

Nasienniki mogły znajdować się w suszarni.

Szło tylko o to, ażeby się tam dostać, co nie było rzeczą trudną, albowiem okna były tam tak urządzone jak zwykle w cieplarniach, to jest otwierały się zewnątrz i nie

były, opatrzone ryglami wewnątrz; przytem Korneljusz otworzywszy je z rana, nikt ich nie pozamykał.

Trzeba było wystarać się o dłuższą drabinę, Bokstel przypomniał sobie, że widział ogromną drabinę przystawioną do pobliskiego domu.

Bokstel pobiegł tam i przydźwigał z wielkiemi trudami do swego ogrodu, poczem zdobywszy się na resztę sił przystawił ją do suszarni Korneljusza.

Bokstel zaopatrzywszy się w latarkę ślepią, dostał się do suszarni.

Tam odetchnął przy stole, nogi się pod nim chwiały, serce biło mu gwałtownie.

Tu doznał przykrzejszego wrażenia, niż w ogrodzie; zdaje się, że pod gołem niebem własność mniej jest szanowaną; niejeden, który śmiało przez płot lub mur przeskakuje, zatrzyma się wahający przed drzwiami lub oknem.

W ogrodzie Bokstel nie mógł być uważanym za podejrzanego; w obcym mieszkaniu nocną porą, mógł być posądzonym o złodziejstwo.

Pomimo tego odzyskał odwagę, przecież tu nie przyszedł bez celu.

Lecz nadaremnie szukał, przewracał we wszystkich szufladach, szczególnie zaś w tej, gdzie były zachowane papiery Witta; znalazł wprawdzie bardzo porządnie ułożone z etykietą cebule pięknych tulipanów; Joanny, Wittów, nawet tulipany ciemno-brunatne i koloru kawy palonej; lecz o czarnym tulipanie ani wzmianki, a raczej o nasieniakach jego.

A przecież w księdze spisu nasion i cebul utrzymywanej przez van Baerla, z większą dokładnością może jak księgi najznakomitszego domu handlowego Amsterdamu, Bokstel wyczytał co następuje:

„Dziś 20 sierpnia 1672 r., wykopałem cebulę wielkiego czarnego tulipana, którą udało mi się rozdzielić na trzy doskonałe nasienniki“.

— Gdzież on ich podział! — zawył Bokstel.

Poczem uderzając się w czoło.

— Oh! niktzemny człowieku — zawołał, — oh! po trzykroć zgubiony Bokstelu, alboż to można rozłączyć się z nasiennikami! Czyż można je pozostawić w Dordrechtcie, gdy się wyjeżdża do Hagi? Czyż można żyć bez nasienni-

ków, które mają wydać czarny tulipan? Oh! on je uwiózł ze sobą niegodziwiec?

Ta myśl ukazała Bokstelowi bezskuteczność zbrodni, której się dopuścił.

Bokstel uderzył głową o ten sam stół, przed którym kilka godzin poprzednio van Baerle mapawał się tak długo z rozkoszą widokiem nasienników czarnego tulipana.

— Z tem wszystkiem — mówił nikczemnik podnosząc głowę — jeżeli ma je przy sobie nie zatrzyma ich przecież dłużej jak do śmierci... a wtedy...

Koniec tej okropnej myśli wyraził szatańskim uśmiechem.

— Nasienniki są w Hadze — mówił, — a zatem niema co robić w Dordrechtcie.

— Do Hagi zatem po nasienniki, do Hagi! Poczem Bokstel nie zwracając uwagi na obfite zbiory cebul, tak dalece był zajęty jedyną myślą; wyszedł przez okno na drabinę, którą odniósł na poprzednie miejsce i nakoniec powrócił do siebie.

ROZDZIAŁ IX

IZBA RODZINNA

Okolo północy van Baerle osadzony został w więzieniu Buitenhof.

Gdy Gryfus wyszedł naprzeciw nowoprzybyłego, przeczytawszy rozkaz, który mu doręczono, zawołał:

— Ah! to chrzestny syn Witta — wybornie, mamy tu właśnie izbę rodzinną i ta jest na twoje usługi.

I zadowolony ze swego dowcipu, dziki oranżysta, wzięwszy klucze do ręki, prowadził Korneljusza do celi, którą rano dnia tego opuścił Korneljusz de Witt, udając się na wygnanie, o jakim powtarzają ci wielcy moralіści aksjomat polityczny:

— „Umarli jedynie nie powracają“.

Gryfus prowadził tedy swego nowego gościa do izby rodzinnej.

Po drodze biedny Korneljusz nie słyszał nic oprócz szczekania psa i ujrzał tylko twarzyczkę młodej dziewczyny.

Pies wyszedł z budy i zwęszył nowoprzybyłego warcząc.

Dziewczyna, gdy więzień był na schodach uchyliła drzwi mieszkania, które zajmowała pod niemi i wyszedłszy z zapaloną lampą, którą trzymała w prawej ręce, oświecała swoją śliczną i rumianą twarzyczkę otoczoną włosami ciemno blond, gdy tymczasem lewą, przytrzymała swoją mocną odzież, którą zarzuciła na siebie będąc obudzoną z pierwszego snu przez niespodziane przybycie Korneljusza.

Byłby to piękny obraz i godny Rubensa, przedstawić to wnętrze schodów oświetlonych kagańcem Gryfusa i jego twarz posępną; u szczytu melancholijną postać Kornelju-

sza opartego o poręcz i patrzącego nadół, nakoniec świeżą twarzyczkę Róży, zarumienioną być może z przyczyny, iż więzień korzystając ze swego stanowiska, napawał się widokiem jej pięknych i okrągłych obnażonych ramion.

W głębi zaś, zupełnie w cieniu iskrzyły się ślepie brytana szczekającego, łańcuchem połyskującym z przyczyny podwójnego odbicia światła, z kagańca Gryfusa i lampy Róży.

Lecz czego by nie mógł oddać w swym obrazie sławny mistrz, to wyrazu boleści, który ukazał się na twarzy Róży, widząc powolnie wstępującego młodzieńca na schody, jak gdyby słyszała złowróżbne wyrazy ojca swego, wyrzuczone do niego na wstępie:

„Mamy tu właśnie izbę rodzinną“.

Ten widok wkrótce się zmienił. Gryfus odprowadził więźnia i wskazawszy mu łożo, na którym tyle wycierpiał ten, który oddał ducha Bogu, wziął kaganiec i wyszedł. Korneljusz rzucił się na łożo, lecz nie spał mając wzrok zwrócony na wąskie okienko okratowane, wychodzące na Buitenhof i tym sposobem dostrzegł wkrótce bielące się światło dzienne; wtedy powstał i zbliżył się do okna.

Na końcu placu, czarniawa masa otoczona niebieskawą mgłą ranną, wznosiła się odznaczając swój nieforemny profil, na białych ścianach domów.

Korneljusz rozpoznał szubienicę.

Na niej zawieszono były niekształtne szkielety krwią zbroczone.

Pospólstwo haskie napastwiwszy się nad ciałami ofiar, odniosło je na szubienicę i ozdobiło ją potwornej wielkości tablicą, z napisami nabazgranymi pędzlem.

Korneljusz mając wzrok dobry wyczytał co następuje:

„Tutaj wiszą: wielki zbrodniarz Jan de Witt i mały łotr Korneljusz, brat jego, dwaj nieprzyjaciele ludu, lecz wielcy przyjaciele króla Francji“.

Korneljusz wydał okrzyk zgrozy i w przystępie rozdzierającej boleści, uderzył kilkakrotnie rękami i nogami we drzwi tak silnie i pospiesznie, że na ten hałas nadbiegł rozgniewany Gryfus z pękiem kluczy w ręku.

Otworzył drzwi z okropnymi złorzeczeniami zawołałszy:

— Czy on oszalał czy ci Wittowie są od czarta opętani.

— Panie — mówi Korneljusz, wzięwszy dozorcę za ramię i ciągnąc go do okna — powiedz mi co to znaczy?

— Co takiego?

— Tam na tej tablicy...

I blade, drżący, ledwo oddychając, wskazywał na szubienicę.

Gryfus rozśmiał się.

— Ah! ah! toś pan czytał..., a więc mogłeś przekonać się co czeka tych, którzy mają związki z nieprzyjaciółmi księcia Oranji.

— Wittowie zostali zamordowani! — szepnął Korneljusz, padając na łożę z opuszczonemi rękami, zamknąwszy oczy.

— Wittowie ukarani zostali, nie zamordowani! rozumiesz mój panie!

Lecz widząc, iż więzień nietylko się uspokoił, lecz wpadł w zupełną odrętwiałość, wyszedł trzasnąwszy drzwiami, zasuważąc rygle z łoskotem.

Odzyskawszy przytomność, Korneljusz jako prawdziwy filozof i chrześcijanin, odmówił modlitwę za duszę swego chrzestnego ojca i brata jego, poczem poddał się sam rozporządzeniom Boga.

Następnie zstępując z nieba ku ziemi, a z tej do swego więzienia i zapewniwszy się, że jest samym, wyjął z za piersi nasienniki czarnego tulipana i ukrył je za ławeczkę, na której stawiano dzbanek z wodą; miejsce to było w samym rogu izby i w zupełnym cieniu pogrążone.

Nadaremnie więc poniósł trudy przez tyle lat! zniweczone nadzieje w jednej chwili, odkrycie jego zaginie równie jak on dla świata. W tym więzieniu ani szczypty trawy, ani atomu ziemi roślinnej, ani promyka słonecznego.

Na tę myśl Korneljusz poddał się ponurej rozpacz, którą nadzwyczajna okoliczność przerwała.

Jakaż była ta okoliczność?

Opowiemy to w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ X

CÓRKA DOZORCY WIĘZIENIA

Następnego wieczora, Gryfus przyniósłszy pożywienie dla więźnia, otwierając drzwi poślizgnął się i upadł tak nieszczęśliwie, że złamał sobie rękę przy samym zgięciu.

Korneljusz powstawszy zbliżył się do dozorca, lecz ten nie wiedząc o niebezpiecznym stanie w jakim się znajdował, mówi:

— To nic, nie potrzebuję ciebie.

I chciał się podnieść wznosząc na rękę, lecz kość trzaśła; wtedy Gryfus uczuł ból i krzyknął przeraźliwie.

Domyślił się, że złamał rękę i ten człowiek tak nieczuły dla innych, padł zemdłony u progu drzwi, gdzie pozostał zdrętwiały jak trup.

Drzwi były otwarte i Korneljusz ujrzał się prawie wolnym.

Lecz nie przyszła mu myśl nawet korzystać z tego wypadku; jako lekarz z powołania umiał ocenić na pierwszy rzut oka rodzaj złamania ręki i postanowił nieść mu pomoc, pomimo, że Gryfus okazywał mu taką nieprzychylność.

Na łoskot upadającego ciała, po wydaniu jęku bóleści, dały się słyszeć szybkie stąpania na korytarzu i wkrótce za ukazaniem się pięknej postaci fryzjki, Korneljusz wykrzyknął i odpowiedziano mu podobnie.

Była to córka Gryfusa, która widząc ojca rozciągniętego na podłodze, a nad nim pochylonego więźnia, mniemała w pierwszej chwili, znając grubiaństwo Gryfusa, iż oskarżony został przez nowoprzybyłego.

Korneljusz domyślił się tego, lecz ona rzutem oka ob-

jąwszy położenie, zawstydzona, zwracając swe śliczne oczy na młodzieńca, powiedziała:

— Przebacz pan i przyjm zarazem moje dzięki. Przebacz mi za to, com pomyślała i przyjm podziękowanie za to, co czynisz.

Korneljusz zarumienił się.

— Dopełniam tylko obowiązku chrześcijanina — mówił — niosąc pomoc bliźniemu.

— Tak, niosąc mu pomoc tego wieczora, zapomniałeś o obelgach wyrządzonych ci zrana; panie to jest więcej, niż ludzkość, jest to nawet więcej niż chrześcijaństwo.

Korneljusz zwrócił wzrok na piękną dziewczycę zdziwiony usłyszawszy z ust dziecka ludu, słowa tak szlachetne i budujące.

Lecz nie miał czasu wynurzenia jej swego zdziwienia. Gryfus, powróciwszy do przytomności, otworzył oczy i jednocześnie odzyskawszy zwykłą gburowatość, przemawia:

— Ah! to wybonnie, otóż to być dobrym dla was, spieszę się z wieczerzą dla więźnia, upadam z pośpiechu, łamię rękę i leżę bez ratunku.

— Jesteś niesprawiedliwym mój ojcie dla tego pana — odzywa się Róża — gdyż zastałam go jak ciebie ratował.

— On? — zapytuje Gryfus z powątpiewaniem.

— To prawda, gotów jestem znów nieść mu pomoc.

— Pan? czy jesteś doktorem?

— Tak jest.

— Więc mógłbyś nastawić mi rękę?

— Nie wątpię o tem.

— I cóż do tego potrzeba?

— Parę deszczułek i bandaży.

— Słyszysz Różo, więzień nastawi mi rękę... to jest oszczędność... no, teraz pomóż mi powstać, zdaje mi się, że jestem z ołowiu.

Róża podała rękę ojcu, który otoczył jej zdrową szyję i z wysiłkiem powstał na nogi, gdy tymczasem Korneljusz podał mu krzesło.

Gryfus usiadłszy mówi do córki:

— Czyś słyszała czego potrzeba? idźże więc.

Róża wyszła i niebawem powróciła z dwiema klepkami od beczki i z płótnem, na bandaże.

Korneljusz przez ten czas rozbierał dozorcę.

— Czy tego pan potrzebowałeś? — zapytuje Róża.

— Tak — odpowiada Korneljusz spoglądając na przyniesione przedmioty — tak, teraz przysuń panna ten stół, gdy ja będę przytrzymywał rękę ojca.

Róża przysunęła stół. Korneljusz umieścił na nim złamaną rękę na płask i z rzadką zręcznością skupił zdruzgotane kości, obłożył rękę klepkami i obwinął ją bandażami.

Przy końcu tej czynności, dozorca zemdlął.

— Idź panna po ocet — mówi Korneljusz, natrzemy mu skronie i wróci do przytomności.

Lecz zamiast dopełnić danego zlecenia, Róża, upewniwszy się, że ojciec rzeczywiście zemdlął, zbliżyła się do Korneljusza i mówi:

— Mój panie, przysługa za przysługę.

— Cóż to ma znaczyć piękne dziecię?

— To znaczy, iż sędzia, który ma badać pana jutro, przyszedł dziś rano zapytać w jakiej izbie jesteś pan osadzony, gdy odpowiedziano mu, że w tej samej co Korneljusz de Witt, roześmiał się tak złowrogo, iż należy się skłusnie lękać o los pana.

— Lecz... cóż mnie spotkać może?

— Spójrz pan na szubienicę

— Lecz jestem niewinny.

— Czyż oni byli winnymi, ci którzy wiszą?

— Masz rację — mówi Korneljusz.

— Przytem, czyś winny lub nie, to tylko wiem, że twoja sprawa jutro się rozpocznie, pojutrze zapadnie wyrok, oh! bo w tych czasach wszystko spieszenie idzie.

— A więc jakież wniosek z tego, moja panno?

— Mówię tak, jestem samą, słabą kobietą, mój ojciec bez przytomności, pies na łańcuchu, słowem, nic nie przeszkadza panu do ucieczki. — Uciekaj!

— Co mówisz?

— Mówię, że ponieważ nie mogłam ocalić ani p. Korneljusza, ani jego brata, pragnęłabym ocalić pana. Tylko spiesz się: oddech powraca już mojemu ojcu, za minutę może otworzy oczy, a wtedy będzie zapóźno. Jakto? wahaś się!

W istocie Korneljusz stał niewzruszony spoglądając na Różę, lecz zdawało się, że jej nie słyszy.

— Czy mnie pan nie rozumiesz? — zapytuje zniecierpliwiona dziewczyna.

— Rozumiem — lecz...

— Lecz?

— Nie chcę! Byłabyś obwinioną.

— Cóż z tego? — mówi Róża rumieniąc się.

— Dziękuję ci moje dziecię; — lecz pozostanę.

— Zostaniesz? mój Boże! mój Boże! Czyś mnie nie zrozumiał, że będziesz skazany na śmierć, zginięsz z ręki kłata, albo być może zamordują ciebie... pokroją twoje ciało w kawałki, podobnie jak Jana i Korneljusza. Na miłość Boską nie troszcz się o mnie i uciekaj coby prędzej z tej izby, w której Witt...

— He... — zawołał dozorca ocknąwszy się... — kto mówi o tych łotrach, zbrodniarzach Wittach?

— Nie unos się mój poczciwy człowieku — mówi Korneljusz ze słodkim uśmiechem — nie masz nic szkodliwszego w twoim położeniu jak rozjątrzać krew.

Poczem cicho mówi do Róży:

— Moje dziecię, jestem niewinny, będę oczekiwał na moich sędziów.

— Cicho! — mówi Róża.

— Z powodu?

— Nie trzeba, żeby ojciec wiedział, żeśmy z sobą rozmawiali.

— Dlaczego?

— Dlaczego? bo nie dozwoliłby mi przyjść tutaj więcej.

Korneljusz przyjął to wyznanie z uśmiechem; zdawało mu się, że promień szczęścia zabłysnął dla niego.

— Cóż tam z sobą szepczecie — mówi Gryfus powstawszy, przytrzymując zdrową ręką złamaną.

— Nic — odpowiada Róża — ten pan udzielał mi rad, jak się ma ojciec zachować podczas leczenia.

— Jak się mam zachować? ale ty moja piękna, czy wiesz jak się masz zachować?

— Ja?

— Tak, masz wiedzieć raz na zawsze, że nie powinnaś wchodzić do więźni, albo jeżeli przypadkiem wejdiesz, to należy bawić jak najkrócej; a teraz ruszaj naprzód.

Róża i Korneljusz spojrzeli na siebie.

Spojrzenie Róży wyrażało:

— Widzisz więc.

Wzrok Korneljusza zdawał się przemawiać:

— Niech się dzieje wola Boska.

ROZDZIAŁ XI

TESTAMENT KORNELJUSZA VAN BAERLE

Róża mówiła prawdę. Sędziowie przyszedli do Buitenhof dla badania Korneljusza van Baerle. Zresztą te badania długo nie trwały, albowiem było rzeczą dowiedzioną, iż Korneljusz przechowywał u siebie korespondencję Wittów z Francją.

Nie przeczył temu.

To tylko było wątpliwem, czy tę korespondencję złożył u niego Korneljusz de Witt.

Gdy jednakże po śmierci obu braci, Korneljusz van Baerle nie miał przyczyny oszczędzać nikogo, przeto przyznał, że te opieczetowane papiery, powierzył mu Korneljusz de Witt i w jakich okolicznościach miał je zwrócić.

To zeznanie rzucało podejrzenie, że van Baerle musiał mieć udział w zbrodni Korneljusza, jako jego powiernik.

Oprócz tego, Korneljusz wyznał wszystko co odnosiło się do jego skłonności, zwyczajów i sposobu życia. Twierdził, że był zawsze obojętnym na politykę, jak niemniej, że był zamiłowanym w naukach, sztukach pięknych, a szczególnie w kwiatach. W końcu dodał, iż nigdy od przybycia Korneljusza do Dordrechtu, czyli od złożenia depozytu, nietylko, że nie tknął się go, ale nawet nie spojrział na niego.

Zwrócono jego uwagę, że było to niepodobieństwem, ponieważ papiery te były zamknięte właśnie w szafie, którą codziennie otwierał.

Korneljusz nie zaprzeczył temu, lecz zarazem dodał, iż zaglądał do szuflady tej szafy dla zapewnienia się o stanie swych cebul i nasienników.

Na to zwrócono mu uwagę, że jego udana obojętność do tych papierów nie zasługuje na wiarę, gdyż przy złożeniu tak ważnych papierów, Korneljusz musiał nadmienić mu, co one w sobie zawierają.

On zaś utrzymywał przeciwnie, iż jego chrzestny ojciec był człowiekiem rozsądnym i kochał go bardzo, przeto nie chciał dręczyć go treścią papierów, które mogły stać się źródłem jego niespokojności. Lecz na to odpowiedziano mu, iż gdyby tak było rzeczywiście, Korneljusz de Witt dołączyłby powinien do pakietu, na wszelki wypadek świadectwo udowadniające, iż syn jego chrzestny był zupełnie obcym tej korespondencji, albo też w ciągu swego procesu napisałby kilka słów, które mogłyby usprawiedliwić van Baerla.

Korneljusz ze swej strony usprawiedliwiał swego chrzestnego ojca, uważając, iż złożony depozyt w pewnym ręku, osądził zbytecznym wydawać świadectwo; że co się tyczy drugiej uwagi, to jest napisania listu, przypomniał sobie wprawdzie, że w dniu jego aresztowania, gdy był zajęty przyglądaniem się jednej z najrzadszych cebul, służący Jana de Witt wszedł do jego suszarni i doręczył mu pismo, lecz o tej okoliczności zachował wspomnienie jedynie, gdyż służący natychmiast oddalił się, a co się tyczy pisma, pewnie wynalazłoby się, gdyby starannie go szukano.

Co się tyczy Kraekego, niepodobna było go znaleźć, albowiem opuścił Holandję.

Pisma zaś nie szukano wcale, gdyż nie spodziewano się go znaleźć.

Korneljusz niebardzo też nalegał o to odkrycie, ponieważ pismo to, być może, mogło odnosić się do korespondencji, stanowiącej główny zarzut obwinienia.

Sędziowie zdawali się podawać Korneljuszowi środki obrony, postępowali z nim z dobroduszną cierpliwością, która oznacza zajęcie się sędziego losem obwinionego, lub też zwycięzcę, który pokonawszy przeciwnika, nie potrzebuje dręczyć go, żeby go zgubić.

Korneljusz poznał się na tej obłudnej protekcji i ostatnia jego odpowiedź godną była niewiennie prześladowanego i sprawiedliwego człowieka:

— Żądacie panowie szczerego wyznania, posłuchajcież mnie: Papiery u mnie znalezione, doszły rąk moich tym

sposobem jak opowiedziałem; przysięgam przed Bogiem, że nie wiedziałem i dotąd nie wiem, co w sobie zawierać mogły, nawet w dniu aresztowania nie powiedziano mi, że to była korespondencja Wielkiego Pensjonarza z margrabią Luvois. Nakoniec zapewniam, że nie wiem jakim sposobem dowiedziano się, że były u mnie zachowane, zresztą nie pojmuję jak można uważać mnie za winnego, żem je przyjął od ojca chrzestnego.

Taka była obrona Korneljusza. Sędziowie zebrali się dla dania głosów.

Opinia ogólna wszystkich była ta, że każdy uczestnik wojny domowej, jest niebezpiecznym z przyczyny, iż podnieca niezgodę, którą należy przytłumić.

Jeden z sędziów uchodzący za biegłego spostrzegacza dowodził, że młodzieniec ten powierzchownie powolnego charakteru, musi być rzeczywiście bardzo niebezpiecznym, gdyż pragnąc pomścić śmierć Wittów ukrywa się pod lodowatą obojętnością.

Drugi zwrócił uwagę, że zamiłowanie w tulipanach ma ścisły związek z polityką, bo historia nas uczy, iż wielu niebezpiecznych ludzi zajmowało się pozornie ogrodnictwem, a w rzeczywistości co innego mieli na celu; jako to stary Tarkwinjusz hodujący makówki w Gabji i wielki Kondeusz, który polewał goździki w zamku wincęńskim i to wtedy, gdy pierwszy zamyślał powrócić do Rzymu, a drugi uciec z więzienia; rozumowanie swoje tak zakończył:

Albo Korneljusz van Baerle zamiłowany jest w polityce, albo też w tulipanach; w obu przypadkach dowiedliśmy mu, iż skłamał, ponieważ wiadomo, iż zajmował się polityką, czego listy u niego znalezione najlepiej dowodzą; powtóre, że zajmuje się hodowlą tulipanów i to nie ulega powątpiewaniu, gdyż znaleziono u niego nasienniki.

Nakoniec — i to stanowi główne obwinienie — ponieważ van Baerle zajmował się namiętnie polityką i tulipanami, należy więc z natury do najszkodliwszych ludzi i zachodzi najzupełniejsze podobieństwo pomiędzy nim, a starym Tarkwinjuszem i Kondeuszem, najniespokojniejszymi ludźmi w świecie.

Wypadkiem tych rozumowań było to, że J. K. Mość statuder Holandji będzie mocno obowiązany sądownictwu Hagi, jeżeli ułatwi mu spokojne rządzenie stanami zjedno-

czonemi, przez wytępienie zarodów buntu przeciw jego władzy.

Ta ostatnia uwaga przewyższyła wszelkie inne i dla stanowczego wytępienia zarodów buntu, wyrzeczoną została kara śmierci na van Baerla, który pod pozorem niewinnego miłośnika tulipanów, wpływał do wszelkich występnych intryg i spisków pp. Wittów i w tym celu zgadzał się z Francją.

Nakoniec wyrażono w wyroku rodzaj śmierci, to jest przez ucięcie głowy toporem na głównym placu w Buitenhof.

Posiedzenie sądowe trwało pół godziny i w tym czasie więzień odprowadzony został do swej celi.

Następnie po zapadnięciu wyroku, pisarz sądowy przybył, aby mu go przeczytać.

Gryfus leżał w łóżku, z powodu złamania ręki, zastępował go sługa więzienny, który wprowadził pisarza do skazanego, i gdy weszli, piękna Róża stanęła w progu drzwi nawpół uchylonych, zakrywając usta chustką dla przytłumienia westchnień i płaczu.

Korneljusz wysłuchał wyroku bardziej z zadziwieniem, niż smutkiem.

Poczem, pisarz zapytał go, czy nie ma czego do nadmienia.

— Nic zupełnie, mój panie, oprócz zadziwienia, że nigdy nie przypuszczałem, ażebym skończył życie podobną śmiercią.

Na co pisarz skłonił mu się uprzejmie, jak to jest przyjęte w podobnych razach, i gdy miał już wychodzić, Korneljusz zapytał go:

— Zapomniałem zapytać pana o rzecz najgłówniejszą który dzień wyznaczono?

— Dziś — odpowiada pisarz zmieszany zimną krwią skazanego.

Westchnienie dało się słyszeć za drzwiami.

— O której godzinie?

— W południe.

— Do kata! — mówi Korneljusz — słyszałem bijącą godzinę dziesiątą przed pół godziną blisko. Nie mam więc czasu do stracenia.

— Bez wątpienia, dla pojednania się z Bogiem — od-



Van Baerle ze smutkiem patrzył przez kraty...

powiada pisarz skłoniwszy się do ziemi — i możesz wezwać kapłana.

To powiedziawszy wyszedł cofając się ku drzwiom, zastępca dozorcycy zabierał się do zamknięcia drzwi, gdy drżąca i biała rączka zatrzymała go.

Korneljusz dostrzegł tylko złoty kołpaczek z koronkowemi uszkami, zwykle ubranie głowy fryzyjek, dosłyszał szept, poczem dozorca oddał dziewicy pęk kluczy i zszedłszy kilka schodów, usiadł na stopniu w połowie wysokości.

Korneljusz poznał Różę, która ze łzami w oczach zbliżyła się do niego wołając:

— Oh! panie, panie... i więcej nie mogła mówić.

— Moje piękne dziecię, czego żądasz ode mnie? — zapytuje wzruszony Korneljusz.

— Przychodzę błagać pana o łaskę — mówi Róża, wyciągając ku niemu ręce.

— Nie płacz, proszę cię Rózo, twoje łzy bardziej mnie wzruszają, jak myśl o mej bliskiej śmierci. Powinnaś wiedzieć, że gdy skazany jest niewinnym, powinien umierać spokojnie, a nawet z radością, ponieważ umiera męczennikiem. Nie płacz piękna Rózo i powiedz czego żądasz?

Dziewica ukłękła.

— Przebacz ojcu mojemu panie.

— Twemu ojcu? — zapytuje zdziwiony Korneeljusz.

— Tak... gdyż on był dla pana tak opryskliwym! lecz to jego zwykły stan, on postępuje podobnie ze wszystkimi...

— On został ukarany, droga Rózo, bardziej jak ukarany wskutek wypadku, który mu się przytrafił; co się mnie tyczy, przebaczyłem mu.

— Dziękuję ci pani — mówi Róża. — Teraz zaś powiedz pan, czy ja z mej strony mogę coś uczynić dla niego.

— Proszę cię — tylko przestań płakać, drogie dziecię— odpowiada Korneljusz ze słodkim uśmiechem.

— Lecz dla pana... dla pana...

— Ten, który ma tylko godzinę do życia, byłby chyba sybarytą, żeby czegoś potrzebował.

— A duchowny?

— Czcilem Boga przez całe życie Rózo. Kochałem Go i uwielbiałem w jego dziełach, błogosławiłem wolę Jego. Bóg widzi serce moje i nie mam potrzeby wzywać pomocy

duchownego. Ostatnia myśl moja odnosi się do chwały Bożej.

— Ty możesz mi być wszakże pomocną do wykonania mojej ostatniej myśli.

— Ah, panie Korneljuszu, mów, mów...

— Podaj mi twoją piękną rękę i przyrzecz mi, że się śmiać nie będziesz.

— Ja miałabym się śmiać, ja! — zawołała Róża z rozpaczą — śmiać się w podobnej chwili. Widać więc, żeś pan na mnie nie spojrział.

— Przeciwnie, patrzyłem na ciebie, Rózo, oczyma ciała i wzrokiem duszy. Nie widziałem nigdy piękniejszej kobiety i duszy czystszej i jeżeli obecnie odwracam wzrok od ciebie, to z tej przyczyny, że mając wkrótce umrzeć, nie chciałbym, ażeby czegoś żałować na ziemi.

Róża zadrżała. Gdy Korneljusz kończył mówić, słychać było zegar uderzający jedenastą.

Korneljusz zrozumiał to poruszenie.

— Tak, tak, spieszmy, Rózo.

Wtedy, wydobywszy z za piersi zawinięte w papier nasienniki, mówi:

— Wiedz moja piękna przyjaciółko, iż lubiłem mianietnie kwiaty. Było to wtedy, gdy nie przypuszczałem, ażeby można kochać coś innego. Oh! nie rumień się... nie odwracaj się ode mnie. Rózo, choćbym ci nawet wyznał miłość moją. To ciebie mało obchodzić może, gdyż za godzinę ukarany będę za swoją śmiałość.

— Lubiłem tedy kwiaty, Rózo, i jak mi się przynajmniej zdaje, wynalazłem nowy gatunek czarnego tulipanu, co uważane było dotąd za niepodobieństwo; za odkrycie zaś podobnego gatunku, nie wiem czy ci to wiadomo, towarzystwo ogrodnicze harlemskie ofiarowało nagrody sto tysięcy zł. Tę nagrodę — Bóg mi świadkiem czy jej żałuję — mam oto w tym papierze; można ją uzyskać za pośrednictwem tych nasienników, które przyjmij, Rózo, ode mnie.

— Panie!

— Oh! możesz je przyjąć Rózo i nikomu szkody nie wyrządzisz. Jestem sam jeden na świecie, mój ojciec i matka pomierali, nie miałem nigdy brata, ani siostry, nie kochałem nikogo i nie wiedziałem czy mnie kochano. Wi-

dzisz więc, Rózo, że jestem opuszczony i w tej strasznej chwili, ty jedna tylko mnie pocieszasz.

— Lecz panie sto tysięcy zł.

— Tak, te sto tysięcy będą stanowić piękny posag przy twojej urodzie, i pewny jestem, że go otrzymasz, gdyż te nasienniki nie zawiodą ciebie. Wymagam tylko od ciebie przyrzeczenia, ażebyś poślubiła młodzieńca w moim wieku

— Nie przerywaj mi, Rózo, pozostaje nam kilka minut.

Biedną dziewczynę dusiły łkania.

Korneljusz ujął jej rękę.

— Słuchaj mnie uważnie, jak masz postąpić. Udasz się do Dordrechtu dla zabrania ziemi z mego ogrodu, zażądaj od mego ogrodnika ziemi z planty Nr. 6, poczem w głębokiej donicy zasadzisz te nasienniki, one zakwitną w maju, to jest za siedem miesięcy, i gdy dostrzeżesz kwiat na łodydze, powinnaś nocą strzec go od wiatru, a we dnie od zbytniego słońca. Zakwitnie czarno, jestem pewny; wtedy zawiadomisz o tem prezesa towarzystwa harteńskiego. Sprawdzą barwę kwiatu i wyliczą ci sto tysięcy zł.

Róża westchnęła głęboko.

— Teraz — mówi dalej Korneljusz ocierając łzę poświęconą czarnemu tulipanowi, którego miał nie urzeć w tem życiu — pragnę tylko jeszcze, ażeby tulipam przypominał nasze imiona; ponieważ zaś nie umiesz po łacinie, być może, iż zapomniałabyś tej nazwy, postaraj się więc o ołówek i papier.

Róża płacząc ciągle, podała mu książkę oprawną w pergamin, na którym widzieć się dawały zgłoski K. W.

— Cóż to jest za książka?

— Niestety! jest to biblja twego ojca chrzestnego. W niej to czerpał on męstwo, gdy prowadzono go na tortury. Znalazłam ją w tym pokoju i zachowałam jako świętość, dziś przyniosłam ją ze sobą sądząc, że i dla ciebie będzie skuteczną.

Napisz więc pan w niej co masz napisać i chociaż nie umiem czytać, bądź pan pewny, iż spełnię ściśle, co mi polecasz.

Korneljusz wzięwszy biblję do ręki, pocałował ją.

— Czemże napiszę?

— Jest tam wewnątrz ołówek, który pozostawił Jan de Witt, dając go bratu do napisania listu do van Baerla.

Korneljusz wzięwszy go do ręki, na drugiej stronie— gdyż pierwsza była wydartą przez jego chrzestnego ojca— napisał pewną ręką:

„Dziś 23 sierpnia 1672 na kilka chwil przed oddaniem ducha Bogu, skazany niewinnie na śmierć, zapisuję Róży Gryfus jedyny skarb, który pozostał mi z dostatków ziemskich, gdyż te mi skonfiskowano; zapisuję tedy Róży Gryfus trzy nasienniki, które według mego przekonania, powinny zakwitnąć w maju roku przyszłego i wydać czarny tulipan, za który przyznana jest nagroda sto tysięcy zł. hl. przez towarzystwo harlemskie. Życzeniem mojem jest, ażeby te sto tysięcy odebrała za mnie jako moja spadkobierczyni z warunkiem jedynie, ażeby poślubiła młodzieńca w moim wieku, i który byłby godnym jej miłości; oraz, żeby nadała nazwę tulipanowi czarnemu Rosa Barlaensis, to jest naszych połączonych imion.

„Niech Bóg przyjmie mnie do swej chwały, a ją obdarzy pomyślnością“.

Korneljusz van Baerle.

Poczem oddając biblię Róży, mówi:

— Przeczytaj.

— Niestety... nie umiem.

Korneljusz przeczytał Róży swój testament.

W ciągu tego czytania dziewczica płakała głośno.

— Czy przyjmujesz moje warunki?

— Oh! nie... — wyjąkała.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie będę mogła dopełnić jednego z nich.

— Jakiego?

— Ofiarujesz mi pan sto tysięcy zł. jako posąg!

— Tak.

— I żebym poślubiła mężczyznę, którego kochałabym?

— Bezwątpienia.

— A więc te pieniądze nie mogą należeć do mnie. Nie będę nigdy kochać nikogo i nie pójdę zamąż.

Po tych słowach nogi się pod nią zachwiały i była bliską omdlenia.

Korneljusz zatrwożony jej błądnością, chciał ją przytrzymać, gdy wtem dały się słyszeć ciężkie kroki i szczekanie psa.

— Już idą po pana — zawołała Róża załamując ręce. Mój Boże, mój Boże!... czy nie masz mi już nic więcej do powiedzenia?

I padła na kolana zakrywając twarz rękami.

— Zachowaj starannie te trzy cebule i pielęgnuj je podług przepisów, jakie ci udzieliłem, zaklinam ciebie na wszystko. Żegnaj cię, Różo.

— Oh! bezwątpienia wszystko spełnię. Oprócz posłubienia innego!.. dodaje zcicha, oh! to jest niepodobieństwem.

I wsunęła drogi skarb Korneljusza za łono.

Ten szelest, który słyszeli, oznajmiał przybycie pisarza, kata i żołnierzy.

Korneljusz, bez przesady przyjął ich raczej jak przyjaciół, niż prześladowców, poczem wyrzawszy przez okno, spostrzegł rusztowanie, a za nim w pewnej odległości szubienicę, z której zdjęto ciała Wittów z rozkazu statudera.

Przed wyjściem z więzienia, Korneljusz otoczony żołnierzami, szukał wzrokiem anielskiego spojrzenia Róży; lecz nie mógł nic dostrzec pośród halabard i pałaszy, jak tylko leżące ciało przy drewnianej ławie i twarz zmienioną, okrytą długimi włosami.

Padając, bezprzytomna Róża zdołała jednakże zebrać tyle siły, że machinalnie przyłożyła rękę do swego aksamitnego gorsetu i Korneljusz mógł dostrzec w ściśniętych palcach Róży, wyzółkłą ćwiartkę biblij, na której Korneljusz de Witt skreślił kilka wyrazów, które niewątpliwie ocaliłyby życie jego chrzestnemu synowi, gdyby był je przeczytał.

ROZDZIAŁ XII

WYKONANIE WYROKU

Korneljusz schodząc ze schodów więzienia zwrócił uwagę, iż pies nie warczał na niego i zdawało mu się przeciwnie, iż patrzy na niego żałośnie; być może, iż poznawał skazanych na śmierć i kąsał tylko tych, którzy wychodzili wolnymi z więzienia. Do miejsca egzekucji było zaledwie trzysta kroków i cała ta przestrzeń przepełniona była ludźmi.

Byli to ci sami mienasyceni krwią przed trzema dniami, i oczekiwali na nową ofiarę.

Tak więc, zaledwie Korneljusz ukazał się na ulicy, przyjęty został odgłosem wycia tysiąca głosów tłumu napływającego ze wszystkich pobocznych ulic.

Rusztowanie podobne było do wyspy utworzonej przez zbieg kilku rzek.

Korneljusz obojętny na wszystko, zajęty był myślami.

O czemże myślał ten niewinny człowiek?

Nie myślał o swych nieprzyjaciółach, ani o sędziach, lecz zajęty był marzeniem o tulipanach, które z wysokości niebios widzieć będzie w Ceylonie, Bengalu i innych miejscach, spoglądając z politowaniem na tę ziemię, na której zamordowano pp. Jana i Kornela Wittów zato, iż zbyt cześnie zajmowali się polityką, i gdzie skazano van Baerla zato, iż poświęcił się wyłącznie hodowaniu tulipanów.

— Jedno trafne uderzenie toporem i moje rozkoszne marzenia urzeczywistnione zostaną.

Van Baerle wstąpił śmiało na rusztowanie, z pewną dumą nawet spoglądając na tłumy, które przed kilku dniami pastwiły się nad zwłokami braci Wittów.

Uklęknął, pomodlił się i zauważył, że umieściwszy głowę na pniu do ostatniej chwili widzieć będzie okno swego więzienia.

Nakoniec Korneljusz oparł swój podbródek o wilgotną podstawę. Lecz w tej chwili przymrużył oczy, ażeby z większą stałością wytrzymał okropny cios.

Błyskawica zajaśniała na pomoście rusztowania; kat miecz podnosił.

Van Baerle zęgnął się na wieki z czarnym tulipaniem.

Po trzykroć uczuł zimne ostrze miecza na drżącej szyi.

Lecz, o dziwy! nie doznawał ani bólu, ani wstrząśnienia.

Nic się nie odmieniło w jego położeniu.

Poczem, niespodzianie uczuł, iż ktoś zwolna podnosi go i nakoniec stanął na nogach i otworzył oczy.

Obok niego stał człowiek, czytający głośno z pergaminu opatrzonego wielką pieczęcią.

I to samo okno więzienia Buitenhof dawało się widzieć i ci sami ludzie nie wyjący, lecz zdziwieni przypatrywali się jemu.

Nakoniec van Baerle odzyskał zupełnie przytomność.

J. K. Mość Wilhelm Orański ułaskawił go, z tej to przyczyny miecz po trzykroć dotknął jego karku, lecz nie sprawił boleści i nie pozbawił go życia.

Uradowany Korneljusz pomyślał, że wkrótce ujrzy swoje plantacje w Dordrechtcie, lecz omylił się, gdyż ułaskawienie nie było zupełne. Kara śmierci zamienioną została na wieczne więzienie.

— Ah! — pomyślał, — nie wszystko stracone. Wieczne więzienie ma również swoje powaby. Pozostaje mi Róża w tem więzieniu, a przytem ma trzy nasienniki wielkiego czarnego tulipanu.

Lecz Korneljusz zapomniał, że każda prowincja Holandji miała swoje więzienie, i że żywność w Hadze, jako stolicy, kosztowniejszą jest niż gdzieindziej.

Ze względu na to zapewne wyznaczono Korneljuszowi twierdzę Lörenstein.

Van Baerle wiedział z historii ojczystej, że w tej twierdzy osadzony był sławny Grotius po śmierci Barneveldta i że stany w swej wspaniałomyślności względem sławnego publicyisty, prawnika, historyka, poety, teologa, uchwałyły na jego utrzymanie dziennie dwadzieścia cztery groszy holenderskich.

— Ja, co nie mogę porównać się z Grotiusem — mówi do siebie Korneljusz, nie będę tak hojnie podejmowany i wyznaczą pewnie dla mnie połowę na utrzymanie życia, z tem wszystkiem będę żyć.

Poczem przyszła mu myśl przerażająca.

— Ah! — zawołał, — jakież to kraj posępny i wilgotny, ziemia zupełnie nie zdatna do uprawy tulipanów! A przytem Róża, której nie będę widział w Löwenstein... dodaje spuszczać głowę, którą przed chwilą na zawsze miał opuścić.

ROZDZIAŁ XIII

CO SIĘ WÓWCZAS DZIAŁO W DUSZY JEDNEGO WIDZA

Gdy Korneljusz rozmyślał tak, zajechała kareta.

Ostatnie jego spojrzenie było zwrócone na Buitenhof; spodziewał się ujrzeć w oknie pocieszoną Różę, lecz kareta zaprzężona była w parę dobrych koni, które szybko ruszyły z miejsca pośród okrzyków pospólstwa, wydawanych na cześć wspaniałomyślnego statudera, wraz ze złorzeczeniami odnoszącymi się do Wittów i ich stronników.

— Bardzo dobrze uczyniliśmy — wołano — wymierzając sami karę na tych zbrodniarzy Wittów, gdyż bezwątpienia J. K. Mość ułaskawiłby ich podobnie jak tego.

Pomiędzy widzami zebranymi dla przypatrzenia się traceniu Korneljusza, najboleśniej był zdziwiony wypadkiem przeciwnym jego oczekiwaniu pewien obywatel porządnie ubrany, który od świtu prawie oczekiwał na placu i używszy całej siły nóg i rąk precisnął się do samego rusztowania.

Z wielu ciekawych widoku krwi zdrajcy, żaden nie okazywał tak widocznej nienawiści.

Najciekawszi przybyli do Buitenhof o wschodzie słońca, lecz on spędził noc przy przedsiönku więzienia i dostał się jak mówią nogami i pazurami do pierwszego rzędu. I gdy kat przyprowadził skazanego na rusztowanie, wspomniany obywatel stanąwszy na krawędzi fontanny, ażeby lepiej mógł widzieć i być widzianym, dał znak katu, który ozna-
czał.

— A więc zgoda, nieprawdaż?

Któż to był ten przyjaciel kata?

To był poprostu mynher Isaak Boxel, który od czasu

aresztowania van Baerla przybył do Hagi w zamiarze przywłaszczenia sobie nasienników czarnego tulipana.

Bokstel naprzód starał się nakłonić do swoich zamiarów Gryfusa, lecz ten nie dał się użyć do niczego, mając podejrzenie, iż nienawiść Bokstela jest tylko udaną, dla obmyślenia środków ułatwienia więźniowi ucieczki.

Na propozycję Bokstela, ażeby wykraść więźniowi nasienniki, które zapewne ukrywa na piersiach, dozorca odpowiedział grubjańsko i zagroził spuszczeniem psa z łańcucha, jeżeli ponowi odwiedziny.

Bokstel nie zrażony tym przyjęciem ponowił natarcie, lecz tym razem Gryfus leżał w łóżku i go nie przyjął, więc zwrócił się do Róży, której ofiarował ubranie złote głowy za wykradzenie nasienników, lecz szlachetna dziewczyna, wprawdzie nie znająca wartości kradzieży, za którą jej tak hojnie wynagradzano, odesłała kusiciela do kata, jako jedyne go spadkobiercy skazanego na śmierć.

Ta myśl trafiła do przekonania Bokstela.

W tymże czasie zapadł wyrok i Isaak nie miał czasu do stracenia, udał się więc do kata.

Isaak nie wątpił, że Korneljusz umrze z tulipanami na sercu.

Bokstel nie mógł przewidzieć dwóch rzeczy:

Róży, to jest miłości.

Wilhelma, to jest łaski.

Gdyby nie te dwie osoby, zamiary Bokstela uwieńczone byłyby pomyślnym skutkiem; gdyby nie było Wilhelma, Korneljusz zginąłby z ręki kata; gdyby nie było Róży, Korneljusz zginąłby z nasiennikami na sercu.

Pan Bokstel poszedł więc do kata i udając wielkiego przyjaciela skazanego, zakupił od niego całą odzież przyszłego trupa, pozostawiając mu pieniądze i kosztowności, gdyby się znalazły.

Kat żądał stu złotych i Bokstel ofiarował mu je z radością, będąc pewnym, że odbierze tysiąc za jeden.

Kat ze swej strony nic prawie nie miał do czynienia za te sto złotych. Winien był tylko natychmiast po ścięciu, dozwolić panu Bokstel wstąpić na rusztowanie wraz z oprawcami, którzy pomogliby mu rozebrać ciało.

Nie było w tem nic osobliwego, że przyjaciel pragnął zachować pamiątkę po nieboszczyku.

Zagorzalec podobny Korneljuszowi mógł mieć przyjaciela podobnego sobie, który poświęcał sto zł. za jego relikwje.

Kat zgodził się na tę propozycję, z warunkiem, iż zgóry mu zapłaci.

Bokstel zgodził się na to.

Osądźmy czy nie miał przyczyny być wzruszonym, że piłnował straży, pisarza, kata i czy mogły mu być obojętne poruszenia van Baerla. — Jak umieści głowę na pniu, jak upadnie? Czy upadając nie zgniecie sobą nieocenione cebule. Czy miał przezorność zamknąć je w pudełku złotem, gdyż złoto uważał za najtrwalszy metal.

Nie będziemy usiłovali opisywać wrażenia, jakie sprawiło się już wtedy, gdy widział wznoszący się po trzykroć miecz nad głowę van Baerla, cóż dopiero, gdy dostrzegł, iż pisarz sądowy, podnosi winowajcę i wyjmuje z kieszeni pergamin, a nakoniec, gdy usłyszał treść czytanego głośno pisma ułaskawiającego więźnia. Bokstel przestał być człowiekiem. Wściekłość hjeny, tygrysa i węża zaiskrzyła się w oczach jego, w okrzyku, w poruszeniach; gdyby był bliżej van Baerla, gotów był rzucić się na niego.

Tak więc Korneljusz żyć będzie w Löwenstein i tam zawiezie ze sobą nasienniki i być może, iż tam będzie ogród i pozwolą mu zasadzić cebule, mające wydać wielki, czarny tulipan.

Bokstel rozjątrzony, padł na otaczających go oranżystów, równie jak on niezadowolonych z tego obrotu rzeczy; ci mniemając, iż Isaak wydaje okrzyki radości, obłożyli go pięściami; lecz cóż znaczyły te razy, w porównaniu z cierpieniami, których doznawał?

Potem, chciał biec za pojazdem, w którym jechał Korneljusz z nasiennikami.

Zaślepiony gniewem i spiesząc, nie dostrzegł kamienia, o który potknąwszy się upadł i nie podniósł się prędzej, dopiero gdy pospólstwo przeredziło się, potrącając go i depcąc.

Zdaje się, że Bokstel miał dosyć tego, lecz omylonoby się.

Bokstel powstawszy na nogi, wyrwał sobie pęk włosów, które poświęcił w ofierze bóstwu zawiści.

ROZDZIAŁ XIV

GOŁĘBIE Z DORDRECHTU

Było to bezwątpienia zaszczytem dla Korneljusza zostać osadzonym w tem samym więzieniu, w którym żył Grotius; nadto jeszcze przybywszy tam zastał jeszcze pokój zajmowany niegdyś przez sławnego uczonego.

Ta okoliczność wydawała się pomyślną wróżbą dla Korneljusza, albowiem Grotius uciekł z tej izby, dzięki pomysłowi żony jego, która ułatwiła mu ucieczkę w skrzyni od książek, którą zapomniano zrewidować.

Izba ta jest historyczną: nie będziemy jej zatem opisywać. Oprócz alkierza, który służył za sypialnię dla pani Grotius, więzienie to było zupełnie podobne do innych wyjąwszy, iż okno jego było zakratowane i dawało przepyszny widok.

Biedny nasz więzień pocieszał się w wyobraźni myślą, o dwóch przedmiotach najmilszych mu w życiu: o kwiatku i kobiecie.

Jak pierwsze tak i drugie uważał za stracone dla siebie.

Jednakże na szczęście omylił się: Bóg, który ocalił go od pewnej śmierci, Bóg nie opuścił go również w izbie więziennej Grotiusa.

Pewnego rana oparty na oknie, napawał się świeżem powietrzem, widokiem wiatraków Dordrechtu, swej rodzinnej ziemi, gdy wtem dostrzegł stado gołębi, które się zatrzymały ponad zamkiem Löwenstein i pousiadały na kopułach wieżyczek, lub łążyły po dachu.

Korneljusz powziął zamiar korzystać z tej okoliczności: te gołębie przyleciały z Dordrechtu, mogą więc wrócić tą samą drogą, idzie tylko o przyswojenie ich, a wtedy przy-

wiązawszy do skrzydła pisma, można dać wiadomość o sobie.

Skazany na więzienie wieczne młodzieniec 25 letni, w krótkim czasie nauczył się cierpliwości, jakoż Korneljusz chociaż zajęty główną myślą o nasiennikach, postanowił przyswajać gołębie nęcąc je żywnością, na którą mu wyznaczono 12 groszy dziennie, w miesiąc potrafił ułaskawić samicę, a po dwóch innych złowił samca, poczem zamknawszy je razem, doczekał się jajek gołębic na początku 1673. Pozostawivszy do odsiadywania samca, wypuścił samicę przywiązawszy jej do skrzydła małą karteczkę.

Samica powróciła wieczorem, lecz pisma jego nikt nie odebrał i przez dwa tygodnie gołębicą codziennie wędrowała i wracała z karteczką ku wielkiemu niezadowoleniu von Baerle'a.

Szesnastego dnia powróciła bez kartki.

Korneljusz napisał list do swojej mamki, upraszając liściowe serca, ażeby go jej doręczyły najrychlej.

Przytem był dopisek do Róży.

Opatrzność, która ziarnko nasienia trawy unosi w powietrzu na opuszczone ściany zwałisk i tam w kropli wody dozwala im zakwitać i rosnać, dozwoliła również, ażeby mamka van Baerle'a otrzymała jego pismo.

Bokstel wyjeżdżając z Dordrechtu do Hagi, opuścił nietylko swój dom, lecz zapomniał o swym służącym, o swym dalekowidzu, a nawet o swoich gołębiach.

Służący, któremu nie zapłacił, żywił się zapasami spiżarni, a gdy te się wyczerpały, zaczął zjadać gołębie; lecz im się to nie spodobało i uciekły z dachu Bokstela na dach Korneljusza.

Mamka miała dobre serce i przyjęła gościnnie przybyśzów i gdy służący Izaaka domagał się zwrotu, zapłaciła mu po sześć groszy za sztukę to jest podwójną ich wartość, z czego bardzo był zadowolony.

Te to gołębie z innymi przylatywały do Hagi, Löwensteinu i Roterdamu, szukając zapewne smaczniejszego pożywienia.

Przypadek, albo raczej Opatrzność, dozwoliła, aby Korneljusz przyswoił właśnie gołębie ze stada Izaaka, któryby niewątpliwie przejął pismo swego sąsiada, gdyby po-

został w domu; tymczasem zaś, dostało się ono do rąk mamki.

Na początku lutego około wieczora, Korneljusz usłyszał głos, który go wzruszył niewymownie.

Umieściwszy rękę na bijącym sercu, przysłuchiwał się uważnie.

Było słodki głos Róży.

Powstawszy zbliżył się do drzwi i nadstawił ucha.

Tak, był to głos dziewicy dobrze mu znanej.

Lecz czy Róża, która potrafiła przeniknąć mury, zdoła również jak w Hadze dostać się do więźnia?

Gdy Korneljusz łamał sobie tem głowę, otworzył się otwór we drzwiach i Róża jaśniejąca radością, piękniejsza niż poprzednio, gdyż zbladła cokolwiek, Róża pokazała swoją twarzyczkę w zakratowanym otworze mówiąc:

— Otóż jestem, panie.

Korneljusz wyciągnął ręce, wznosił oczy ku niebu i wykrzyknął z radością:

— To ty, Róża moja!

— Mów pan ciszej, gdyż ojciec mój za mną idzie.

— Twój ojciec!

— Tak, jest na podwórzu z komendantem, który mu wydaje zlecenia i wkrótce tu nadejdzie.

— Komendant wydaje mu zlecenia?

— Posłuchaj pan; w dwóch słowach dowiesz się o wszystkim. Statuder ma dom wiejski o milę od Lejdy, jest to wielka ferma; moja ciotka, a jego piastunka jest tam gospodynią. Skoro tylko twój list odebrałam, który mi twoja mamka przeczytała, gdyż sama niestety nie umiem czytać; pospieszyłam do mojej ciotki i pozostałam u niej dopóki statuder nie przybył; nakoniec doczekawszy się jego, podałam prośbę, ażeby mój ojciec przeniesiony został z Hagi na dozorcę w twierdzy Löwenstein. Gdyby się domyślił o moim celu, być może iżby odmówił, lecz szczęściem, że o niczem nie wiedział i przychylił się do mojej prośby.

— A więc pozostaniesz tu?

— Widzisz pan mnie przecież.

— I będę ciebie codziennie widywać?

— Jak tylko będę mogła najczęściej.

— O Rózo moja piękna madonno — więc ty mię kochasz cokolwiek?...

— Cokolwiek! oh! jak widzę pan nie jesteś zbyt wymagającym.

Korneljusz wyciągnął ku niej ręce, lecz palce ich tylko się dotknąć mogły przez kraty.

— Otóż mój ojciec — mówi.

I Róża szybko odskoczyła, gdyż Gryfus był na schodach.

ROZDZIAŁ XV

DRZWI CZKI

Za Gryfusem postępował pies jego, ażeby mógł rozpoznać więźniów.

— Czy wiesz, mój ojciec — mówi Róża, — że z tej izby uciekł Grotius, sławny Grotius?

— Tak, ten łotr Grotius, przyjaciel zbrodniarza Barnevelta, którego ścięcie widziałem będąc dzieckiem; ah, to on z tej izby umknął: Oh, oh! ręczę, że już nikt z niej nie ucieknie.

I, otwierając drzwi, zaczął mówić do więźnia:

Pies, warcząc, zbliżył się do van Baerla węsząc jego nogi, jakby go chciał zapytać dlaczego nie został stracony, i przecież widział wychodzącego z więzienia w towarzystwie kata.

Piękna Róża zawołała na psa i ten cofnął się.

— Mój panie — mówi Gryfus podnosząc latarnię — jestem twym nowym dozorcą. — Nie jestem złym, lecz jestem człowiekiem ściśle przestrzegającym przepisów karności.

— Oh! pan jesteś mi znany — mówi więzień wchodząc w okrąg światła od blasku latarni pochodzącego.

— Ach to ty panie van Baerle! tak, to on!... rzecz dziwna zaiste!

— Bardzo jestem z tego zadowolony, a szczególnie, że twoja ręka jest w dobrym stanie, gdyż trzymasz w niej latarnię.

Gryfus zmarszczył brwi.

— Zaiste, mój panie, nie dziwi mine żeś wesół, bo, mówiąc prawdę, statuder wielki błąd popełnił, pozostawiając ciebie przy życiu, ja na jego miejscu nie uczyniłbym tego.

— Z powodu?

— Ponieważ gotów jesteś na nowo knuć spiski; wy uczeni macie związki ze złym duchem.

— Jak widzę, to pan Gryfus nie jest zadowolony z mego sposobu leczenia — mówi z uśmiechem Korneliusz.

— Przeciwnie! nie mówię tego i owszem bardzo dobrze zestawieś mi złamaną rękę; lecz musiałeś użyć do tego czarów; w sześć tygodni nie czułem żadnego bólu. Chirurg więzienny dowiedziawszy się o tem twierdził, że powtórnie powinienem złamać rękę, i że do wyleczenia potrzeba trzech miesięcy, lecz za to wyleczy mnie podług zasad sztuki chirurgicznej.

— I czyś próbował?

— Odpowiedziałem mu, że nie chcę.

Dopóki będę mógł się przeżegnać (Gryfus był katolikiem) tą ręką, żartuję sobie ze złego ducha.

— Jeżeli tedy żartujecie z diabła, to tembardziej powinniście sobie żartować z uczonych.

— Oh ci uczeni! zawołał Gryfus! — wolałbym dozorować dziesięciu wojskowych, jak jednego uczonego. Wojskowi kurzą tytoń, piją, upijają się i wtedy są łagodni jak baranki. Lecz uczone to co innego, jest wstrzeźliwym, nie traci na nic, bo chce zachować rozum, ażeby knuć spiski. Lecz uprzedzam pana, że nie będzie ci łatwo tutaj knuć spiski, a naprzód nie będziesz mieć książek, ani papieru, zapomocą książek Grotius stąd umknął.

— Miałem wprawdzie zamiar uciec, lecz teraz bądź pewny, że go zaniechałem.

— To dobrze, zresztą będę czuwał nad tobą. Z tem wszystkim J. K. Mość popełnił wielki błąd.

— Że nie kazał mi ściąć głowy... dziękuję ci panie Gryfus.

— Bezwątpienia, czyż teraz co słyhać o Wittach?

— Oh! to co mówisz jest okropne — mówi Baerle odwracając się. — Zapominasz, że jeden z nich był moim przyjacielem... a drugi moim ojcem prawie.

— Tak, lecz i to sobie przypominam, że byli zdrajcami. Zresztą jeżeli mówiłem, to powodowany ludzkością.

— W istocie nie pojmuję... wytłumacz mi jaśniej.

— Bo widzisz pan, gdybyś pozostawił twoją głowę na rusztowaniu...

— To bym nie żył.

— Tak, przestałbyś cierpieć, bo nie ukrywam tego przed tobą, że będę ci dokuczał.

— Dziękuję za tę uprzejmą obietnicę.

I gdy więzień uśmiechał się do starego dozorca, Róża stojąca za drzwiami przez otwór uśmiechała się do więźnia z anielską pociechą.

Gryfus zbliżył się do okna.

Jeszcze było dość widno i można było objąć wzrokiem rozległy widnokrąg gubiący się w szarawej mgłę.

— Jaki stąd widok? — zapytuje dozorca.

— Bardzo piękny — odpowiada Korneliusz, patrząc na Różę.

— Tak, tak... zbyt wiele światła.

W tej chwili oba gołębie przestraszone widokiem, albo raczej głosem nieznanego wyleciały z gniazda i znikły spłoszone w gęstwinie mgły.

— Oh! oh! a to co znowu?

— To są moje gołębie.

— Moje gołębie! zawołał Gryfus. — Alboż to może mieć więzień co swojego?

— A więc, są to gołębie zesłane mi od Boga.

— Otóż już ciebie złapałem mój panie... chowa sobie gołąbki... lecz z tego nic nie będzie, jutro będą się piekły na rożnie.

— Potrzeba wprzód, ażebyś je złapał. Jeżeli twierdzisz, że nie należą do mnie, tem mniej mogą być twojami; przytem upewniam ciebie, że nie są mojemi.

— Co się odwlecze — nie uciecze — mruknął dozorca — i jutro najdalej ukręcę im szyje.

I to mówiąc Gryfus wychylił się przez okno dla zobaczenia gniazda, Korneliusz pobiegł tymczasem do drzwi uściskać rączkę Róży, która powiedziała mu:

— Dziś o dziewiątej.

Gryfus zajęty żądzą pochwycenia gołębi, nic nie dostrzegł ani dosłyszał, zamknąwszy okno wziął córkę za rękę i wyszedł, zamknął drzwi na klucz i zaryglował, poczem udał się do innych więźniów z podobnemi obietnicami.

Korneliusz przysłuchiwał się pode drzwiami oddalającym się krokom dozorca, pobiegł do okna i zniszczył

gniazdo gołębi, wolał bowiem wygnać je, jak narażać na śmierć posłańca, któremu był winien obecność Róży.

Odwiedziny i grubjański sposób obejścia Gryfusa, nie zmieszały bynajmniej Korneljusza, upojonego radością z odzyskania Róży.

Oczekiwał z niecierpliwością dziewiętej godziny.

Jeszcze ostatnie uderzenie dzwonu wieżowego odbijało się w powietrzu, gdy Korneljusz posłyszał na schodach lekki krok i szelest sukni pięknej fryzonki, wkrótce potem krata drzwiczek została oświetlona.

— Otóż jestem — mówi Róża dysząc wskutek szybkiego biegu po schodach.

— Oh! dobrze Rózo!

— Więc jesteś pan zadowolony, że mnie widzisz?

— Możeszże pytać o to! Lecz jakim sposobem mogłaś tu przyjść?

— Mój ojciec zwykł drzemać po wieczery, wtedy prowadzę go do łóżka, gdyż bywa czasem podchmielony; tak więc będę mogła codzień rozmawiać z panem przez godzinę.

— Nieskończenie będę ci obowiązany Rózo, droga Rózo.

I to mówiąc Korneljusz przysunął swoją twarz do otworu tak blisko, że Róża cofnęła się.

— Przyniosłam panu nasienniki — mówi.

Serce Korneljusza zadrżało. Nie śmiał dotąd zapytać Róży co zrobiła ze skarbem jej powierzonym.

— Zachowałam je więc.

— Czy nie mówiłeś mi, iż były dla ciebie drogiemi.

— Tak, teraz zaś są one twoją własnością.

— To jest, stałyby się moją własnością po twojej śmierci, lecz dzięki Bogu żyjesz i winnam ci je zwrócić. Takie było moje postanowienie, skoro dowiedziałam się o właskawieniu statudera. Jakże go błogosławiłam... Oh! jeżeli Bóg wysłucha modlitw moich, wtedy Wilhelm będzie najszczęśliwszym z ludzi. Otóż jak wspomniałam, pragnęłam zachować biblię twego ojca chrzestnego przy sobie na pamiątkę, tobie zaś zwrócić drogie nasienniki, lecz nie wiedziałam jak postąpić. Nakoniec namyśliłam się podać prośbę do statudera, ażeby ojca mego przeniósł na posadę dozorcę więzienia w Löwenstein. To mnie utwierdziło w powziętym zamiarze. Nie tracąc czasu pojechałem do Lejdy, resztę wiesz.

— Jakto droga Rózo, więc myślałaś o mnie przed odebraniem listu... i pragnęłaś być przy mnie?

— Czy myślałam!... odpowiada Róza głosem miłości zwyciężającym wstydlivość dziewczycą — o tem tylko myślałam.

I w tej chwili Róza była tak piękna, że Korneljusz powtórnie dotknął czołem i ustami kratę drzwiczek, zapewne dla podziękowania dziewczycy.

Róza znów się cofnęła.

— W istocie, mówi z zalotnością właściwą każdej młodej dziewczynie — bardzo często żałowałam, iż nie umiem czytać, lecz nigdy nie uczułam tego dotkliwiej, jak gdy mi twoja mamka twój list przyniosła; trzymałam w ręku pismo mówiące do innych, gdy dla mnie biednej, głupiej było niemem.

— Dlaczego żałowałaś, że nie umiesz czytać?

— Dlatego, że mogłabym czytać listy — odpowiada z uśmiechem.

— Odbierałaś listy, Rózo?

— Kopami.

— Któż pisywał do ciebie?

— Kto! otóż naprzód studenci, potem oficerowie, kupcy, którzy mnie widywali w oknie mego mieszkania.

— I co robiłaś z tymi listami?

— Dawniej, dawałam je do przeczytania moim przyjaciółkom i to mnie bardzo zajmowało; lecz od niejakiego czasu uważam to głupstwem marnować czas na słuchanie.

— Od niejakiego czasu — powtórzył Korneljusz spoglądając na Różę z radością i uwielbieniem.

Róza spuściła oczy, zarumieniwszy się.

I tym razem nie widziała zbliżających się ust Korneljusza do kratki drzwiczek, i gdyby nie ta przeszkoda, byłby może złożył namiętny pocałunek na świeżych jagodach dziewczycy.

Płomień tego pocałunku musiał jednakże być gwałtowny, gdyż Róza zbladła bardziej może, jak w dniu, w którym prowadzono Korneljusza na śmierć. Poczem westchnęła żałośnie, zmrużyła swe piękne oczy i uciekła z bijącym sercem, uciekła tak pospiesznie, że zapomniała oddać Korneljuszowi nasienniki wielkiego czarnego tulipanu.

ROZDZIAŁ XVI

NAUCZYCIEL I UCZENNICA

Gryfus — jak widzieliśmy — nie był bynajmniej przychylny chrzestnemu synowi Korneljusza de Witt.

W twierdzy Lövenstein było tylko pięciu więźniów; obowiązki więc dozorczy nie były uciążliwe i ta posada była niejako emeryturą dla podeszłego wieku.

Lecz gorliwość Gryfusa w pełnieniu ściśle obowiązków swego powołania, zwiększyła w jego wyobraźni znaczenie więźniów stanu. Uważał on Korneljusza za najniebezpieczniejszego ze wszystkich więźniów. Śledził każdy krok jego, odwiedzał z gniewnym obliczem, wyrzucając mu zawsze jego zbrodnię i łaskawość statutera. Zwykle wchodził do celi jego trzy razy na dzień, pragnąc pochwycić go na gorącym uczynku jak mówił, lecz Korneljusz zaniechał korespondencji. Zdaje się nawet, że gdyby Korneljusz w tym czasie odzyskał wolność zupełną, byłby chętniej zamieszkał w więzieniu z Różą i nasiennikami, jak w każdym innym miejscu, gdyż Róża przyobiecała przychodzić do niego co wieczór i widzieliśmy, że dotrzymała słowa.

Nazajutrz z równą przezornością i tajemnicą, wybrała się z odwiedzinami do drogiego więźnia. Przynależła tylko sobie, że nie będzie zbliżać twarzy do kratki. Ażeby zaś od pierwszej chwili zająć uwagę Korneljusza czem ważnem, podała mu przez otwór kratki trąbkę papieru, w której były nasienniki.

Lecz z jej zdziwieniem van Baerle odsunął białą rączkę końcem swych palcy.

Młodzieniec po niejakej chwili namysłu tak się odzywa:

— Słuchaj mnie uważnie, Rózo — podług mnie należy zachować przezorność nim przystąpimy do działania. Pomyśl, iż idzie tu o wykonanie przedsięwzięcia, uważanego dzisiaj za niepodobieństwo; to jest, o nadanie tulipanom czarnej barwy. Winniśmy zatem użyć wszelkich środków zapewniających pomyślny skutek, ażebyśmy w razie niepowodzenia, nie mieli sobie nic do zarzucenia. Moim zdaniem powinniśmy...

— Słucham uważnie — mówi Róza.

— Czy jest w twierdzy mały ogródek lub przynajmniej dziedziniec?

— Mamy tu piękny ogród nad rzeką, ze starymi drzewami.

— Czy będziesz mogła przynieść mi z niego cokolwiek ziemi?

— Jutro ci przyniosę.

— Wykopiesz jedną w cieniu, drugą zaś na słońcu będącą, ażebym mógł osądzić o tych dwóch gatunkach pod względem suchości i wilgoci.

— Bądź o to spokojny.

— Skoro wybiorę ziemię i przygotuję odpowiednio, weźmiesz jeden nasiennik i zasadzisz go w dniu przeznaczonej; ten zakwitnie bezwątpienia, jeżeli mieć będziesz o nim staranie.

— Będę go pielęgnować dniem i nocą.

— Co się tyczy drugiego, będę starał się hodować go u siebie, a to mi skracać będzie czas nieskończenie długi, gdy ciebie nie widzę... Mało mam nadziei, wyznam ci, ażeby zakwitł i uważam go za ofiarę mego egoizmu. Będę się starał użyć wszelkich środków, a nawet ciepła mej fajki dla pobudzenia wegetacji. Nakoniec, trzeci nasiennik zachowamy, czyli ty zachowasz starannie, ażebyśmy na wszelki wypadek mieli środek ponowienia doświadczeń, jeżeli się nam nie powiodą z dwoma innymi.

Tym sposobem, droga Rózo niepodobieństwem jest, ażebyśmy nie mieli otrzymać nagrody, która stanowi twój posag i cieszyć się będziemy rozkoszą doprowadzenia do skutku naszych pomysłów.

— Zrozumiałam wszystko — odpowiada Róza. — Jutro przyniosę ziemi, wybierzesz dla mnie i dla siebie. Nie będę jednakże mogła przynieść jej wiele odrazu.

— Oh! nie ma nic pilnego, Rózo — mamy dość cza-

su, bo za miesiąc dopiero należy zasadzić nasienniki. Skoro to uskuteczysz, należy ściśle zachować moje przepisy.

— Bądź pewny, że ich dopełnię.

— Będziesz zdawać mi sprawę ze wszystkich okoliczności, które mogą wpływać na zakwitnięcie naszego skarbu, jako to: o zmianach temperatury, śladach pokazujących się na ścieżkach lub plancie. W nocy trzeba pilnować kotów, doświadczyłem bowiem w Dordrechtcie znacznej szkody.

— Będę uważać.

— W czasie nocy księżycowych... czy twoje okno wychodzi na ogród?

— Tak jest, okno mojej sypialni.

— Wybornie... a więc w czasie nocy księżycowych, będziesz uważać czy ze szczelin murów nie wyłażą szczury... gdyż to są zacięte wrogi tulipanów.

— Oh! będę pilnować kotów i szczurów.

— Dalej — mówi van Baerle stając się podejrzliwym od czasu jak został uwięzionym; — jest jeszcze zwierze niebezpieczniejsze od kota i szczura.

— Jakież przecie?

— Człowiek... Pojmujesz to Rózo, że skoro są tacy, którzy dla złotówki popełniają kradzież, to nic dziwnego, znajdzie się taki, który zapragnie nasiennika wartości stu tysięcy złotych.

— Nikt oprócz mnie nie wejdzie do ogrodu.

— Przymierzasz mi to?

— Przysięgam.

— Dobrze Rózo, dziękuję ci. Wszystko więc winien ci będę.

I gdy usta Korneliusza zbliżały się do kratki z równym zapalem jak dnia poprzedniego, a gdy już upłynęła godzina, Róza odsunęła się, wyciągnąwszy rękę.

W pięknej rączce, o którą miała szczególne staranie, trzymała nasiennik.

Korneliusz ucałował z uniesieniem rączkę. Czy dlatego, że ona podała mu nasiennik, czy dlatego poprostu, że była rączką Rózy.

Pozostawiamy to rozstrzygnięcie świadomym od nas.

Róza odeszła z dwoma innymi nasiennikami, schowawszy je za gorset.

Czy dlatego przycisnęła je tkliwie do dziewiczego łona,

że to były nasienniki wielkiego czarnego tulipamu, czy też, że te nasienniki pochodziły od Korneljusza?

Zdaje się, że tę okoliczność łatwiej byłoby wytłumaczyć jak pierwszą.

Jakkolwiekby od tego czasu, więzień doznawał przyjemności życia i oddawał się ulubionemu zajęciu.

Róża jak widzieliśmy oddała mu jeden nasiennik.

Co wieczór przynosiła mu kilka garści ziemi wybranej przez niego.

Obszerny dzbanek, który Korneljusz zręcznie nadtkłukł, służył mu za doniczkę, którą napełnił do połowy ziemią i szlaniem rzeczonym.

Następnie na początku kwietnia zasadził cebulkę.

Niepodobna byłoby opisać ile starań, podejść i zręcznościłożył Korneljusz, ażeby ukryć przed śledztwem Gryfusa przedmiot swej pieczołowitości. Pół godziny jest wiekiem uczuć i wrażeń dla więźnia filozofa.

Codziennie Róża przychodziła rozmawiać z Korneljuszem.

Przedmiotem ich rozmów były tulipany, lecz jakkolwiek był zajmującym, niepodobna było zawsze o nich mówić.

Z wielkim zdziwieniem dostrzegł więzień, że zażyłość jego z córką dozorczy stała się niejako potrzebą życia i obraz jej był nieodstępny jego myśli.

Róża zachowała przezorność, iż nie przybliżała swej pięknej buzi do kratki, piękna dziewica nie dowierzała sobie od chwili, jak uczuła niebezpieczeństwo, na jakie może się marazić, dozwalając podobnego zbliżenia ust więźnia do swej twarzy.

Korneljusz w tym czasie doznawał jedynej niespokojności w równym stopniu troszcząc się o nasienniki będące pod zawisłością Gryfusa, podobnie jak i Róża.

Tak więc życie van Baerla, uczonego lekarza, malarza, człowieka wybitnego, wynalazcy podług wszelkiego prawdopodobieństwa arcydzieła wegetacji, kwiatu, który będzie nosił nazwę *rosa barlaensis*; tak jest, życie, a raczej szczęście tego człowieka zawisło od kaprysu drugiego człowieka, daleko niższego pod każdym względem, dozorczy znaczącego coś więcej od klucza, którym drzwi więźnia zamykał, serca twardszego od rygli żelaznych, którymi go zasawał.

Było to zresztą jestestwo pośrednie pomiędzy bydłciem a człowiekiem.

Tak, szczęście Korneljusza zależało od niego; mógł bowiem znudzić się w Löwensteinie, upatrzeć, że powietrze tam nie sprzyjało mu, że piwo było złem i prosić o przeniesienie w inne miejsce, i rozłączyłby być może na zawsze van Baerla z córką swoją.

— A wtedy — mawiał Korneljusz — nacóż przydałyby się nam wędrowne gołębie, gdyż czytać nie umiesz.

— A więc — odpowiadała Róża, lękająca się rozłączenia równie jak Korneljusz — mamy codziennie godzinę czasu, użyjmy jej dobrze.

— Zdaje mi się, że nieźle skorzystamy z niego.

— Korzystajmy zatem — odpowiada z uśmiechem Róża. — Ucz mnie pan czytać i pisać, wierz mi, iż będę pojmować prędko, tym więc sposobem nie masz rozłączyć nie zdoła oprócz własnej woli.

— Oh! jeżeli tak, mamy więc wieczność przed sobą.

Róża uśmiechnęła się wzruszywszy ramionami.

— Alboż pan wiecznie pozostaniesz w więzieniu. — Alboż statuder nie może pana ułaskawić zupełnie i zwrócić mu majątek skonfiskowany, a wtedy czyż pan nie zapomnisz o Róży, córce dozorczy więzienia, czy spojrzysz na nią przynajmniej jadąc konno lub w karecie? bo wiem, że mój stan jest bardzo poniżony; ojciec mój prawie tyle znaczy, co oprawca.

Korneljusz chciał ją upewnić o niezmienności swych uczuć i byłby może ją przekonał swoją szczerością duszy, tchnącej ku niej miłością.

Lecz dziewczica przerwała mu zapytaniem:

— Jakże się ma tulipan pański?

Mówić Korneljuszowi o tulipanie, było to nieomylnym środkiem wygładzenia z jego myśli wszystkiego, nawet Róży.

— Dość dobrze, pączek czernieje, teraz odbywa się fermentacja, żyły cebulki nagrzewają się i nabrzmiwiają, od dziś za tydzień będzie można rozpoznać pierwsze zarody kwitnięcia... A twój kwiat, Rózo?

— Oh! co się mnie tyczy, spodziewam się doczekać po-myślnego wyniku, gdyż postępowałam według pańskich zaleceń.

— Powiedz mi przecie, Rózo, jak postępowałaś? — za-

pytuje Korneljusz z iskrzącym wzrokiem, z przyspieszonym oddechem, podobnie jak w dniu, gdy chciał złożyć pocałunek na twarzy dziewczycy.

— Co do mnie — mówi z uśmiechem dziewczica (gdyż odgadła miłość, którą pałał ku niej więzień, również jak był zamiłowany w czarnym tulipanie) uprawiam ziemię w ogrodzie, zdala od drzew i murów, ziemia ta jest cokolwiek piaszczystą, raczej wilgotną niż suchą, bez kamyczków, szkła i skorup, gdyż ją starannie przesiałam...

— Bardzo dobrze, Rózo.

— Ziemia tak przygotowana, oczekuje na twoje dalsze zlecenia. Oznaczysz mi pierwszy dzień piękny do zasadzenia mego nasiennika i zasadzę go; mówiłeś, że powinna to później uczynić od ciebie, gdyż mam tę korzyść nad tobą, iż sprzyjać mi będzie świeże powietrze, słońce i obfitość soków ziemskich.

— Masz słuszność, Rózo — zawołał Korneljusz, uderzając z radością w dłonie — przekonywam się, żeś pojęta uczennica i otrzymasz pewno nagrodę stu tysięcy guldenów!

— Nie zapominaj pan, że twoja uczennica ma się czegoś więcej nauczyć jak uprawy tulipanów.

— Oh! bezwątpienia, bo i mnie wiele na tem zależy, ażebyś umiała czytać.

— Kiedyż rozpoczniemy naukę?

— Natychmiast.

— Nie, jutro.

— Dlaczego jutro?

— Ponieważ minęła godzina i muszę pana pożegnać.

— Już — lecz na czym czytać będziemy?

— Oh! mam książkę, która mnie ma przynieść szczęście, a raczej obojgu.

— A więc jutro?

— Jutro.

Nazajutrz Róza przysłała z biblią Korneljusza de Witt.

ROZDZIAŁ XVII

PIERWSZY NASIENNIK

Nazajutrz, jak nadmieniliśmy, Róża przysłała z biblią do Korneljusza de Witt

Wtedy rozpoczęła się pomiędzy nauczycielem a uczenicą jedna z tych scen rozkosznych, które stanowią zajmujący przedmiot dla autora, zdolnego je określić.

Otwór we drzwiach więzienia Korneljusza był za wysoko, ażeby dwie osoby jednocześnie mogły czytać książkę, podniesioną do tej wysokości.

Dziewica zmuszona była oprzeć się o drzwi i trzymać książkę w jednej ręce, gdy drugą, w której trzymała świecę, Korneliusz oswobodził od tej nużącej bezwładności, przywiązawszy chustką lichtarz do kratki otworu; wtedy Róża ułatwiała sobie posuwaniem palca poznawanie głosek i sylab, które jej Korneliusz przez okienko słomką na książce wskazywał.

Światło odznaczało wydatny rumieniec Róży, żywość jej oka niebieskiego i sploty blond włosów, ukazujące się z pod złoczonego ubioru głowy, zwykłego kobietom Fryzji, jej paluszki podniesione przybierały tę barwę blado-różową, jaśniejącą przy świetle, która jest oznaką życia tajemnego, krążącego pod powłoką cielistą.

Róża czyniła nadzwyczajne postępy, dzięki gorliwości nauczyciela i, gdy jaka trudność zachodziła, przełamwali ją zwykle wspólnemi usiłowaniami, czerpiąc w namiętnych spojrzeniach iskry pojętności.

Róża, powróciwszy do swego mieszkania, zajmowała się powtarzaniem udzielonej lekcji i zarazem w jej duszy budziła się miłość dotąd nieznaną.

Pewnego wieczora spóźniła się o pół godziny.

Korneljusz, zdziwiony tą okolicznością nadzwyczajną, przede wszystkim zapytał o przyczynę tego.

— Nie moja w tym wina — odpowiada dziewczica. — Mój ojciec wznowił znajomość tutaj z poczciwym człowiekiem, który w Hadze często go odwiedzał; jest to wesoły i miły człowiek, a przytem miłośnik butelki i zwykle częstuje mego ojca.

— Nie wiesz więcej o nim? — zapytuje Korneljusz zdziwiony.

— Nie... wiem tylko, że od dwóch tygodni ojciec mój jest z nim nierozłączony.

— Oh! — mówi Korneljusz, wzruszając głową z niespokojnością, (gdyż w każdym niezwykłym wypadku przewidywał nieszczęście) — zapewne szpieg jakiś, którego wysyłają dla śledzenia więźniów i dozorców.

— Ja tak nie sędzę — mówi Róża z uśmiechem — bo jeśli on kogo śledzi, to zapewne nie ojca mojego.

— Kogóż przecie?

— Oto mnie.

— Ciebie?

— Dlaczego wątpisz?

— A, prawda — mówi Korneljusz z westchnieniem — wszakże jesteś na wydaniu i ten człowiek starać się może o twoją rękę.

— To bardzo być może.

— I na czemże opierasz to radosne przypuszczenie?

— Powiedz raczej: tę obawę.

— Dziękuję ci, Różo, gdyż dla mnie przynajmniej jest obawa.

— Oto słuchaj lepiej.

— Słucham, Różo.

— Ten człowiek zaczął bywać u nas w Buitenhof właśnie wtedy, gdy ciebie uwięziono. Przypominam sobie nawet, że mówił, iż chciał się z tobą widzieć.

— Widzieć się ze mną?

— Oh, to był tylko pozór! jestem tego pewna, bo i teraz byłby o tem wspomniał, gdyś został tu przeniesiony, lecz przeciwnie, mówił nawet wczoraj memu ojcu, że nie zna ciebie wcale.

— Przypomnij sobie wszystko, Różo, gdyż pragnąłbym dojść, kto to jest ten człowiek i jakie ma zamiary.

— Jesteś pan pewny, że żaden z jego przyjaciół nie zechce się nim zajmować?

— Nie mam przyjaciół, Rózo; jedyna istota, która była do mnie przywiązana, jest to moja mamka. Ta biedna kobieta, Zug, jestem pewny, że nie robiłaby żadnych kroków podstępnych, przyszłaby tylko może z płaczem do twego ojca lub do ciebie i powiedziałyby: „Drogi panie lub panielko, moje dziecko jest tutaj, widzicie rozpacz moją, pozwólcie mi go widzieć przez godzinę tylko, a ja będę za was prosić Boga przez całe życie“. Tak, jestem pewny, że oprócz dobrej Zug nie mam nikogo.

— A więc ten człowiek musi mieć mnie na widoku; co mnie zaś w tem przekonaniu utwierdziło, to ta okoliczność, że gdy wczoraj byłam w ogrodzie i grabiłam zagon, w którym mam zasadzić twój nasiennik, spostrzegłam cię człowieka, który się przesunął poza drzewami. Udałam, że nie zwracam na niego uwagi, poznawszy naszego zwykłego gościa. Ukrywając się, jak mu się przynajmniej zdawało, przypatrywał się z zajęciem mojej robocie, nie spuścił ze mnie wzroku; zdawał się mnie pochłaniać swemi oczyma.

— Oh! on jest bezwątpienia zakochany — mówi Korneliusz — czy on młody, dorodny?

I spojrzął z obawą na Różę, oczekując niecierpliwie jej odpowiedzi.

— Młody, dorodny — powtarza Róża ze śmiechem. — Twarz jego obrzydliwa, zgarbiony, ma blisko 50 lat i nigdy nie śmie spojrzeć śmiało w oczy, ani mówić głośno.

— Jak się mazywa?

— Jakób Gisel.

— Nie znam go.

— Widzisz więc, że nie dla ciebie tu przychodzi.

— On ciebie kocha, nie masz wątpliwości; kto ciebie widzi, nie może być obojętnym; a ty, Rózo, mogłabyś go kochać?

— Co za pytanie!

— Czy chcesz mnie uspokoić, Rózo?

— Czegóż więc będziesz wymagał?

— A więc teraz, gdy już nieźle czytasz, będę pisywał do ciebie o mojej zazdrości i troskach, wynikających z naszego rozłączenia.

— Będę czytać, jeżeli będziesz pisał wyraźnie.

Potem, chcąc zmienić treść drażliwą tej rozmowy, Róża zapytuje:

— Cóż się dzieje z twoim tulipanem?

— Osądź o mojej radości, Rózo; dziś zrana przyszedłem mu się; odgrzebawszy ziemię, pokrywającą nasiennik, dostrzegłem pierwszy kolec łądygi. Serce moje zadrzało; ten początek białawy, któryby skrzydło muchy nieweczyć mogło jednym zamachem, to jestestwo w zarodzie, objawiające się zaledwie w źdźble niedotykalnem prawie, bardziej mnie wzruszyło, niż czytanie rozkazu statudera który mi uratował życie na rusztowaniu w Buitenhof.

— A więc masz nadzieję?

— Tak, mam nadzieję.

— A ja kiedyż mam zasadzić mój nasiennik?

— Jak tylko pogoda się ustali; lecz nadewszystko nie używaj nikogo do tej czynności i nie zwierzaj się nikomu w świecie; bo widzisz, Rózo, znawca, któryby przypadkiem dostrzegł ten nasiennik, poznałby wartość jego; wreszcie, moja droga Rózo, zachowaj starannie trzecią cebulkę.

— Bądź o to spokojny, leży sobie w tym samym papierze zawinięta w mojej szafie, obłożona koronkami, które jej nie gniotą, utrzymując w suchości. A teraz bawaj zdrów, biedny więźniu.

— Jaktó, już?

— Muszę.

— Przyszedłeś tak późno i spieszysz się?

— Ojciec niecierpliwiłby się, gdyby mnie nie było długo widać; przytem mój wielbiciel mógłby powziąć podejrzenie, że ma współzawodnika.

I przysłuchiwała się z zajęciem.

— Cóż ci jest, Rózo?

— Nic; zdawało mi się, że słyszę szelest.

— Cóż takiego?

— Coś podobnego do stąpań po schodach.

— To nie twój ojciec — mówi więzień — znam jego krok ciężki.

— O nie, to nie mój ojciec, lecz...

— Lecz co?

— Lecz to może być pan Jakób.

Róża szybko sunęła na schody i dosłyszała zamykające się drzwi z pośpiechem, gdy zaledwie zesła z kilku stopni.

Korneljusz doznał żywej niespokojności, lecz to było tylko wstępem dla niego.

Gdy fatalizm rozpoczyna działanie swej niszczącej potęgi, rzadko kiedy się zdarza, ażeby nie ostrzegł swej ofiary, podobnie jak biegly szermierz dozwala swemu przeciwnikowi stanąć w postawie obronnej przeciw razom jego oręża.

Prawie zawsze te ostrzeżenia, będące wypadkiem instynktu ludzkiego, albo wynikające z przedmiotów martwych, częstokroć pozornie tylko martwych, prawie zawsze, powtarzam, ostrzeżeniami temi pogardzamy. Słyszymy szelest w powietrzu i coś spada na głowę, którą ten szelest ostrzegał; był więc czas zabezpieczyć się od wypadku nieprzewidzianego wprawdzie, lecz wynikłego z obojętności na przestrozę.

Dzień następny minął, jak inne. Gryfus odwiedził więźnia podług zwyczaju, to jest trzy razy. Dotąd nic nie odkrył podejrzanego w pomieszkaniu van Baerla. Słyszac zbliżającego się dozorcę (Gryfus codziennie zmieniał porządek godzin, w których bywał u więźnia dla podejścia go), van Baerle zapomocą mechanizmu swego pomysłu, podobnego do stosowanego do windowania worków ze zbożem, spuszczał dzbanek pod wystawę kamienną okna swego, ukrywając sznurek pod pokładem mchu, rosnącego na dachu i w szczelinach muru.

Gryfus niczego się nie domyślał.

Ten podstęp udał się dni osiem.

Dziewiątego dnia zrana Korneljusz zatopiony w przyglądaniu się swemu nasiennikowi, z którego już widać było wyrostek łodyżki, nie dosłyszał nadchodzącego Gryfusa (tego dnia dał wiatr gwałtowny i wszystko trzeszczało w wieży), drzwi się otworzyły niespodzianie, Korneljusz siedział trzymając dzbanek na kolanach.

Gryfus, spostrzegłszy, że więzień trzyma coś w ręku, rzucił się z szybkością sokoła na ten przedmiot.

Przypadek, albo raczej złowroga zřęczność, którą bywają obdarzeni ludzie złośliwi, sprawiły to, że ciężka ręka dozorcę oparła się w pośrodku donicy, właśnie w tem miejscu, gdzie był zasadzony nasiennik; była to ta sama ręka, którą złamał w Hadze i którą mu Korneljusz nastawił.

— Co to masz! — zawołał. — Ah! złapałem ciebie.

I zanurzył palce w ziemi.

— Ja? nic... nic... — zawołał Korneljusz drżący.

— Ah! to dzban, napełniony ziemią! ah! tu musi się coś ukrywać!

— Drogi panie Gryfus! — mówi błagającym głosem van Baerle.

W tej chwili Gryfus grzebał w ziemi palcami.

— Panie, co robisz? strzeż się... — mówi Korneljusz błędąc.

— Czegóż mam się strzec?

— Strzeż się, mówię ci, ażebyś go nie zniweczył.

I szybkim poruszeniem, rzutem rozpaczy, wyrwał dzbanek z rąk dozorca, zastoniwszy go rękami na krzyż złożonemi.

Lecz Gryfus, uparty starzec, będąc prawie przekonany, że odkrył spisek przeciwko księciu Oranji, zbliżył się do więźnia z podniesionym kijem, lecz widząc, że Korneljusz postanowił bronić raczej dzbanka, jak swej głowy, postanowił odberać mu przemocą przedmiot podejrzany.

— Opierasz się, buntujesz... — wrzeszczał dozorca z wściekłością.

— Ja tylko bronię mego tulipanu — mówi van Baerle.

— Tak, znamy się na tem — odpowiada starzec — znamy się na waszych przebiegach.

— Przysięgam ci...

— Oddaj mi to! — powtarzał Gryfus, tupiąc nogą — albo wezwę pomocy straży.

— Wezwij, kogo ci się spodoba, lecz nie dostaniesz mego kwiatu, chyba po mej śmierci.

Gryfus rozjątrzony, powtórnie zanurzył palce w ziemi donicy i tym razem udało mu się wydobyć nasiennik czarnego tulipanu, gdy van Baerle, ucieszony, iż ocalił dzbanek, nie przypuszczał nawet, ażeby jego przeciwnik posiadał to, co się w nim znajdowało. Dozorca cisnął o podłogę cebulę i zgniół ją nogą.

Van Baerle odgadł to morderstwo, dostrzegł zgniecione na miazgę szczątki nasiennika, pojął okrutną radość Gryfusa i wydał okrzyk rozpaczy, zdolny wzruszyć tego dozorca, który zabił kilka lat przedtem pająka Pollisona.

Korneljusz w pierwszej chwili powiął zamysł odebrania życia Gryfusowi. Płomień krwisty zaślepił go i już pod-

niósł dzbanek oburącz wraz zapełnioną nim ziemią, ażeby nim rozstrzaskać łysinę dozorczy.

Lecz głos dobrze mu znany wstrzymał go; głos rzewliwy, rozpaczliwy, głos Róży bladej, ledwo oddychającej, z wniesionemi rękami do nieba.

Korneljusz upuścił dzbanek na ziemię, który się rozbił na drobne kawałki.

I wtędy Gryfus pojął niebezpieczeństwo, na jakie był narażony, gdy zaś to minęło, zaczął odgrażać więźniowi.

— Oh! — zawołał Korneljusz — musisz być bardzo nikczemnym i złym człowiekiem, ażeby pozbawiać biednego więźnia jedynej pociechy, pastwić się nad niewinnym kwiatem.

— To źle, mój ojcze! — odzywa się Róża.

— Ah! to ty, mościa panno! — zawołał starzec, pałający gniewem i obracając się do córki — nie mieszaj się do tego, co do ciebie nie należy, ruszaj stąd precz!

— O, ja nieszczęśliwy! — mówi Korneljusz z rozpaczą.

— Wielka szkoda zaiste, cebula tulipanu — odzywa się Gryfus cokolwiek zmieszany — dam ci ich tyle, ile zechcesz, mam ich pod strychem kilkaset.

— Idź do diabła z twemi tulipanami, one tyle warte, co i ty.

— Aha! domyślam się teraz, o co rzecz idzie. Nie żałujesz ty tulipanu, mój panie, lecz ta cebulka służyła do korespondencji, był to znak umówiony pomiędzy spiskowcami. Oh! dobrze mówiłem, że źle postąpił statuder, dając ci życie.

— Mój ojcze! mój ojcze! — zawołał Róża.

— A więc tem lepiej, tem lepiej — powtarzał Gryfus — żem zniszczył tę cebulę przekłątą, dzieło szatana. Uprzedzam ciebie, że postąpię podobnie, gdybyś coś podobnego przedsięwziął; bądź pewny, że dotrzymam słowa.

— Przekłęty człowiek! — zawołał z rozpaczą Korneljusz, obracając w drżących rękach szczątki nasiennika, trupa tyłu nadziei.

— Przecież mamy dwa inne, panie Korneljuszu — mówi zcicha Róża, pojawiwszy rozpacz jego i głos jej stał się dla jego serca balsamem pociechy.

ROZDZIAŁ XVIII

KOCHANEK RÓŻY

Gdy to mówiła, usłyszano głos, zapytujący Gryfusa, co się stać mogło.

— Mój ojciec... — mówi Róża.

— Co takiego?

— Pan Jakób pyta się o ciebie, widać, że jest niespokojny.

— W istocie, taki hałas niezwykły w więzieniu mógł go naprowadzić na wniosek, że wielki jest kłopot z tymi uczonymi.

Poczem, wskazując ręką na schody, mówi do Róży:

— Idź naprzód, mościa panno... poczekaj na mnie, panie Jakóbie.

Gryfus odszedł w towarzystwie córki, pozostawiając Korneljusza przygniecionego brzemieniem rozpacz, który mówi:

— Oh! to ty mnie zamordowałeś, stary oprawco! Nie przeżyję tego!

Rzeczywiście biedny więzień byłby może ciężko zachorował, gdyby Opatrzność nie była mu zesłała pociechy w osobie Róży.

Wieczorem dziewczyna przysłała do niego, jak zwykle.

Oświadczyła mu na wstępie, że odtąd jej ojciec dozwolił mu hodować kwiaty.

— Skądże wiesz o tem?

— Może to był podstęp z jego strony?

— Nie, gdyż żałuje swego postępku.

— Oh! to już zapóźno.

— Jednakże ten żal nie pochodzi z jego strony.

— Z czyjejże przecie?

— Gdybyś pan słyszał, jak na niego powstał pan Jakób, gdy się o tem dowiedział.

— Ah! pan Jakób?... on więc jest jego nieodstępny towarzyszem.

— W istocie, on prawie ciągle u nas przesiaduje.

I uśmiechnęła się tak powabnie, że ślad zazdrości, ukazujący się na obliczu Korneljusza, rozproszył się.

— Opowiedzże mi, jak to było?

— Rzecz tak się miała: Ojciec przy wieczerzy opowiadał mu o tem, co dziś zrana zaszło między wami i chlubił się zniszczeniem cebulki tulipanu.

Korneljusz westchnął.

— Oh! gdybyś pan był widział w tej chwili pana Jakóba! Zdawało się, że postradał zmysły, oczy mu się zaiskrzyły, włosy najeżyły, ścisnął pięście, przez chwilę obawiałam się, ażeby nie udusił ojca mego. „Jako? czyż dobrze słyszałem — mówił — zgmiotłeś nasienniki?“ „Nie inaczej“ — odpowiada ojciec. „To jest nikczemne! podłe! okrutne! popełniłeś zbrodnię“ — wołał Jakób. Mój ojciec milczał, osłupiał z zadziwienia. „Czyś oszalał?“ — zapytał swego towarzysza.

— Oh! jakież to zacny człowiek, ten pan Jakób! — mówi Korneljusz — pocziwe serce i dusza wybrańca Bożego.

— Bądź co bądź, pan Jakób obszedł się z moim ojcem jak najgorzej, złzył go, złorzeczył, rozpacz jego dorównywała twojej prawie, powtarzał tylko te słowa: „Zgnieciony na miazgę! nasiennik stracony! oh! mój Boże! mój Boże! na miazgę go zgmiotłeś, mówisz?“ Poczem, zwracając się do mnie: „Lecz zapewne miał ich więcej“ — zapytuje.

— On ciebie o to zapytał? — mówi Korneljusz, z zajęciem słuchając Róży.

— „Sądzisz więc, że miał ich więcej“ — odzywa się mój ojciec — dobrze, to ich poszukamy. „Jako! chcesz ich szukać, ażeby podeptać?“ — zawołał Jakób, chwytając ojca mego za kołnierz, lecz wkrótce go puściwszy znów się do mnie odzywał „Cóż ten biedny człowiek mówił przecie, gdy ujrzał swoją szkodę?“ Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć; przypomniałam sobie, żeś mi ściśle zalecił nie wspominać przed nikim, jaką ważność przywiązujesz do tych nasienników. Szczęściem mój ojciec wyprowadził

mnie z kłopotu. „Co mówił“ — odzywa się ojciec — „pienił się ze złości“. Przerwałam ojcu, mówiąc: „Mój ojczule! okazałeś się dla niego tak niesprawiedliwy i postąpiłeś po grubjańsku“. „Czyście wszyscy poszaleli, czy co?“ — zawołał mój ojciec — „wielkie nieszczęście się stało, zem zgniółł cebulkę tulipanu. Za złoty można ich dostać kopę“. „Lecz może tego pana była droższa“ — na nieszczęście się odezwałam.

— I cóż na to Jakób? — zapytuje Korneljusz.

— Wtedy zdawało mi się, że z oczu jego wytryskują iskry.

— I cóż dalej?

— „Więc piękna Róża — mówił miódowym głosem — „sądzi, że ta cebula była kosztowna?“ Poznałam wtedy mój błąd i odpowiedziałam obojętnie: „Skądże o tem mogę wiedzieć, czyliż się znam na tulipanach? domyślam się tylko, ponieważ, niestety, zmuszeni jesteśmy żyć z więźniami, że każde zajęcie ma wielką cenę u więźnia. Ten biedny Van Baerle bawił się swoją cebulką; podług mnie zatem, pozbawiać go tej przyjemności było okrucieństwem. „Co mnie najmocniej zastanawia“ — odzywa się mój ojciec — „jakim sposobem dostał tę cebulkę? Trzebaby się starać to wysłedzić“.

Odwróciłam wzrok od ojca, lecz natomiast spotkałam spojrzenie Jakóba. Zdawało się, że pragnął przeniknąć myśl moją, w głębi serca ukrytą. Poruszenie niezadowolenia oszczędza nam często odpowiedzi. Wzruszywszy ramię chciałam się oddalić. Zatrzymałam się jednakże, dosłyszawszy kilka słów, lubo pocichu wymówionych. Jakób mówił do ojca: „Jakim sposobem?“ „Zrewidować go, gdyż zwykle cebula wydaje trzy nasienniki“.

— Więc on się zna na tem — zawołał Korneljusz. — Mówił, że mam trzy nasienniki.

— Pojmujesz pan, te słowa mocno mnie zajęły. Odwróciłam się przeto. Obaj byli tak zajęci, że nie spostrzegli mojego zbliżenia. „Lecz“ — mówi mój ojciec — „być może, iż ich nie ma przy sobie“. „Jeżeli tak, to sprowadzi go pod jakim pozorem do siebie, a ja przez ten czas zrewiduję jego celę.,,

— Oh! oh! — mówi Korneljusz — ten pan Jakób jest łotrem wierutnym?

— Być może.

— Powiedz mi, Rózo... — mówi Korneljusz zamyślony.

— Co takiego?

— Tak, przypominam sobie, żeś mi to mówiła pewnego dnia, gdyś grabiła zagon w ogrodzie, ten człowiek śledził ciebie?

— Tak, to prawda.

— Że się ukrywał za wierzbami?

— Bez wątpienia.

— Że się przypatrywał z zajęciem twej robocie?

— Nie spuścił ze mnie oka.

— Rózo! — zawołał błędąc Korneljusz.

— I cóż?

— On nie ciebie śledził?

— Kogóż więc?

— On nie jest w tobie zakochany.

— W kimże przecie?

— On śledził mój nasiennik, on jest zamiłowany w moim tulipanie.

— To bardzo być może.

— Czy chcesz się o tem przekonać?

— Jakim sposobem?

— Bardzo łatwym.

— Jakim?

— Idź jutro do ogrodu, lecz staraj się, ażeby Jakób ciebie widział wychodzącą, bezwątpienia pójdzie za tobą; wtedy udaj, jakbyś sadziła nasiennik, potem z kolei ty go będziesz śledzić.

— Rozumiem, lecz potem?

— Potem zobaczymy, jak postąpi, tak i my postąpimy.

— Ach! mówi Róża westchnąwszy — jak widzę, pan jesteś bardzo zamiłowany w swoich cebulach.

— Rzeczywiście — odpowiada więzień, podobnie westchnąwszy — że od czasu, jak twój ojciec zgniótl mój nasiennik, zdaje mi się, że część życia mi odjęto.

— Czy chcesz pan usłuchać mojej rady?

— Jakiej?

— Czy chcesz zgodzić się na przełożenie ojca mego?

— Jakie?

— Ofiarował ci przecie dać tyle nasienników, ile chcesz.

— Tak, to prawda.

— Weź ich kilka od niego i pomiędzy temi zasadź twój tulipan.

— Tak, toby był niezły pomysł, gdyby twój ojciec był sam, lecz ten pan Jakób, który nas śledzi...

— Masz słuszość, jednakże zastanów się, gdyż, jak uważam, pozbawiłbyś się jedynej przyjemności, którejbyś mógł doznawać w tem więzieniu.

I to mówiąc uśmiechnęła się nawpół szyderczo.

Korneljusz zastanowił się przez chwilę; widoczne było, że walczył przeciw gwałtownej żądzy.

— Nie — zawołał nakoniec, ze stoicyzmem godnym starożytnego filozofa — nie, byłoby to słabością, szaleństwem, podłością. Nigdybym sobie nie przebaczył, gdybym narażał na wszelkie wypadki gniewu i zawiści ostatnią nadzieję, która nam pozostaje. Nie, Rózo, nie, jutro naradzimy się, jak postąpić mamy względem zasadzenia twego tulipanu; będziesz go pielęgnowała według moich zleceń, a co się tyczy trzeciego nasiennika, — to mówiąc, westchnął — zachowaj go starannie w twojej szafie, strzeż go, jak skąpiec strzeże swą pierwszą lub ostatnią sztukę złota, jak ranny ostatnią kroplę krwi; Rózo, zaklinam ciebie, pilnuj go! Mam niewątpliwe przeczucie, że on nas uszczęśliwi, z bogaci! oh! tak, strzeż go i, jeżeli piorun uderzy w Löwenstein, przysięgnij mi, Rózo, że zamiast twoich pierścieni, koronek, kosztowności, uniesiesz z sobą ten ostatni nasiennik, który wyda czarny tulipan.

— Bądź spokojny, panie Korneljuszu — mówi Róza z łagodnością, połączoną z pewnym smutkiem — tak... bądź spokojny, twoje życzenia są dla mnie rozkazem.

— A nawet — mówi dalej młodzieniec, unosząc się stopniowo, — jeżeli dostrzeżesz, że ciebie śledzą, że twoja mowa obudziła podejrzenie w twym ojcu lub w tym niegodziwcu Jakóbie, którego nienawidzę, a więc, Rózo, poświęć mnie, który żyję tylko przez ciebie, którego jesteś jedynym skarbem, poświęć mnie, mówię, i nie bywaj u mnie.

Róza uczuła ścisnięcie serca; łzy błysnęły w jej oczach.

— Niestety — mówi.

— Cóż takiego? — zapytuje Korneljusz.

— Gdyż przekonywam się o tem, czegom się dawniej domyślała.

— O czem?

— Że pan zamiłowany jesteś do tego stopnia w tulipanach — mówi dziewczica z łkaniem — iż wszelkie inne uczucie obce jest w pana sercu.

Poczem uciekła.

Korneljusz spędził resztę wieczoru i noc całą w najdogliwszych udręczeniach.

Róża rozgniewała się na niego i słusznie. Nie przyjdzie może więcej do niego i on się nie dowie nic o swoich tulipanach.

Teraz, jak wytłumaczyć ten dziwaczny charakter wielbicielom tulipanów dzisiejszej epoki?

Wyznamy wszakże ku zawstyżeniu naszego bohatera i ogrodnictwa, że Korneljusz, walcząc pomiędzy dwiema skłonnościami, oddał pierwszeństwo przywiązaniu do dziewczicy i, gdy nakoniec zasnął nad ranem znużony, pełen niespokojności, dręczony wyrzutami, wielki czarny tulipan ustąpił w jego marzeniach niebieskim oczom blondynki.

ROZDZIAŁ XIX

KOBIETA I KWIAT

Biedna Róża w swoim pokoiku nie mogła wiedzieć, o kim lub o czym marzył Korneljusz.

Podług tego, co mówił przynajmniej, mogła wnosić, że marzył raczej o tulipanie, niż o niej, a jednakże Róża się myliła.

Lecz, gdy nikt nie mógł jej przekonać, że mylnie sądzi, gdy wyrazy nieroztropne Korneljusza spadły na jej serce, jak krople trucizny, Róża nie marzyła, tylko płakała.

I w istocie miała przyczynę do tego; będąc obdarzona wyższym umysłem, trafnym i głębokim rozsądkiem, umiała się ocenić nie pod względem przymiotów moralnych i fizycznych, lecz pod względem stanowiska swego w społeczeństwie.

Korneljusz był uczony, przytem bogaty, a przynajmniej nim był przed konfiskatą swego majątku; pochodził z rodziny mieszczan handlujących, dumniejszej ze swych sztyldów w kształcie tarcz herbowych, niż szlachta z urodzenia ze swych klejnotów dziedzicznych. Korneljusz mógł zatem uważać miłostki Róży jak rozrywkę, lecz bezwątpienia, gdyby miał oddać swe serce, to nie jejby je poświęcił, biednej córce dozorczy więzienia, lecz raczej tulipanowi, to jest najpiękniejszemu i najdumniejszemu z kwiatów.

Róża pojmowała więc to pierwszeństwo, jakie miał przed nią tulipan czarny w umyśle Korneljusza, lecz właśnie dlatego, iż je pojmowała, była tembardziej zmartwiona.

Róża zatem obrała postanowienie w ciągu tej okropnej nocy, nocy bezsennej.

Postanowiła nie odwiedzać więcej więźnia.

Lecz zarazem przekonana będąc, z jaką namiętną żądzą Korneljusz oczekiwał wiadomości o swoim tulipanie, nie chcąc wprawdzie widywać człowieka, dla którego początkowo litością prowadzona, doznawała uczucia tak tkliwego, że ją mogło szybko zbliżyć do miłości, postanowiła, nie chcąc go doprowadzić do rozpacz, uczyć się sama czytać i pisać i szczęściem doszła już do tego stopnia, iż mogła się obejść bez nauczyciela.

Róża więc uczyła się czytać na Biblii nieszczęśliwego Korneljusza de Witt, której druga stronica, stanowiąca pierwszą (wydartą, jak wiadomo, przez Jana), obejmowała testament Korneljusza Van Baerle.

— Ach! — mówiła do siebie, odczytując ten testament ze łąz w oku, która spływała po jej wybladłych licach — gdy to pisał, sądziłam, że mnie kocha.

Biedna Róża, jakże się myliła! nigdy bowiem Korneljusz nie kochał jej bardziej, jak w obecnej chwili, ponieważ wyznaliśmy to z wahaniem, że w czasie walki o pierwszeństwo pomiędzy Różą a czarnym tulipaniem, ostatni musiał jej ustąpić.

Lecz Róża, powtarzamy, nie wiedziała o tem zwycięstwie.

Skończywszy czytać, Róża brała pióro do ręki i z równą gorliwością pracowała nad kształceniem pisma swego.

Nakoniec, gdy Róża pisała już prawie czytelnie w dniu poróżnienia się z Korneljuszem, spodziewała się przeto, iż przy usilnem staraniu będzie mogła za tydzień napisać do Korneljusza, donosząc mu jedynie o postępie wegetacji tulipanu... Nie zapomniała o zleceniach Korneljusza we względzie zasadzenia nasiennika, bo Róża nie zapomniała nigdy słowa, wyrzeczonego przez niego, chociażby to słowo nie było zaleceniem.

On ze swej strony przebudził się zakochany bardziej niż kiedykolwiek.

Tulipan wprawdzie trwał ciągle w jego myśli, lecz nie uważał go za skarb, któremoby wszystko miał poświęcić, tylko poprostu za kwiat, dzieło przyrody, która go utworzyła dla przyozdobienia pięknego łona jego kochanki.

W ciągu dnia tego dręczyła go niespokojność. Podobny był do człowieka, którego umysł dość jest silny, ażeby zapomnieć chwilowo o wielkiem niebezpieczeństwie, zagra-

zajęciem mu wieczorem lub nazajutrz. Przewyciężywszy dręczącą obawę, oddaje się zwykłemu zajęciu. Jedynie tylko czasami to niebezpieczeństwo zapomniane dogryza serce swym ostrym zębem. Wzdrygnawszy się, zapvtuje, z jakiej przyczyny; poczem, przypomniawszy sobie, mówi z westchnieniem:

— Tak, to „to“.

„To“ Korneljusza było obawą, czy Róża nie przyjdzie, jak zwykle. I w miarę zbliżania się wieczoru, ta obawa stawała się żywsza i dłużej trwała, nakoniec owładnęła do tego stopnia umysłem jego, że wyłącznie go zajmowała.

Skoro zmierzch nastąpił, doznał gwałtownego bicia serca; w miarę powiększania się ciemności, przypominały mu się wczorajsze słowa, wyrzeczone przez niego do dziewicy i zapytywał siebie, jak mógł żądać od swej pocieszycielki, ażeby go poświęciła dla jego tulipanu, to jest, ażeby go przestała odwiedzać, gdy dla niego widok Róży stał się potrzebą życia.

Z pokoju Korneljusza można było słyszeć bicie godzin zegara twierdzy. Siódma, ósma, dziewiąta wybiły. Nigdy dźwięk śpiżu nie odbił się w głębi serca dotkliwiej, jak ostatnie uderzenie dziewiątej godziny.

Poczem wszystko ucichło. Korneljusz przyłożył rękę do serca dla przytłumienia gwałtownych wstrząśnien i nadstawił ucha.

Szelest kroków Róży i szum jej sukni, gdy była na schodach, były mu tak znane, że skoro weszła na pierwszy stopień, mawiał:

— Ach! otóż Róża.

Tego wieczoru żaden szelest nie dał się słyszeć na kurytarzu; wybił kwadrans na dziesiątą, poczem w pół, trzy kwadransie, dalej posępny odgłos dzwonu oznajmił nietylko mieszkańcom twierdzy, lecz i całemu miastu, że już dziewiąta.

Była to godzina, w której zwykle Róża opuszczała Korneljusza. Godzina wybiła i Róży nie było widać.

Przecucie więc go nie omyliło; zagniewana Róża pozostała w swym pokoju.

— Oh! zasłużyłem na to — mówił Korneljusz. Oh! ona nie przyjdzie i dobrze zrobi, na jej miejscu tak samobym postąpił.

I pomimo tego Korneljusz się przysłuchiwał, czekał i cieszył się nadzieją.

Słuchał i czekał do północy; lecz potem stracił nadzieję i nierozebrany rzucił się na swe łożo.

Noc wydawała mu się długą i smutną; poczem dzień nastąpił, lecz dzień nie przywrócił mu nadziei utraconej.

O ósmej zrana drzwi się otworzyły, lecz Korneljusz nie odwrócił nawet głowy; usłyszał ciężki krok Gryfusa na kurytarzu, lecz i to również dosłyszał, iż on sam jeden się zbliżał.

Nie spojrzął na Gryfusa, chociaż miał wielką chęć zapytać się o Różę; już nawet miał to uczynić, lubo byłoby bardzo dziwaczne zapytywać Gryfusa o jego córkę. Spodziewał się samolub, że Gryfus byłby mu odpowiedział, iż Róża jest chora.

Dziewica nigdy we dnie nie przychodziła, Korneljusz przeto w ciągu dnia nie spodziewał się jej wcale. Jednakże widząc jego częste wstrząśnienia, natężenie słuchu, skierowane ku drzwiom, wzrok szybko zwracający się na otwór we drzwiach, można by wnosić, iż się spodziewał, że Róża w tym dniu przestąpi swój zwyczaj.

Gdy Gryfus powtórnie odwiedził Korneljusza, ten zapytał go po raz pierwszy wbrew swemu zwyczajowi i to głosem najśłodszy o zdrowie jego; stary odźwierny, lakoniczny jak Spartanin, ograniczył się na odpowiedzi:

— Zdrów jestem.

Przy trzeciej wizycie Korneljusz zmienił sposób zapytania:

— Czy nikt nie jest chory w Löwenstein?

— Nikt odpowiedział Gryfus zamykając drzwi więzienia.

Gryfus, nieprzywykły do podobnych grzeczności Korneljusza, powziął podejrzenie, że to jest początek zabiegów jego w celu przekupienia dozorca.

Była siódma godzina wieczorem; odtąd wznawiały się, lecz w wyższym stopniu, niż dnia poprzedzającego, udręczenia jego, któreśmy usiłowali opowiedzieć.

Lecz równie, jak wczoraj, godziny upływały, nie sprowadziwszy zajmującego widma, które oświecało więzienie biednego Korneljusza i które, oddaliwszy się, pozostawiało światło na cały czas swej nieobecności.

Van Baerle przepędził noc, miotany rozpaczą. Nazajutrz

Gryfus wydawał mu się obrzydliwszym, nieznosniejszym, niż zwykle; przysłała mu myśl, która się w sercu, nie w głowie zrodziła, iż on wstrzymywał Różę, żeby go odwiedzać nie mogła.

Były chwile, w których powziął zamiysł udusić Gryfusa; lecz gdyby się tego dopuścił — prawa boskie i ludzkie zabroniłyby Róży widzieć go więcej.

Dozorca uniknął, nie domyślając się, tego największego niebezpieczeństwa, na jakie mógł być narażony w życiu.

Za nadejściem wieczoru rozpacz jego ustąpiła melancholji, która była tem posępniejsza, że do cierpień Van Baerla przyłączyło się wspomnienie o tulipanie. Nadchodził bowiem dzień ostateczny miesiąca kwietnia, w którym najbardziej doświadczeni ogrodnicy ukończyli sadzenie tulipanów. Wspomniał wprawdzie Róży:

— Oznaczę ci dzień, w którym nasz zasadzić nasiennik.

Właśnie ten dzień miał być wskazany przez niego następującego wieczoru.

Pogoda była piękna, powietrze, lubo jeszcze cokolwiek wilgotne ocieplało się promieniami bladawego słońca kwietniowego, które pomimo tego, jako zwiastuny wiosny wydają się tak miłemi. Jeżeli Różia zapomni o czasie stosownym do zasadzenia!... Tak więc do cierpień, wynikłych z jej nieobecności, przyłączyła się nadto niespokojność, że nasiennik nie wyda kwiatu spodziewanego z powodu zasadzenia go zapóźno, albo też z przyczyny nie zasadzenia go wcale.

To podwójne cierpienie pozbawiło Korneljusza żądy do picia i jedzenia.

I to nastąpiło czwartego dnia.

Korneljusz godny był politowania, niemy z rozpacz i wybladły z braku pożywienia, wychylał się przez kraty okna swego z narażeniem głowy, która mogła uwięznąć w kratkach, ażeby dostrzec część ogrodu, o którym mu Róża wspomniała, iż dochodzi do rzeczki, a to w nadziei ujrzenia dziewicy lub tulipanu, tych dwóch przedmiotów najdroższych dla niego i utraconych być może na zawsze.

Więcorem Gryfus odniósł napowrót śniadanie i obiad



Podstuchując, chciał Bokstel się dowiedzieć, gdzie jest ukryty nasiennik czarnego tulipanu.

więźnia, w tym samym prawie stanie będące w jakim je przyniósł.

Nazajutrz nie dotknął się pożywienia i Gryfus podobnież je zabrał.

Korneliusz cały dzień leżał.

— Wybośnie — mówi Gryfus, wróciwszy z wieczornej wizyty — dobrze, zdaje się, że wkrótce pozbedziemy się uczonego.

Róża zadrzała.

— Jak to się ma rozumieć? — zapytuje Jakób.

— Nie pije, nie je, a nawet z łóżka nie wstaje — mówi Gryfus. — Wyjdzie stąd podobnie jak Grotius w skrzyni, lecz dla niego ta skrzynia będzie trumną.

Róża zbladła, jak umarły.

— Oh! pojmuję to, on jest niespokojny o swój tulipan.

Powstawszy z trudnością, udała się do swej sypialni, wzięła papier i pióro i przez całą noc uprawiała się w pisaniu.

Nazajutrz zrana idąc do okna, Korneliusz spostrzegł papier, który wsunięto pode drzwi.

Poskoczywszy tam, wydobył go i przeczytał pismo, za ledwie mogąc rozpoznać rękę Róży, tak widoczny postęp uczyniła przez dni siedem.

„Bądź spokojny, twój tulipan jest w dobrym stanie“.

Lubych to kilka słów ukoilo w części cierpienia Korneliusza, jednakże dotknęła go żywo ironją treści pisma. Róża więc nie była chora, lecz obrażona, nie przychodziła go odwiedzać dobrowolnie.

Tak więc Róża w swej woli czerpała siłę, ażeby się oprzeć żądzy widzenia tego, który umierał z przyczyny jej nieobecności.

Korneliusz miał ołówek i papier, które mu Róża przyniosła. Spodziewał się, że dziewczica oczekiwać będzie jego odpowiedzi i że po nią przyjdzie w nocy. Napisał więc co następuje:

„Nie jest to niespokojność o tulipan, która mnie nabiwiła choroby, lecz rozpacz z przyczyn niewidywania ciebie“.

Po ostatniej wizycie Gryfusa wsunął papier pod drzwi i przysłuchiwał się.

Lecz pomimo całego natężenia słuchu nie słyszał ani kroków Róży, ani szelestu jej sukni.

Dosłyszał tylko słaby głosik słodki i pieszczotliwy, który doszedł go przez otwór we drzwiach będący; były to dwa słowa:

— Do jutra.

Był to dzień ósmy; przez dni osiem Korneliusz nie widział się z Różą.

ROZDZIAŁ XX

CO SIĘ DZIAŁO PRZEZ TE DNI OSIEM

Nazajutrz o zwykłej godzinie Van Baerle dosłyszał drapanie u otworu drzwi, jakto Róża miała zwyczaj czynić w czasie ich poprzedniej zażyłości.

Łatwo się domyśleć, że Korneljusz stanął przy drzwiach, przez których otwór miał ujrzeć śliczną buzię, której tak dawno nie widział.

Róża, oczekująca na niego ze świecą w ręku, nie mogła się wstrzymać od wzruszenia, dostrzegłszy twarz wybladłą i smutek więźnia.

— Pan jesteś cierpiący?

— Tak jest, panno, cierpię na ciele i umyśle.

— Ojciec mówił, że pan nie jesz i nie pijesz i że się z łóżka nie podnosisz; postanowiłam więc napisać do panna, ażeby go zaspokoić o przedmiocie jego trosk i niespokojności.

— I ja też pannie odpowiedziałem; mniemam, żeś panna mój list odebrała?

— Tak jest.

— Spodziewam się, że nie będziesz panna tłumaczyć się nieumiejętnością czytania płynnie i, jak się przekonałem, uczyniłaś wielkie postępy w pisaniu.

— Prawda, że nietylko odebrałam, ale i przeczytałam pismo pana, dlatego też przyszłam, ażeby ile możności przynieść panu pomoc w jego chorobie.

— Pomoc w mojej chorobie! — zawołał Korneljusz — mniemałem, że mi panna przynosisz jaką pożądaną wiadomość.

To mówiąc młodzieniec spoglądał na Różę wzrokiem nadziei.

Czy to, że nie zrozumiała wyrazu wzroku, czyli też nie chciała go zrozumieć, dziewica odpowiedziała poważnie:

— Mam tylko zdać panu sprawę o jego tulipanie, który jest wyłącznym przedmiotem jego zajęcia.

Róża wymówiła te słowa z lodowatą oziębłością, która dotknęła żywo Korneljusza.

Zagorzały tulipanista nie pojął, co ukrywa pod zasłoną obojętności biedne dziecię, walcząc ze swym współzawodnikiem, czarnym tulipanem.

— Ah! — mówi Korneljusz — czy jeszcze mi o tem wspominasz? Czyliż ci nie mówiłem, Różo, że tylko o tobie myślę, że tęsknię za tobą, że ciebie mnie tylko brakuje, ciebie jedynie, która przez swoją nieobecność odejmujesz mi powietrze, światło, dzienne życie...

Róża uśmiechnęła się melancholijnie.

— Ah! gdybyś pan wiedział, na jakie niebezpieczeństwo narażony był jego tulipan!

Korneljusz zadrzał i dał się ułowić w zastawione siła, jeżeli to był podstęp dziewczycy.

— Na jakie niebezpieczeństwo — zapytuje z drżeniem.

Róża spojrzała na niego ze słodkim współczuciem, uczuła bowiem, że to, czego, ona po nim wymagała, przechodziło jego i że potrzeba mu było wybaczyć słabości jego.

— Tak, odgadłeś pan trafnie; ten, którego uważałam za mego wielbiciela, pan Jakób, odwiedzał nas w innym zamiarze.

— W jakimże przecie?

— On chciał wykraść tulipan.

— Oh! — zawołał Korneljusz, błędąc bardziej, niż zbladł przed dwoma tygodniami; gdy mu Róża oznajmiła, iż Jakób bywa u ojca w zamiarze jej poślubienia.

Róża dostrzegła to, a Korneljusz wyczytał z jej twarzy, że pomyślała to, cośmy napisali.

— Oh! przebaczysz mi, Różo, bo znam twoją dobroć serca. Bóg obdarzył ciebie myślą, rozsądkiem, nakoniec siłą moralną do oparcia się, lecz biedny mój tulipan jaką ma obronę?

Róża, nic na to nie odpowiedziawszy, dalej mówi:

— Od chwili, gdy ten człowiek, który mnie śledził, zaczął niepokoić pana, niepokoił i mnie nierównie więcej. Postąpiłam więc tak, jak mi pan zaleciłeś, nazajutrz po tym dniu, w którym widzieliśmy się po raz ostatni i w którym mi mówiłeś...

Korneljusz przerwał jej:

— Przebac mi jeszcze raz, Rózo! to, com mówił, przynaję, mogło obrazić ciebie. Prosiłem cię już o przebaczenie i teraz, proszę. Czyż zawsze mi to pamiętać będziesz?

— Nazajutrz zatem, przypomniawszy sobie, coś mi pan mówił, to jest jakiego podstępu mam użyć ażeby się przekonać, czy ten niezdolny człowiek przychodzi dla mnie, czy też dla tulipana.

— Tak, niezdolny... wszak prawda, że go nienawidzisz?

— Oh! bezwątpienia, gdyż on jest przyczyną, że cierpię od dni ośmiu.

— I ty cierpiałaś, Rózo!... dziękuję ci za tę pocieszającą wiadomość.

— Nazajutrz po tym dniu nieszczęsnym zesłałam więc do ogrodu i zbliżyłam się do zagonu, w którym miałam zasadzić nasiennik; oglądając się nieznacznie, dostrzegłam, iż szedł za mną.

— Szedł za tobą?

— To jest tak, jak poprzednio, ukrywając się za drzewami.

— Udawałaś, że go nie widzisz? — zapytuje Korneljusz, przypominając sobie radę, jaką udzielił Róży.

— Tak, i z łopatą w ręku, zaczęłam kopać ziemię.

— A on!

Widziałam jego oczy, iskrzące jak u tygrysa.

— On ciebie śledził.

— Poczem, udając, jakobym zasadziła nasiennik, oddaliłam się.

— I ukryłaś się za drzwi ogrodu, przez szczeliny lub dziurkę od klucza nawzajem go śledziłeś?

— Przez chwilę stał w miejscu, zapewne dla przekonania się, czym się zupełnie oddaliła, lub czy nie wrócę; poczem wylazł wilczym krokiem ze swego ukrycia, a zbliżył się manowcami do zagonu, obejrzawszy się na wszystkie strony; stanął wreszcie przed miejscem, gdzie ziemia świeżo była skopana, raz jeszcze rzucił wzrokiem na ogród, na okna, na niebo i, sądząc, że nikt go dostrzec nie może, wpadł na zagon, zanurzwszy obie ręce w ziemi, poczem wzięwszy garstkę, roztarł jej gruczołki ostrożnie, szukając nasiennika; trzykroć powtarzał tę czynność na całej przestrzeni skopanej przeze mnie ziemi, nakoniec do-

Domyśliwszy się podstępu lub omyłki, uspokoił swoje wzruszenie, wziął grabie i zarówno powierzchwnię zagonu i zawstydzony, zasmucony, skierował swe kroki ku drzwiom ogrodu, idąc powolnym krokiem, jak używający przedchadzki.

— Oh! nikczemnik — zawołał Korneljusz, ocierając krople potu, spływające z jego twarzy — nikczemnik! odgadłem jego zamiary. Ale cóż się stało z nasiennikiem, Rózo? już cokolwiek zapóźno, ażeby go zasadzić.

— Zasadziłam go przed pięciu dniami.

— Gdzie? jakim sposobem? — zawołał Korneljusz — o, mój Boże, poco ten pośpiech? W jakiej ziemi go zasadziłaś? Czy w stosownem miejscu wystawiony na działanie powietrza? Czy Jakób nie będzie go mógł ukraść?

— Tego się nie obawiam wcale, bo chyba by wyłamał drzwi mego pokoju.

— A więc jest w tym pokoju — mówi Korneljusz uspokojony cokolwiek — lecz w jakiej ziemi? spodziewam się, że jej nie polewasz zbyt, jak to czynią zwykle kobiety z Harlem i Dordrechtu, które się upierają przy twierdzeniu, że woda może zastąpić ziemię roślinną, tak, jakby woda, która się składa z 33 części wodorodu i 66 części kwasorodu mogła mieć własności... lecz o czemże ja mówię tobie, Rózo?...

— Tak, to jest dla mnie zanadto uczone — odpowiada z uśmiechem dziewczyna. — Ograniczę się tylko na odpowiedzi dla zaspokojenia ciebie, że twój nasiennik nie jest w wodzie.

— Ah! oddycham teraz.

— Zasadziłam go w donicy podobnej wielkości, jak był twój dzbanek. Ziemię tak przysposobiłam: wzięłam trzy czwarte wyborowej z ogrodu, a jedną czwartą z błota ulicznego i dokładnie je pomieszałam. Oh! słyszałam tyle razy od niegodziwego Jakóba, jak uprawiać ziemię pod tulipany, że znam się na tem, jak najlepszy ogrodnik harlemski.

— A teraz jakże jest wystawiony? to jest raczej jak go wystawiają na działanie słońca?

— Teraz stoi ciągle na słońcu, jeżeli świeci. Lecz jak wypuści kiełki nad ziemią i gdy słońce będzie bardziej ogrzewać, postąpię sobie tak, jakies mi pan zalecił. Wystawię donicę no oknie od wschodu do jedenastej, potem

ją sprzątnę i znów o trzeciej wystawię do zachodu słońca.

— Wybornie, wybornie! — zawołał Korneljusz — jesteś doskonałą ogrodniczką, piękna Rózo. Ale co mnie zastanawia, że pielęgnowanie naszego tulipanu zajmie ci dużo czasu.

— Tak, to prawda, ale cóż stąd? Twój tulipan to moje dziecko, poświęcam więc mu tyle czasu, ilebym go poświęciła obowiązkom matki. Tak, gdy zostanę matką tulipanu — mówi Róża z uśmiechem — spodziewiam się, iż nie będę mu zazdrościć.

— Dobra i droga Rózo — odzywa się Korneljusz, spoglądając na dziewczycę wzrokiem namiętnego kochanka raczej, niż ogrodnika; to cokolwiek pocieszyło Różę.

Poczem po chwili milczenia, w czasie którego Korneljusz szukał przez kratki rączek Róży, mówi:

— A więc od sześciu dni w ziemi?

— Tak jest.

— I jeszcze nie puścił kiełka?

— Nie, lecz sędzę, że jutro to nastąpi.

— Być może, i dasz mi o tem wiadomość i, spodziewam się, o sobie... Przyznaję, że mocno mnie obchodzi dziecko, jakieś go nazywała przed chwilą, lecz nieporównanie więcej matka.

— Jutro — mówi Róża, spoglądając z ukosa na Korneljusza — nie wiem, czy przyjdę.

— Ah, mój Boże, a to dlaczego?

— Mam tyle do czynienia...

— Tak, to prawda, bo ja jestem tylko jednym zajęty.

— Wiem o tem, że myślisz tylko u tulipanie.

— Nie, Rózo, mylisz się... ty mnie wyłącznie zajmujesz.

Poczem po chwili milczenia dodaje:

— Wszystko się zmienia w przyrodzie, po wiosennych kwiatach następują i pszczoły, które się pieściły z gwoździkami i fjołkami, pospieszają z równym zapałem do róż, jaśminów, geranji i innych.

— Cóż stąd?

— To znaczy, że ty pierwsza lubiłaś słuchać opowiadania moich trosk i nadziei; tyś pierwsza pielęgnowała kwiat naszej młodości, lecz, co do mnie, kwiat mej młodości zwiędnął w cieniu. Ogród nadziei i rozkoszy ma tylko jedną porę, nie jest on podobny do ogrodów na wolnem po-

wietrzeu ogrzewanych słońcem. Po zebraniu plonu, pszczołki podobnie tobie, Rózo, z powabnym tonem, ze skrzydełkami złotymi ulatują przez kraty, uciekają od zimna, samotności, smutku, szukać gdzieindziej woni i wyziewów ciepła, szukając szczęścia na koniec.

Róza spoglądając na Korneljusza z uśmiechem, którego nie dostrzegł, gdyż oczy miał wzniesione ku niebu i dalej z westchnieniem dodaje:

— Opuściłaś mnie, panno Rózo, ażeby się napawać rozkoszami czterech pór roku i dobrześ postąpiła; nie mam prawa uskarżać się na to, czyż mogę wymagać twej wierności?

— Wierności! — zawołała ze łzami Róza, nie ukrywając przed Korneljuszem tej rosy perłowej, spływającej po jej licach — mej wierności! albowiem nie dałam jej dowodów?

— Niestety! jestże to dowodem wierności opuścić mnie, dozwolić mnie umierać?

— Ależ panie Korneljuszu, czyliż nie robię wszystkiego, cokolwiek ci przyjemność sprawić może? czyliż nie zajmuję się twoim tulipanem?

— Oh! to jest złośliwość, Rózo! zawsze mi wyrzucasz jedyną przyjemność, którą w życiu doznałem.

— Nic ci nie wynzucam, panie, oprócz jedynego smutku, który uczułam od dnia, kiedy syn chrzestny Korneljusza de Witt skazany został na śmierć.

— A więc ci się to nie podoba, że lubię kwiaty?

— Oh! bynajmniej, panie; tylko to mię smuci, że je przekładasz nad wszystko, nad przyjaźń moją.

— Ah! droga, najmiłsza Rózo! — zawołał Korneljusz — spojrzij na moje ręce drżące, na moje wybladłe lica, przysłuchaj się uderzeniom serca; ah! wierzaj mi, że to nie z powodu nadziei oglądania czarnego tulipana, lecz dlatego, że ty się do mnie uśmiechasz, tak, dlatego, że pochylasz swoje czoło ku mnie; być może, iż mi się tylko zdaje... że lubo zdajesz się ich unikać, moje ręce napotykają twoje, na koniec czuję ciepło twych pięknych jagód, przenikające przez zimne kraty. Rózo, moje życie! zniszcz nasiennik tulipana, zniszcz i drugi pozostały, zniwecz nadzieje ponętne, które mnie oddawna zajmowały; niech i tak będzie, wyrzekam się kwiatów przepysznych, barw, powabnych, cudownych przemian; odejmij mi to wszyst-

ko, kwiecie, zazdrosny o inne kwiaty, lecz nie pozbawiaj mnie twego głosu, poruszeń, szelestu twych kroków, nie odejmuj mi rozkoszy napawania się widokiem twych oczu, przekonania o twej miłości, ożywiającej moje serce, kochaj mnie, Rózo! gdyż ja ciebie tylko kocham...

— To jest, po czarnym tulipanie — westchnęła dziewczyna, której rączki pieszczone dozwoliły się całować ustom Korneljusza.

— Nie, Rózo, ciebie przed wszystkim na świecie!

— Mogęż temu wierzyć?

— Jak wierzysz w Boga.

— Niech i tak będzie; jednakże miłość twoja nie obowiązuje ciebie do niczego.

— Bardzo mało, na nieszczęście, droga Rózo, lecz ciebie obowiązuje nawzajem.

— Mnie? jak się to ma rozumieć?

— Naprzód powinnaś iść zamąż.

Uśmiechnęła się.

— Ah! otóż tacy jesteście wy, mężczyźni: kochacie piękność, myślicie tylko o niej, marzycie ciągle, udając się na śmierć nawet poświęćcie jej ostatnie westchnienie... i ty wymagasz ode mnie, biednej dziewczyny, ażebym poświęciła marzenie mojej ambicji?...

— O jakiej to piękności mówisz, Rózo? — zapytuje Korneljusz, usiłując sobie nadaremnie przypomnieć kobietę, do której Róża mogła uczynić zastosowanie.

— O pięknej brunecie, o piękności wysmukłej, cienkich nówek, główki zachwycającej, słowem o usposobieniu twego kwiatu, który w twej wyobraźni przybrał postać ukochanej kobiety.

Korneljusz z uśmiechem odpowiada:

— To są tylko marzenia, piękna Rózo, gdy tymczasem ty, nie licząc Jakóba, otoczona jesteś zalotnikami. Czy przypominasz sobie, coś mi mówiła w Hadze o studentach, oficerach i kupcach Hagi. Zdaje mi się, że i w Löwenstein są oficerowie i inni.

— Bezwątpienia, i jest ich dosyć — odpowiada Róża.

— Którzy pisują do ciebie?

— Tak jest.

— A teraz, kiedy umiesz czytać...

I Korneljusz westchnął na wspomnienie, iż to on ją czytać nauczył.

— I cóż stąd, zdaje mi się, iż odczytując pisma moich wielbicieli i przypatrując się im, postępuję tylko podług twej woli.

— Jakto podług mej woli?

— Tak, podług twej ostatniej woli nawet; czyś zapomniał, mój panie — mówi z westchnieniem — o twoim testamencie, napisanym własnoręcznie w biblji Korneljusza de Witt. O! ja nie zapomniałam i teraz odczytuję go codziennie, czasem dwa razy nawet. W tym testamencie zalecasz mi wyraźnie, ażebym poślubiła młodzieńca, którego-bym pokochała w latach między 26 a 28 rokiem, szukam go więc i gdy cały dzień poświęcam twemu tulipanowi, musisz mi pozostawić wieczór do wynalezienia go.

— Ależ Rózo! testament mój był napisany na przypadek śmierci, lecz gdy dzięki Bogu żyję, zdaje mi się, że unieważniony został.

— A więc nie będę szukała pięknego 28 letniego i będę przychodzić tutaj.

— O! tak, Rózo, przychodź!

— Lecz pod jednym warunkiem.

— Przyjmuję go bez namysłu.

— A ten jest, że przez trzy dni nie będzie wzmianki o czarnym tulipanie.

— Jeżeli sobie tego życzysz, tedy nigdy o tem nie będziemy mówić.

— Oh! nie należy wymagać niepodobieństwa.

I jakby niechący przybliżyła swoje świeże jagody do kratki tak, że Korneljusz mógł je dotknąć ustami.

Róża, wydawszy głosik pieszczoty, zniknęła.

ROZDZIAŁ XXI

NASIENNIK DRUGI

Noc następującą spędził więzień spokojnie i nazajutrz przebudził się zupełnie zadowolony.

Poprzedzających dni więzienie wydawało mu się w całej swej okropności, zdawało mu się, że mury obarczają go całym swym brzemieniem. Ściany jego rzeczywiście były posępne, powietrze w nich wilgotne i zimne, gęste kraty zaledwie przepuszczały jasność dzienną.

Nazajutrz przebudziwszy się Korneljusz ujrzał promień rannego słońca, igrający pomiędzy kratami, gołębie pruły powietrze rozpostartymi skrzydłami, gdy tymczasem inne gruchotały na dachu pod oknem jego.

Korneljusz poskoczył do okna i otworzył je; zdawało mu się, że życie, radość, prawie wolność zwiastował mu ten promień słońca.

Bo miłość zakwitła w jego więzieniu i wszystko, co go otaczało, wydawało mu się ożywione; miłość kwiat nieba, którego woń nie może być porównana z wonią kwiatów ziemskich.

Gdy Gryfus wszedł do izby więźnia, zdziwił się niewymownie, gdy go ujrzał stojącego i nucącego piosenkę, spodziewając się go zastać posępnym jak dni poprzednich.

— Hm — mruknął Gryfus.

— Jakże dziś zdrowie — zapytuje Korneljusz.

Gryfus spojrział na niego z ukosa.

— A pies, pan Jakób i nasza piękna Róża, jakże się mają?

Gryfus zgrzytnął zębami.

— Przyniosłem śniadanie.

— Dziękuję, przyjacielu cerberze — mówi więzień — właśnie na czas przychodzisz, gdyż mi się chce jeść.

— Masz apetyt?

— Dlaczegożbym go mieć nie mógł?

— Zdaje się, że spisek dojrzewa — mruknął Gryfus.

— Jaki spisek?

— Oh! my wiemy, co się święci, lecz będziemy czuwać, mości uczony; tak, będziemy czuwać.

— Czuwaj, mój przyjacielu — mówi van Baerle — jestem przecież pod twoim dozorem.

— Zobaczymy w południe.

I wyszedł.

— Co mnie południe obchodzi, ja czekam wieczoru.

O dwunastej Korneljusz usłyszał nietylko ciężki krok Gryfusa, lecz nadto stąpania kilku żołnierzy, jak wnosić można było ze szczęku ibroni na schodach.

Otworzywszy drzwi, Gryfus wprowadził żołnierzy i zasunął wewnątrz na rygiel.

— A teraz szukamy.

Gryfus przy pomocy swych ludzi obszukał kieszenie Korneljusza, poczem między kamizelką a koszulą i nic nie znalazł. Poszukano wszędzie: w łóżku, materac i siennek poprułi, lecz nic się nie znalazło. Wtedy Korneljusz winszował sobie, iż oddał Róży trzeci nasiennik, gdyż Gryfus pewnieby go wynalazł, tak ściśle przetrząsał wszystkie kąty więzienia i nie omieszkałby zgnieść cebulkę, jak to uczynił poprzednio.

Nigdy więzień nie był spokojniejszy przy przeszukiwaniu swego mieszkania.

Gryfus nakoniec oddalił się, zabrawszy kilka ćwiartek białego papieru i ołówek, które Róża przyniosła swemu nauczycielowi, były to jedyne łupy tej wyprawy.

O szóstej Gryfus przyszedł sam, jak zwykle; Korneljusz pragnął go ułagodzić, lecz on pomrukiwał tylko pod nosem, żując prymkę i oddalił się, cofając się tyłem z obawy, ażeby się więzień nie rzucił na niego.

Korneljusz parsknął śmiechem.

Na co Gryfus odpowiedział mu przez otwór drzwi:

— Zobaczymy, kto się z nas śmiać będzie!

Ten, który się miał śmiać z drugiego przynajmniej tego wieczoru, był Korneljusz, oczekujący córki jego.

Róża przyszła o dziewiątej bez światła. Nie potrzebowała go, albowiem już czytać umiała.

Przytem światło mogło wydać Różę, którą śledził Jakób bardziej, niż kiedykolwiek.

Nakoniec przy świecy widoczny był jej rumieniec, gdyż często lica pięknej Róży płonily się w ciągu jej odwiedzin u więźnia.

O czem mówili tego wieczora? Bezwątpienia o tem, co jest przedmiotem rozmów kochanków we Francji, prowadzonych przez drzwi, w Hiszpanji z przeciwnych balkonów, na wschodzie z dołu do góry wzniesionego tarasu.

Rozmawiali o przedmiotach, przydających skrzydła godzinom, pióra skrzydłom czasu.

Mówili o wszystkim, wyjąwszy o czarnym tulipanie.

Poczem jak zwykle rozłączyli się o dziesiątej.

Korneljusz był szczęśliwy, zupełnie szczęśliwy, jeśli nim być może tulipanista, który się wstrzymuje od zajmowania uwielbionym kwiatem.

Róża wydawała mu się najpiękniejszą w świecie, przytem dobrą, miłą i powabną.

Lecz dlaczegóż zabroniła mu mówić o tulipanie?

W istocie była to wielka wada u Róży.

Korneljusz pomyślał sobie ze smutkiem, że kobieta nie może być doskonała.

Przez część nocy rozmyślał o tej niedoskonałości, co oznaczało, że dopóki nie zasnął, był wyłącznie Różą zajęty.

Gdy zasnął, śniło mu się o niej.

Lecz Róża marzeń jego była doskonalsza, niż Róża na jawie.

Nietylko bowiem rozmawiała z nim o tulipanie, lecz przyniosła mu przepyszny kwiat czarny w okazałej doniczce porcelanowej.

Korneljusz przebudziwszy się zawołał:

— O, Różo! jakże kocham ciebie!

I gdy już słońce weszło, nie myślał zasnąć powtórnie.

Przez cały dzień zastanawiał się nad słowami wyrzeczonymi przy przebudzeniu.

— Ah! gdyby Róża mówiła mu o tulipanie, Korneljusz byłby ją przeniósł nad królową Semiramidę, Kleopatrze,

Elżbietę, Annę Austriacką, nad najznakomitsze lub najpiękniejsze królowe świata.

Alle Róża zabroniła mu pod karą nieprzychodzenia więcej, ażeby przez trzy dni nie wspominał o swoim tulipanie.

Przez 72 godziny winien więc był kochanek poświęcić namiętność swoją ogrodniczą.

Już wprowadzie połowa tych godzin minęła. Trzydzieści sześć pozostałych przejdą szybko: osiemnaście na oczekiwaniu, a osiemnaście poświęcone wspomnieniom.

Róża przysła o zwykłej godzinie; Korneliusz zniósł bohaterko naznaczoną mu pokutę. Korneliusz byłby znakomitym filozofem szkoły Pitagorasa, gdyby mu dozwolono raz na dzień zapytać się o swój tulipan i byłby o niczem więcej nie mówił przez lat pięć, podług ustaw wspomnianej sekty.

Zresztą piękna Róża pojmowała dostatecznie, iż, gdy się wydaje rozkazy z jednej strony, z drugiej potrzeba nawzajem ulegać; dozwalała więc dotykać swych rączek przez otwór zakratowany i całować swe włosy.

Biedne dziecię! te pieśczoty miłosne były dla niej daleko niebezpieczniejsze, niż rozmowa o tulipanie.

Poznała to, powróciwszy do siebie z bijącym sercem, zaognionemi licami, ustami suchemi i wilgotnemi oczyma.

Nazajutrz zatem po pierwszych słowach wzajemnego powitania, po pierwszej oznace nawet pieśczot, spojrzała na Korneliusza przez kratki wzrokiem, który daje się czuć tylko, gdy go dostrzec nie można.

— A więc — mówi — już go widać.

— Już go widać... kogo? — zapytuje Korneliusz, nie śmiejąc uwierzyć, ażeby Róża sama przez się skróciła czas jego próby.

— Łodygę tulipanu — mówi Róża.

— Jakto? — zawołał Korneliusz — pozwalasz więc?

— Tak, pozwalam — odpowiada głosem tkliwej matki, dozwalającej dziecku na rozrywki.

— Ah! Różo! — zawołał, zbliżając usta do kratki w nadziei dotknięcia policzka, rączki lub czoła.

I dotknął rzeczywiście nawpół otwartych ust.

Róża wydała okrzyk.

Korneliusz pojął, iż należy pospieszyć się z prowadzeniem dalszego ciągu.

— Jakże, czy prosto wyrosła? — zapytuje.

— Tak prosto, jak trzcina fryzyska.

— Jak wysoka?

— Na dwa cale najmniej.

— Oh! Rózo! teraz trzeba o niej mieć staranie, a przekonasz się, że szybko rosnąć będzie.

— Czyliż można mieć większe staranie, niż ja mam; myślę tylko o tem.

— O moim tulipanie? Rózo... to ja nawzajem będę mu zazdrościł.

— Wiesz przecie, że myśleć o twym kwiecie, to jest myśleć o tobie. Prawie ciągle patrzę na niego. Widzę go z łóżka i za przebudzeniem jest to pierwszy przedmiot, który mój wzrok napotyka, również, jak zasypiając jest ostatni. We dnie siadam przy nim i zajmuję się robotą, bo odkąd jest w moim pokoju nie opuszczam go.

— Masz słuszość, Rózo, to stanowi twój posag.

— Tak... i dzięki temu będę mogła poślubić młodzieńca 28-letniego, którego pokocham.

— Cicho bądź, złośliwa.

I Korneljusz pochwycił paluszki dziewczycy, co jeżeli nie zmieniło przedmiotu rozmowy, to przynajmniej milczenie ją zastąpiło.

Tego wieczoru był Korneljusz najszcześliwszy z ludzi. Róża pozostawiła mu rączkę tak długo, dopóki zechciał i mógł dowolnie mówić o tulipanie.

Od tego czasu codziennie widoczniejsze się stawały postępy wzrostu łodygi tulipanu i miłości młodych ludzi. Dziś bowiem ukazał się listek, jutro drugi, a nakoniec kwiat się zawiązał.

Na tę wiadomość radość Korneljusza objawiła się w wysokim stopniu i zapytania jego szybko następowały, świadcząc o ważności, jaką do odpowiedzi na nie przywiązywał.

— Zawiązał się kwiat?

— Tak — odpowiada Róża.

Korneljusz zachwiał się na nogach i zmuszony był oprzeć się o kratę otworu.

— Ah, Boże... — zawołał — czy owal jest foremny? walec pełny? listki otaczające kielich czy są pięknej zieloności?

— Owal ma blisko cal wysokości i zakończony ostro jak koniec igły, walec rozłożysty przy podstawie, listki zaczynają się otwierać.

Tej nocy Korneljusz spał bardzo mało; była to bowiem najważniejsza chwila pęknięcia listków, kielich kwiatu obejmujących.

W dwa dni potem Róża doniosła mu, że się otworzyły.

— Otworzyły się, Różo! — zawołał Korneljusz — involucrum otworzyły się! Więc kiedy tak, można już rozpoznać...

I więzień zatrzymał się tchu pozbawiony.

— Tak — odpowiada Róża — można już rozpoznać wypustkę różnobarwną, lecz tak wąską, jak włossek.

— A ta barwa?... — zapytuje drżący Korneljusz.

— Ciemna.

— Brunatna?

— Ciemniejsza.

— Ciemniejsza, droga Różo! ciemna, jak heban, jak...

— Jak atrament, którym pisałam do ciebie.

Korneljusz wykrzyknął w szale radości.

Poczem, składając ręce, mówi:

— Oh! nie masz anioła, któryby mógł być z tobą porównany!

— Doprawdy? — zapytuje Róża z uśmiechem.

— Tak, Różo, tyś tak usilnie pracowała, tyle starańłożyła, że nakoniec mój tulipan zakwitnie czarno. Oh! tak Różo, ty jesteś najdoskonalszem stworzeniem Bóstwa.

— Rozumie się, że po tulipanie.

— Ah! miłośliwa, przez litość zamilcz i nie niwecz mej radości. Ależ powiedz mi jeszcze jak prędko może zakwitnąć?

— Ja sędzę, że jutro lub pojutrze.

— Oh! i ja nie będę widział! — zawołał Korneljusz — i nie będę go mógł pocałować jako cud Boga, który czcić powinniśmy, jako całuję ręce twoje. Różo! jak całuję twoje włosy lub buzię, gdy przypadkowo zbliży się do otworu.

Róża przybliżyła twarz swoją nie przypadkowo, lecz dobrowolnie, usta młodzieńca z chciwością do niej przylgnęły.

— Jeżeli zechcesz to go zenwę.

— Ah, nie nie!... skoro tylko kielich się otworzy, umieść doniczkę w cieniu i natychmiast poszlij z zawiadomieniem do Harlem, do prezesa towarzystwa ogrodniczego, że wielki czarny tulipan zakwitnął. Wiem, że do Harlem jest da-

leko, lecz za pieniądze łatwo dostać posłańca. Czy masz pieniądze, Rózo?

Róza uśmiechnąwszy się odpowiada:

— Tak jest...

— Wiele?

— Mam trzysta złotych.

— Oh! jeżeli masz trzysta złotych, to nie posłańca należy wyprawić, lecz sama winnaś udać się do Harlem.

— Lecz cóż się stanie z kwiatem w tym czasie.

— Rozumie się, że go weźmiesz z sobą, nie powinnaś się z nim rozłączać na chwilę.

— Lecz nie chcąc się z nim rozłączyć, muszę oddalić się od ciebie — mówi zasmucona Róza.

— Ah! to prawda, moja droga Rózo. Mój Boże! jakże złymi są ludzie. Cóżem zawinił, że pozbawili mnie wolności i z jakiej przyczyny? Masz słuszość, Rózo, że niepodobna byłoby mi żyć bez ciebie. Wyślesz więc kogo pewnego do Harlem, i gdy ta wiadomość jest ważną, mniemam więc, że sam prezes tu przybędzie dla widzenia tulipanu i jego barwy — i to powiedziawszy umilkł, poczem dodaje drżącym głosem:

— Lecz gdyby też nie był czarny, Rózo?

— Ha! przekonamy się jutro lub pojutrze wieczorem.

— Czekać do wieczora, Rózo?... ach umrę z niespokojności. Czy nie moglibyśmy umówić się o znak.

— Oh! ja myślę lepiej zrobić.

— Cóż takiego?

— Jeżeli rozwinie się nad wieczorem, to sama ci o tem doniosę w nocy. Jeżeli zaś we dnie, wsunę małą karteczkę pode drzwi, albo za kratki drzwiczek, pomiędzy pierwszą i drugą wizytą mego ojca.

— Oh! Rózo, tak — pismo twoje oznajmijące tę wiadomość, stanowić będzie podwójne szczęście.

— Już po dziesiątej — mówi Róza — muszę opuścić ciebie.

— Tak, Rózo, idź, idź!...

Róza oddaliła się smutna.

Korneljusz prawie ją wygnał dlatego, żeby pilnowała czarnego tulipana.

Noc ta, niemal przyjemnie spędzona przez Korneljusza, wzbudziła w nim niespokój i wzruszenie. Co chwila zdawało mu się, iż słodki głosik Róży wzywa go; przebudzał

się nagle, biegł do drzwi, zaglądał przez otwór, lecz niko- go nie dostrzegł, nie słyszał stąpań na korytarzu.

Bezwątpienia i Róża czuwała ze swej strony; lecz szczęśliwsza od niego pilnowała tulipanu, miała przed oczyma kwiat szlachetny, ten cud cudów, dotąd nietylko, że niewidziany, ale uważany za niepodobny do odkrycia.

Cóż świat powie, gdy się dowie, że czarny tulipan jest odkryty, że istnieje nakoniec, i że wynalazcą jego jest van Baerle, więzień stanu?

Korneljusz w tej chwili nie oddałby swego tulipanu za swoje oswobodzenie.

W ciągu dnia nie otrzymał żadnej wiadomości. Tulipan dotąd nie zakwitnął.

Nadeszła noc i ta sprowadziła uradowaną Różę, Różę lekko sunącą jak ptaszek.

— I cóż?... — zapytuje Korneljusz.

— Wszystko dobrze. Tej nocy bezwątpienia tulipan nasz zakwitnie.

— Czy czarny?

— Czarny jak heban.

— Bez żadnych skaz?

— Bez skaz.

— Sprawiedliwe nieba!... czy wiesz, Rózo, żem spędził noc bezsensną, myśląc naprzód o tobie.

Róża wstrząsnęła główką z niedowierzaniem.

— Następnie o tem jak nam postąpić należy.

— I cóż?

— Otóż tak umyśliłem: naprzód skoro się przekonamy, iż barwa jego jest prawdziwie czarna, potrzeba wynaleźć posłańca.

— Jeżeli o to tylko chodzi, to mam gotowego.

— Czy to tylko pewny człowiek?

— Ręczę za niego, jest to jeden z moich wielbicieli.

— Spodziewam się, że nie Jakób przynajmniej?

— Oh! nie, bynajmniej; jest to sternik z Löwenstein, młodzieniec przytomny i zwinny, w wieku między dwudziestym piątym a dwudziestym szóstym rokiem.

— Do kata!

— Bądź spokojnym — mówi Róża z uśmiechem — nie- ma jeszcze lat wymaganych przez ciebie, wszakże wyra-

źnie określiłeś lata między dwudziestym szóstym a dwudziestym ósmym.

— A więc możesz zupełnie liczyć na tego człowieka?

— Jak sama na siebie, pewną jestem, że rzuciłby się do Mozeli, gdybym tego wymagała.

— Za dziesięć godzin zatem może stanąć w Harlem; dasz mi papier i ołówek, lepiej byłoby dostać pióro i napiszę... albo nie, napisz ty Rózo, bo gdyby ode mnie otrzymano tę wiadomość, uważano by może w tem doniesieniu zaród spisku.

— Napiszesz więc do prezesa towarzystwa ogrodniczego i jestem pewny, że tu przyjedzie.

— Lecz jeżeli się spóźni?

— Przypuśćmy, iżby opóźnił się o dzień jeden lub dwa, lecz byłoby to niepodobieństwem; amator podobny jak on nie straci godziny, minuty, sekundy i wybierze się w podróż dla zobaczenia ósmego cudu świata. Lecz jak wspominałem choćby się dzień lub dwa opóźnił, kwiat nie straci nic na swej okazałości. Skoro prezes obejrzy nasz tulipan, spisze protokół na dwie ręce, pozostawi ci kopję, a ty mu kwiat oddasz.

— Ah! gdybyśmy go mogli zanieść oboje, to nieślibyśmy go naprzemian; lecz to jest marzenie, którem nie warto się zajmować, dalej — mówi Korneliusz z westchnieniem — inne oczy napawać się będą jego okwitnieniem. Oh, posłuchaj mnie, Rózo! nie pokazuj go nikomu wprzód nim go pokażesz prezesowi. Bo gdyby kto dostrzegł czarny tulipan, niewątpliwie skradzionoby go.

— Oh!

— Czy nie mówiłaś mnie sama, że się obawiasz twego wielbiciela Jakóba? Zresztą ludzie kuszą się na kradzież złotówki, cóż dziwnego, gdyby się kto pokusił na sto tysięcy.

— Bądź spokojny, będę go pilnowała.

— Jeżeliby otworzył się w tej chwili?

— Oh! to bardzo być może.

— Gdybyś zastała go otwartym powróciwszy?

— Ah, Rózo! skoro się otworzy, pamiętaj, że należy natychmiast wysłać z wiadomością do prezesa.

— I zawiadomić ciebie?... to się rozumie.

Róża westchnęła, lecz bez goryczy i jak kobieta, która

zaczyna pojmować słabość kochanka, jeżeli nie może do niej przywyknąć.

— Powracam więc do tulipanu, panie van Baerle i skoro otworzy się zawiadomię ciebie, poczem wysyłam gońca.

— O Rózo! nie wiem z jakim cudownym tworem nieba lub ziemi mogę porównać ciebie.

— Porównaj mnie do czarnego tulipanu, panie Korneljuszu, i to mi będzie bardzo pochlebne, ręczę ci. Do widzenia zatem, panie!

— Oh! nie powiesz-że przynajmniej mój przyjacielu?

— Dowidzenia, mój przyjacielu — powtarza dziewczica cokolwiek pocieszona.

— Powiedz, mój kochany przyjacielu.

— Oh! mój przyjacielu.

— Kochany, Rózo, oh! błagam cię powtórz — mój kochany przyjacielu.

— Kochany przyjacielu, tak kochany przyjacielu — powtarza Róża drżąca, upojona szałem radości.

— A więc, Rózo, powiedziałaś mój kochany, dodaj szczęśliwy, tak szczęśliwy, jak żaden śmiertelnik pod słońcem. Brakuje mi tylko jednej rzeczy.

— Jakiej?

— Twojej buzi, buzi świeżej, różanej, gładkiej jak brzoskwinia. Oh! tak Rózo, lecz pragnę jej z własnej twej woli, nie przypadkowo lub podstępnie. — Rózo i cóż?

Prośbę swoją zakończył westchnieniem i napotkał usta dziewicy nie przypadkowo lub podstępnie, lecz jak w sto lat później St. Preux napotkał usta Julji.

Róża uciekła.

Korneljusz pozostał długo z twarzą przyłożoną do otworu, dusza jego osiadła na ustach.

Przepełniony radością, otworzył okno i przypatrywał się z sercem brzemienne zadowoleniem, błękitowi widnokręgu oświetlonego promieniami księżyca, srebrzącego wody dwóch rzek z pośród wypływających wzgórków. Napawał płuca świeżym i wolnym powietrzem, umysł pocieszającymi myślami, duszę z wdzięcznością z religijnym uwielbieniem.

— Oh! ty zawsze tam jesteś obecnym Wielki Boże! — zawołał pochylając swe czoło, mając oczy zwrócone na gwiazdy — przebacz mi, że zwątpiłem o Twej wszechmocności przed kilku dniami; ukrywałaś się przede mną

w ciemności chmur i przez chwilę przestałem widzieć Ciebie, Boże dobry, wieczny, miłosierny Panie! Lecz dziś, tego wieczora, tej nocy, oh! widzę Ciebie w zwierciadle niebios twoich, a szczególnie w zwierciadle serca mego.

Wyleczony był biedny chory: był wolny biedny więzień.

Większą część nocy Korneliusz spędził na wyglądaniu oknem, przysłuchując się jednakże uchem skierowanym do drzwi, jednocząc wszystkie zmysły w jednym albo raczej we dwóch: wzroku i słuchu.

Patrzył w niebo, przysłuchiwał się ziemi.

Od czasu do czasu powtarzał, obracając się ku drzwiom:

— Tam — mówi — jest Róża, Róża podobnie jak ja czuwająca, jak ja oczekująca uroczystej chwili. Tam pod jej okiem jest kwiat tajemniczy, który żyje, roztwiera się. być może, iż teraz Róża dotyka delikatnej łodygi swemi pulchnemi rączkami.

— Oh! Rózo! ostrożnie jej dotykaj. Być może, iż zbliża swoje usta do kielicha kwiatu.

— Oh! ostrożnie z nim, Rózo, bo twoje usta są gorejące. Być może, iż w tej chwili to co jest mi najmiłszem w życiu pieści się wzajemnie.

Wtem dostrzegłszy, iż gwiazda zajaśniawszy żywszym blaskiem przebiegała po przestrzeni widnokregu dążąc z południa w kierunku Löwensteinu, Korneliusz zawołał:

— Ah! otóż Bóg zsyła duszę memu kwiatu.

I gdy to mówił, zdawało mu się słyszeć w sieni lekki krok jakby sylfidy, szum sukni podobny do poruszeń skrzydeł, nakoniec głos dobrze mu znany:

— Korneliuszu, mój przyjacielu! mój kochany i szczęśliwy przyjacielu! chodź prędzej, chodź! van Baerle jednym skokiem stanął od okna do drzwi. Tym razem usta jego napotkały drżące usta Róży, która wśród pocałunku mówiła mu:

— Otworzył się... jest czarny... patrz.

— Co mówisz patrz — zawołał oddalając usta swoje od ust dziewicy.

— Tak, patrz... naraziłam się na małe niebezpieczeństwo, ażeby sprawić ci wielką rozkosz; otóż go masz!

I jedną ręką podniósłszy do wysokości otworu małą ślepą latarkę, której skrzydła otworzyła, w drugiej trzymała cudowny tulipan.

Kornejusz wykrzyknął, bliski omdlenia.

— Oh! mój Boże, mój Boże! — szeptał — nagradzasz mi moją niewinność i niewolę, ponieważ wydałeś te dwa kwiaty na moją pociechę.

— Ucałuj go — mówi Róża — jak to ja uczyniłam przed chwilą.

Korneljusz wstrzymując oddech dotknął ustami kielich kwiatu i nigdy pocałunek złożony na ustach kobiety, nawet Róży, nie wzruszył bardziej głębi serca jego.

Tulipan był piękny, okazały, słowem przepyszny kwiat; łodyga jego miała osiemnaście cali wysokości, kielich wznosił się pomiędzy czterema liśćmi lśniącymi, prostemi jak ostrza dzidy, kwiat był czarny jak heban.

— Różo — mówi Korneljusz dyszący — niema chwili do stracenia, trzeba napisać list.

— Już go napisałam, mój kochany.

— W istocie?

— Gdy kwiat się rozwijał, pisałem, nie chcąc tracić czasu nadaremnie. Przeczytaj go, czy dobrze napisany.

Korneljusz, wzięwszy pismo, przekonał się, że Róża jeszcze większe postępy uczyniła w kształceniu swej ręki i wyczytał, co następuje:

„Panie prezesie!“

„Czarny tulipan rozwinie się za dziesięć minut najdalej. — Skoro to nastąpi, wysyłam gońca prosząc ciebie, ażebyś przybył osobiście do fortecy Löwenstein. Jestem córką dozorczy więzienia Gryfusa i prawie tak więzioną jak inni więźniowie: nie mogę więc sama przywieźć tego cudownego kwiatu i dlatego upraszam pana, ażebyś przybył po niego.

„Życzeniem mojem jest, ażeby tulipan ten nazywał się *Rosa barlaensis*.

„Już się rozwinał, kolor jego jest zupełnie czarny... Przybywaj pan panie prezesie!

„Mam zaszczyt być uniozoną sługą

Róża Gryfus“.

— Wybornie, wybornie, droga Różo!

Nie można było lepiej napisać i ja nie potrafiłbym tak prosto i trafnie określić rzeczy. Udzielisz następnie towarzystwu ogrodniczemu wszelkich wiadomości, jakich wymagać będzie, jakim sposobem tulipan ten został utworzony, ile starań, pracy i zachodów wymagało jego pię-

łęgnowanie, lecz teraz nie traćmy czasu... gdzież goniec?

— Ale jak się nazywa prezes?

— Napiszę adres przynajmniej. Oh! on jest dobrze znany, jest to mynher van Herysem, burmistrz Harlemu... daj mi twoje pismo Rózo.

I drżącą ręką Korneljusz napisał na kopercie:

„Do pana van Herysem, burmistrza i prezesa towarzystwa ogrodniczego w Harlem“.

— A teraz spiesz się Rózo! — mówi Korneljusz — oddajmy się zresztą opiece boskiej, która dotąd nad nami czuwała.

ROZDZIAŁ XXII

ZAZDROŚNIK

Rzeczywiście młoda para nigdy być może nie potrzebowała bardziej opieki Opatrzności.

Nigdy nie byli bliższymi nieszczęścia jak w tej chwili, gdy mniemali kosztować owoców ciągłej pomyślności.

Nie wątpimy przedewszystkiem o domyślności czytelnika, który zapewne odgadł, że Jakób Gisel był tym samym co Isaak Bokstel.

Czytelnik zawiadomiony więc został, że Bokstel postępował ślad w ślad od Buitenhof do Löwenstein za przedmiotami swego zamiłowania i zemsty.

Śledził czarny tulipan i van Baerla.

To, czegoby nikt nie doszedł oprócz zawistnego tulipanisty, to jest posiadania nasienników przez van Baerla i nadziei jakie w nich pokładał, dokazała zawiść Bokstela.

Widzieliśmy, iż szczęśliwy pod nazwiskiem Jakóba jak pod własnem, zawarł przyjazne związki z Gryfusem, którego przychylność potrafił sobie zjednać, dostarczając przez kilka miesięcy do jego stołu różnych trunków, a zwłaszcza jałowcowej wódki.

Przedewszystkiem zaś starał się uspić jego podejrzenia (gdyż Gryfus, jak wiadomo bardzo był niedowierzającym) pozorem pochlebiającym miłości własnej dozorczy więzienia, to jest, iż stara się o rękę córki jego.

Oprócz tego Jakób umiał trafiać w słabości starego Gryfusa odnoszące się do powołania dozorczy więźni, jako też często wystawiał mu w posępnych barwach zatwardziałość uczonego van Baerla, który zawarł umowę ze złym duchem przeciw J. W. Księciu Oranji. Początkowo udało mu się również pozyskać przychylność Róży, nie pozyskawszy wprawdzie jej serca; zjednał on sobie jej sza-

cunek, jako człowiek objawiający uczciwe zamiary, to jest ożenienia się z nią i zarazem zniweczył podejrzenia jakie mogła powziąć przeciw niemu.

Wiadomo, iż przez nieroztropne śledzenie Róży w ogrodzie, ściągnął uwagę na siebie i nasi kochankowie mieli się odtąd na baczności.

Co zaś najmocniej obeszło Korneljusza, to gniew jaki okazał przeciw Gryfusowi, gdy ten zdeptał nasiennik w więzieniu.

Zaciekłość Bokstela powiększyła się podejrzeniem, iż więzień mógł mieć drugi nasiennik, lecz nie był tego pewny i wtedy to śledził Różę nie tylko w ogrodzie, ale i w zabudowaniach twierdzy, a mianowicie, gdy wychodziła do sieni więzienia.

Gdy zaś chodził za nią bez obuwia i w ciemności, nie był dostrzeżony, ani też można było dosłyszeć stąpań jego; raz tylko zdawało się Róży widzieć przesuwający się cień na schodach, lecz już było zapóźno, bo Bokstel z własnych ust więźnia usłyszał o drugim nasienniku.

Zwiedziony przez Różę, która udawała, że zasadza go w ogrodzie i nie wątpiąc, iż ta scena ułożoną była, ażeby go podejść, miał się odtąd na baczności i użył wszelkich podstępów swego umysłu w śledzeniu postępowania kochanków, nie wystawiając się sam na śledztwo.

Naprzód widział jak Róża przenosiła z kuchni do swego pokoju dużą fajansową donicę.

Dalej, widział jak Róża umywała ręce zawałane ziemią, którą przyszykowała do zasadzenia tulipanu.

Nakoniec najawszy stancijkę pod strychem domu będącą naprzeciw więzienia, w takim oddaleniu, że gołem okiem nie można było rozpoznać patrzącego przez okno, lecz w takiej odległości, iż zapomocą swego dalekowidzu mógł widzieć wszystko co się dzieje w więzieniu, a mianowicie w pokoiku Róży, podobnie jak widywał co się działo w suszarni Korneljusza w Dordrechtcie.

Po trzydniowym pobycie w tym nowym mieszkaniu, Bokstel utwierdził się w swoich domysłach.

Każdego rana o wschodzie słońca, dziewica stawiała donicę w oknie i podobna do powabnych kobiet pędzła Mierisa lub Metza, otoczona zielnymi gałązkami, winnej latorośli i bluszczu wspinającemi się wzdłuż futryn okna, przypatrywała się z zajęciem donicy fajansowej, co wska-

zywało Bokstelowi rzeczywistą wartość przedmiotu tam przechowywanego się.

W tej donicy był zasadzony drugi nasiennik, ostateczna nadzieja więźnia.

Gdy noc zdawała się zagrażać chłodem, Roza, zdejmowała donicę z okna.

Zachowywała ściśle przestrogi Korneljusza, który obawiał się, ażeby nasiennik w ziemi nie zmarł.

Gdy słońce bardziej dogrzewać zaczynało, dziewczica sprzątała z okna donicę na kilka godzin, a mianowicie od 11-tej z rana do 2-giej w południe.

I to również Korneljusz poradził, z obawy, ażeby ziemia nie zeschła zbyt znacznie.

Gdy się zaś łodyga puściła z ziemi, Bokstel był przekonany w swoim domniemaniu; zaledwie na cal była wysoka, już był przekonany zupełnie, dzięki dalekowidzowi swemu.

Korneljusz więc miał dwa nasienniki, i drugi powierzony był pieczołowitości jego kochanki.

Należy i to nadmienić, że Bokstel odkrył miłosne schadzki naszych kochanków.

Postanowił przeto przywłaszczyć sobie ten drugi nasiennik powierzony staraniom Róży.

Lecz nie było to rzeczą łatwą.

Róża czuwała nad tulipanem z macierzyńską troskliwością, albo raczej jak gołębnica wylęgająca swoje jajka.

Róża nie wychodziła ze swego pokoju i rzecz dziwna, podobnie i wieczorem nie opuszczała go.

Przez siedem dni Bokstel nadaremnie śledził Różę, która nie ruszyła się ze swego pokoju.

To działo się w ciągu tygodniowego nieporozumienia między kochankami.

Czy Róża na zawsze pogniewała się na Korneljusza? W takim razie kradzież zamierzona przez Isaaka byłaby doznała większych trudności.

Mówimy poprostu kradzież, gdyż Isaak postanowił przywieść ją do skutku; ponieważ kwiat ten, hodowany w tajemnicy, gdy młodzi ludzie kryli się z nim przed wszystkimi, gdy na koniec chętniej jemu uwierzą, jako znanemu tulipaniście, niż młodej dziewczynie nieznającej sztuki ogrodniczej, albo więźniowi skazanemu za zbrodnię stanu, ściśle strzeżonemu i nie mającemu środków przedstawienia dowodów własności; niewątpliwie zatem

otrzyma nagrodę, będzie uwieczony w miejscu Korneliusza i tulipan zamiast nazwy tulipa nigra Barlaensis, otrzyma nazwę Baxtellensis v. Buxtela.

Mynher Isaak nie powziął jeszcze stanowczego wyboru pomiędzy temi dwoma nazwami dla czarnego tulipanu; lecz ponieważ obie oznaczały to samo, nie było to zatem główną trudnością dla niego.

Główną trudnością było ukraść tulipan.

Chcąc zaś go ukraść potrzeba, ażeby Róża wychodziła ze swego pokoju.

Jakób czy Isaak nie długo czekał na to, gdyż ósmego dnia udała się na zwykłą schadzkę z kochankiem.

Naprzód korzystał z nieobecności Róży, dla rozpatrzenia się w miejscowości i zbadania drzwi.

Te drzwi były opatrzone dobrym zamkiem, Róża wychodząc zamykała go na klucz, który zawsze nosiła przy sobie.

Bokstel powziął naprzód myśl skraść klucz Róży, lecz to nie było łatwą rzeczą przejrzeć kieszenie i choćby nawet to się udało, wtedy dostrzegłszy, iż klucz jej zginął, kazałaby dorobić inny i zmienić może rejestr, nie wyszłaby być może dopóki zamku nie dorobionoby i Bokstel dopuściłby się niepotrzebnej kradzieży.

Potrzeba więc było szukać innego sposobu.

Bokstel wystarawszy się o kilkanaście kluczy rozmaitej wielkości, zaczął dobierać czy się który nie przyda do zamku pokoiku Róży; jak się domyśleć można zajmował się tą czynnością w tym czasie, gdy dziewczica była u swego kochanka.

Jeden z tych kluczy wszedł do otworu zamku, a nawet otworzył z pierwszego spustu, zatrzymawszy się przy drugim.

Mało więc brakowało do zastosowania tego klucza do otworzenia zamku.

Bokstel, oblepiwszy go woskiem, powiódł próbę.

Zawada, którą napotkał przy drugim spuście pozostała ślad na wosku.

Bokstel podług tego odcisku spiłował ostrą piłką część pióra klucza.

Po dwudniowych doświadczeniach tego rodzaju, Bokstel doprowadził do tego stopnia swoją pracę, że bez trudności otworzył drzwi pokoju Róży i ujrzał nakoniec cel

swoich życzeń. Pierwszym nagannym postępkim Bokstela było przejście przez mur w zamiarze wykopania nasiennika; drugim, wejście przez okno do suszarni Korneliusza; trzecim nakoniec, dorobienie klucza do pokoju Róży.

Przekonywamy się, że zawiść popychała Bokstela szybko na drogę występku.

Bokstel pozostał więc sam na sam z tulipanem.

Pospolity złodziej byłby umieścił donicę pod pachę i uniósł z sobą.

Lecz Bokstel nie był pospolitym złodziejem i zastanowił się.

Zastanowił się przeto, przypatrzawszy się tulipanowi zapomocą ślepej latarni, że jeszcze nie doszedł do tego stopnia rozwinięcia, ażeby z pewnością wnieść można, że czarno zakwitnie, pozory okazywały to prawdopodobieństwo.

Zastanowił się, że jeżeli czarno nie zakwitnie, albo jeżeli będzie mieć jaką skazę, popełniłby kradzież bezużyteczną.

Zastanowił się, że wieść o tej kradzieży rozniesie się, że padnie podejrzenie na niego, zwłaszcza po tem co zaszło w ogrodzie pomiędzy nim a Różą, że być może znajdzie się ktoś, który zajmie się wyśledzeniem tej kradzieży i, jakkolwiek usiłowałby kwiat ukryć, być może, iżby go przy nim znalezione.

Zastanowił się, że chociażby go ukrył tak, iżby był niepodobnym do wynalezienia, mogłoby się zdarzyć, że zostanie uszkodzony, przenosząc go z miejsca na miejsce.

Wreszcie zastanawiał się, że (ponieważ ma klucz otwierający drzwi Róży i może wejść do jej pokoju, kiedy mu się spodoba) lepiej zatem oczekiwać, dopóki się nierozwinie i zabrać go wtedy, jeżeli będzie zupełnie czarny; poczem natychmiast wyjechać do Harlem, gdzie spodziewał się stanąć prędzej niż pomyśla o poszukiwaniach.

Wtedy Bokstel nie obawiał się, ażeby posądzono go o kradzież, gdyż postanowił zanieść sam oskarżenie na osobę, która osmieliłaby się zaprzeczać mu własności czarnego tulipanu, jemu, znanemu w świecie tulipanistów.

Był to plan umiejętnie ułożony i godny pod każdym względem swego twórcy.

Tak więc, co wieczór w tej porze, gdy kochankowie spędzali z sobą rozkoszną godzinę, Bokstel wchodził do pokoju

dziewicy nie w innym zamiarze, jak śledzić postępy rozwijania się tulipanu.

Tego wieczora, o którym mówiliśmy w poprzedzającym rozdziale, już miał wejść do pokoiku Róży równie jak dni poprzednich, lecz jak wiadomo, kochankowie mieli krótką z sobą rozmowę, gdyż Korneljusz zalecił Róży czuwać nad tulipanem.

Widząc Różę wracającą do siebie w dziesięć minut po wyjściu, Bokstel domyślił się, że tulipan się rozwinął lub niebawem się rozwinie.

Tej nocy zatem spodziewając się rozwiązania swego zadania przyszedł do Gryfusa zaopatrując się w podwójny zapas jałowcówki, to jest przyniósł dwie butelki.

Spoiswszy Gryfusa, Bokstel mógł się uważać za pana domu jego.

O jedenastej Gryfus leżał pijany. O drugiej po północy Bokstel widział Różę wychodzącą ze swego pokoiku i trzymającą w ręku jakiś przedmiot, który niosła z ostrożnością.

Bezwątpienia był to czarny tulipan, który się rozwinął. Lecz jak ona teraz postąpi?

Czy pojedzie z nim natychmiast do Harlem?

Było niepodobieństwem, ażeby młoda dziewczyna, puściła się sama nocną porą w podobną podróż.

Czy też idzie tylko pokazać tulipan Korneljuszowi? To było prawdopodobniejszem.

Poszedł więc za Różą boso i stąpał na końcach palcy.

Widział, iż się zbliżała do drzwi więzienia kochanka.

Usłyszał, jak wołała na Korneljusza po imieniu.

Przy świetle ślepej latarki widział rozwinięty tulipan, czarny, jak ciemność, co go otaczała.

Dosłyszał cały układ pomiędzy Korneljuszem a Różą, dotyczący wysłania gońca do Harlem.

Widział Różę gaszącą latarkę i powracającą do swego pokoju.

Podczas widział ją znów wychodzącą po kilku minutach i słyszał jak zamykała drzwi na klucz.

Dlaczego z taką troskliwością drzwi zamknęła? Bezwątpienia dlatego, iż za temi drzwiami znajdował się czarny tulipan.

Bokstel, który był świadkiem tego wszystkiego ukryty na schodach drugiego piętra, to jest nad pokoikiem Ró-

ży, zstępował nareszcie ze schodów w miarę jak dziewczica schodziła na dół.

Tak więc, gdy Róża dotykała ostatniego stopnia schodów swoją lekką nóżką, Bokstel lżejszą jeszcze ręką dotykał zamku drzwi jej pokoju.

W tym ręku trzymał klucz dorobiony, który z równą łatwością otwierał te drzwi, jak prawdziwy.

Otóż, dlaczego powiedzieliśmy na początku tego rozdziału, że młodzi kochankowie potrzebowali opieki Opatrzności.

ROZDZIAŁ XXIII

CZARNY TULIPAN PRZECHODZI W INNE RĘCE

Korneljusz pozostał w tym samym miejscu po odejściu Róży, usiłując zebrać siły dostateczne do zniesienia podwójnego brzemienia szczęścia, które go obarczało.

Upłynęło pół godziny.

Już pierwsze dzienne promienie przenikały przez kraty okna Korneljusza, gdy wtem wzdrygnął się na szelest kroków wstępujących na schody i na głos dobrze mu znany.

Prawie jednocześnie twarz jego spotkała się z wybladłą twarzą Róży.

Cofnął się zbladły z przestachu.

— O, mój drogi! — zawołał, ledwo oddychając.

— Cóż takiego mój Boże?

— Korneljuszu... tulipan!

— Cóż?

— Jak ci to powiedzieć?

— Mów, mów Rózo!

— Skradziono go!

— Skradziono! zawołał Korneljusz.

— Tak — odpowiada Róża, opierając się o drzwi, żeby nie upaść — tak — skradziono go nam!

I pomimo wysilenia, zachwiała się i upadła na kolana.

— Lecz jakim sposobem? zapytuje Korneljusz, wyłumacz mi.

— Oh! nie moja w tem wina mój przyjacielu.

Biedna Róża nie śmiała dodać drogi.

— Pozostawiłaś go zapewne — mówi żałośnie Korneljusz.

— Przez chwilę; a żeby dać znać gońcowi, którego miałam wysłać i który mieszka stąd o pięćdziesiąt kroków za ledwie,

— I przez ten czas, pomimo moich próśb pozostawiłaś we drzwiach?... Biedne dziecię.

— Ah! nie, nie i to co mnie właśnie najbardziej zastanawia, że zamknęłam drzwi i miałam klucz przy sobie; trzymałam go ciągle w ręku, ścisiskałam z obawy, ażeby mi się nie wyślizgnął.

— Lecz jakże to wytłumaczyć?

— Alboż ja mogę pojąć? Oddawszy list gońcowi, natychmiast powróciłam, drzwi były zamknięte, wszystko zastałam w porządku w moim pokoju, nic nie wzięto oprócz doniczki z tulipaniem. Musiał ktoś dorobić klucz do mego pokoju, rzecz widoczna — łzy i łkania przerwały jej mowę.

Korneljusz niewzruszony, ze zmienionemi rysami twarzy, słuchał Róży, nie rozumiejąc co mówi, szeptał tylko:

— Skradziono, skradziono!... Jestem zgubiony.

— Oh, przebacz mi, przebacz! bo umrę.

Na te słowa Róży, Korneljusz pochwyciłszy za kratki otworu wstrząsnął niemi gwałtownie, zawoławszy:

— Rózo! okradziono nas, to prawda, lecz mamy poddawać się rozpaczyci z tego powodu?

Wprawdzie strata jest wielką, lecz może być powetowaną. Rózo, znamy złodzieja.

— Niestety! czyż można twierdzić o tem stanowczo?

— Oh! ja ci powiadam, że to jest nie kto inny, jak ten niegodziwy Jakób; czyż dozwolimy mu ponieść do Harlem owoc naszych trudów, twojej pieczołowitości, owoc naszej miłości? Rózo, trzeba go ścigać...

— Lecz jakże postąpić mój przyjacielu nie odkrywając ojcu memu naszego porozumienia? Zresztą jakim sposobem ja, biedna dziewczyna, mogłabym tego dokonać, co, być może, nie udałoby się i tobie.

— Rózo! otwórz mi tylko te drzwi, a przekonasz się czy go nie doścignę; przekonasz się czy nie odkryję złodzieja, czy nie zmuszę go do wyznania zbrodni...

— Niestety! zawołała Róża z płaczem — czyż mogę ci otworzyć. Czyliż mam klucze przy sobie? Oh! gdybym je miała czy nie byłbyś wolnym od dawna?

— Twój ojciec je ma, twój niegodziwy ojciec! ten oprawca, który mi zniszczył pierwszy nasiennik. Oh! ten nikczemnik, jestem pewny, że on był współnikiem Jakóba.

— Mów ciszej, ciszej na Boga...

— Oh! jeżeli nie otworzysz mi Rózo — zawołał Korneljusz w przystępie szaleństwa — wyłamie kraty i wymorduję wszystkich...

— Mój przyjacielu miej litość nade mną.

— Mówię ci Rózo, że zburzę więzienie.

I nieszczęśliwy trzasnął drzwiami oburącz z nadzwyczajną siłą, nie bacząc, że ten hałas rozlegał się po całym więzieniu.

Róza nadaremnie usiłowała uspokoić tę gwałtowną burzę.

— Mówię ci, że zamorduję tego niegodziwca Gryfusa! — wrzeszczał van Baerle, wytoczę krew jego, jak on wytoczył krew mego tulipanu!

Nieszczęśliwy wpadł w obłąkanie.

— Dobrze, dobrze — mówi Róza — lecz uspokój się: tak, wezmę klucze i otworzę ci, lecz uspokój się mój Korneljuszu.

Grzmiący głos przerwał jej mowę.

— Mój ojciec! — zawołała Róza.

— Gryfus! — wrzasnął van Baerle — ah! zbrodnia-rzu!...

Stary dozorca nadszedł niepostrzeżony wśród tego hałasu.

Schwyciwszy za rękę córkę — zawołał głosem przytłumionym od gniewu:

— Ah! ty mnie chcesz wykraść klucze? Ah! ten łotr, zbrodzień, wisielec jest twoim Korneljuszem? Ah, ah, mościa panno, nauczę ja ciebie wdawać się z więźniami stanu...

Róza załamała ręce z rozpaczą.

— Oh! — mówił dalej Gryfus — przechodząc z gorączkowego gniewu do obojętnej ironji zwycięzcy — ah! mój niewinny tulipanisto! mój łagodny uczony... ah! ty mnie chcesz zamordować, wypić krew moją. Wybornie! i moja córeczka jest z tobą w znowie. Jezusie! gdzie jestem? w jaskini łotrów? Pan gubernator dowie się o wszystkim tego rana, a J. K. Mość statuder dowie się jutro. Znam przepisy, a mianowicie artykuł szósty, który tak opiewa: „Ktokolwiek podniesie bunt w więzieniu. Oh, mój paniczu! tym razem nie ujdzie ci na sucho i nie skończy się na tem co zaszło na placu Buitenhof, gryź sobie paznogie do krwi jak niedźwiedź w klatce nic to nie po-

może, a ty turkawko, nie szlochaj teraz jeszcze po twym Korneljuszu! uprzedzam was tylko, że nie będziecie mieli sposobności buntować się przeciw mnie. Teraz zejźdź, córko wyrodna. A z tobą do widzenia... do widzenia.

Róża straciwszy przytomność wskutek bojaźni i rozpacz, przesłała ręką pocałunek kochankowi, poczem ożywiona nagłą myślą pobiegła na schody wołając:

— Nie jeszcze nie stracone, miej we mnie nadzieję mój Korneljuszu!

Ojciec szedł za nic ciągle złorzecząc. Co się tyczy biednego tulipanisty, ręce jego nareszcie opuściły kraty, głowa mu ociężała, oczy zachwiały się w oprawie i padł ciężko na podłogę szepcząc:

— Skradziono mi go, skradziono!

W tymże czasie Bokstel wyszedłszy przez bramę więzienia, którą mu Róża otworzyła nie wiedząc o tem, z tulipaniem osłoniętym starannie płaszczem wsiadł do bryczki oczekującej na niego w Gorkum i odjechał nie uprzedzwszy o tem swego dobrego przyjaciela Gryfusa.

A teraz, gdy widzieliśmy go, wsiadającego do bryczki, pośpieszymy za nim, jeżeli pozwoli czytelnik, aż do celu jego podróży.

Jechał wolno, nie chcąc narażać na wstrząśnienie kwiatu wartości stu tysięcy guldenów.

Z tem wszystkiem Bokstel, nie chcąc opóźnić się zbyt, kazał zrobić w Delft pudło wyłożone świeżym mchem, w którym umieścił doniczkę z tulipaniem; tym więc sposobem kwiat był zabezpieczony i miał świeże powietrze dochodzące przez otwór u góry i Bokstel mógł pośpieszyć galopem.

Nazajutrz z rana przybył do Haarlem, znużony wprawdzie, lecz triumfujący, zmienił doniczkę dla zniszczenia śladu kradzieży, stłukł poprzednią i wrzucił kawałki w wodę; poczem napisał do prezesa towarzystwa ogrodniczego, iż przybył z czarnym tulipaniem, stanął w oberży i tam oczekiwał na odpowiedź.

ROZDZIAŁ XXIV

PREZES VAN HERYSEN

Róża obrała również postanowienie opuszczając Korneljusza.

Postanowiła zwrócić mu tulipan skradziony przez Jakóba, albo nigdy więcej nie ujrzeć swego kochanka.

Pojęła rozpacz biednego więźnia, podwójną rozpacz i niewyleczoną.

Z jednej strony rozłączenie z Korneljuszem stało się nieodzownem, gdyż Gryfus odkrył ich miłość i ich schadzki.

Z drugiej strony, wypadek ten pozbawił Korneljusza wszelkich nadziei, któremi napawał się od lat siedmiu.

Róża była jedną z tych niewiast, które zatrwoży drobnotka, lecz zarazem znajdują potrzebne siły przeciw wielkiemu nieszczęściu, czerpiąc w niebezpieczeństwie przedsięwzięcia wytrwałość potrzebną do zwalczania go, albo wynajdą środki zaradcze.

Dziewica powróciwszy do swego pokoiku, spojrzała raz jeszcze na wszystkie strony dla zapewnienia się, czy ją wzrok nie omylił lub być może ukryła gdzie doniczkę, zapomniawszy o tem. Lecz Róża nadaremnie szukała skradzionego tulipana.

Róża ułożywszy małe zawiniątko ze swych sukien, wzięła swoje trzysta guldenów, które stanowiły jej cały majątek, wyjęła z pomiędzy koronek trzeci nasiennik, schowała go starannie za gors, zamknęła podwójnie drzwi, dla opóźnienia ile możności chwili utworzenia jej pokoju, gdy dowiedzą się o jej zniknięciu, zeszła ze schodów i opuściła więzienie przez bramę, którą przed godziną wyszedł Bokstel, nakoniec udała się do furmana dla wynajęcia bryczki.

Furman miał jedną bryczkę tylko i tę właśnie, którą wynajął Bokstel od wczoraj, i którą spieszyl do Delft.

Róża zatem zmuszoną była nająć konia, co z łatwością uczyniła, będąc znaną jako córka dozorczy więzienia.

Dziewica spieszyła w nadziei, że doścignie swego gońca, zacnego chłopca, który byłby jej przewodnikiem i obrońcą w potrzebie.

I rzeczywiście o małą milę od Löwenstein dostrzegła go na bitej drodze ponad rzeką idącej.

Puściwszy konia klusem, dogoniła go wkrótce.

Pocziwy młodzian chociaż nie wiedział o ważności swego posłannictwa, spieszył o ile możności. W niespełna godzinę uszedł przeszło milę.

Róża odebrawszy od niego pismo obecnie nic nie znaczące, przełożyła mu w kilku słowach potrzebę towarzyszenia jej. Sternik gotów był na jej usługi, przyrzekając, że będzie szedł tak prędko jak koń, na którym siedziała, byle mu tylko pozwoliła opierać się o kulę siodła.

Dziewica pozwoliła mu opierać się na czemkolwiek tylko zechce, byle się nie spóźniał.

Młodzi podróżni od pięciu godzin byli już w drodze i zrobili do ośmiu mil, gdy jeszcze ojciec Gryfus nie domyślał się nawet o oddaleniu się córki.

Dozorca, jak każdy zły człowiek, cieszył się, że nastraszył córkę.

Lecz, gdy kosztował zawczasu przyjemności popisania się ze swoich czynów przed swym towarzyszem Jakóbem, Jakób był w drodze do Delft.

Dzięki bryczce wyprzedzał ciągle Różę i jej przewodnika o cztery mile blisko.

Wyobrażał sobie zasmuconą Różę, płaczącą w swym poikoiku, nie przypuszczając, ażeby miała go gonić.

Tak więc, oprócz więźnia, przyjaciel i córka opuścili Gryfusa.

Róża tak rzadko widywała się z ojcem, szczególnie od czasu pielęgnowania tulipanów, że Gryfus i tego dnia dopiero w południe, to jest w godzinę obiadu dostrzegł jej nieobecność; sądził przeto, że się go obawia; kazał ją zawołać przez swego podwładnego.

Gdy ten wkrótce wrócił z wiadomością, iż panna nie chciała mu otworzyć, a nawet nie odezwała się, Gryfus sam po nią poszedł.

Nadaremnie pukał do drzwi — Róża nie odpowiadała.

Niespokojny o córkę, wezwał ślusarza miejscowego, któ-

ry otworzył drzwi, lecz Gryfus córki nie znalazł, tak samo, jak Korneljusz nie znalazł swego tulipana.

W tejże chwili Róża wjeżdżała do Rotterdamu.

Dla tej przyczyny nie mógł jej znaleźć w kuchni, w ogrodzie i na dziedzińcu.

Osądźmy o gniewie dozorczy, gdy nakoniec wskutek poszukiwań dowiedział się; że córka jego najęła konia i podobnie jak Bradamanta, lub Klorynda, puściła się w świat, niewiadomo w którą stronę.

Gryfus, powróciwszy do więzienia, poszedł wprost do van Baerla i tam puściwszy wodze swego gniewu lżył go, wygrażał się, przybiecał go wsadzić do lochu, a nawet chłostę.

Korneljusz nie słyszał go prawie, pozwolił się lżyć, wygrażać, był więcej jak obojętnym, był martwym na wszystko.

Przeszukawszy wszędzie córki, Gryfus poszedł do Jakóba, lecz gdy i on również zniknął, powziął podejrzenie, iż porwał mu Różę.

Dziewica tymczasem odpocząwszy przez godzinę w Rotterdamie, puściła się w dalszą drogę. Przybyła na noc do Delft, a zrana stanęła w Harlem w cztery godziny po Bokstelu.

Róża kazała się natychmiast zaprowadzić do prezesa towarzystwa ogrodniczego burmistrza van Herysem.

Zastała zacnego obywatela nad czynnością, którą powinniśmy opisać:

Prezes układał raport do towarzystwa ogrodniczego.

Ten raport pisany przez prezesa na pięknym papierze, pisany był własnoręcznie i najstaranniej.

Róża kazała się oznajmić pod skromnem i prostem nazwiskiem Gryfus, lecz jakkolwiek było dość dźwięczne, prezes odmówił jej przyjęcia. Zresztą w Holandji bardzo trudno dostać się bez oznajmienia.

Lecz Róża nie zraziła się tem, postanawiając doprowadzić do skutku swoje zamiary, przysięgła sobie, że nie będzie zważać na obelgi, niczem się nie zniechęci.

— Powiedz panu prezesowi — odzywa się dziewczyna — że przychodzę z nim pomówić o Czarnym Tulipanie.

Te wyrazy równie magiczne, jak: Sezamie otwórz się, z tysiąca i jednej nocy, zjednały jej wstęp do prezesa van Herysen, który wyszedł na jej spotkanie. Był to niski

mężczyzna, chudeńlawy, ciało jego przedstawiało łodygę kwiatu, a głowa kielich, ręce obłąkowane, wiszące, podobne były do liści tulipanowych, kiwanie się głowy na długiej szyi uzupełniało podobieństwo z tym kwiatem, uginającym się od powiewu wiatru.

Wspomnieliśmy, iż nazywał się van Herysen.

— Cóż mi panna masz do oznajmienia zapytuje — w sprawie czarnego tulipana?

Dla prezesa, tulipa nigra był rarytasem pierwszego rzędu i dlatego przypuszczał, że mógł przyjąć posłannictwo, zgłaszające się w imieniu tego kwiatu.

— Tak panie — odpowiada Róża — chcę o nim mówić.

— Czy jest w dobrym stanie? zapytuje van Herysen z uśmiechem troskliwego uwielbienia.

— Niestety! nie mogę tego powiedzieć panu.

— Jakto? miałożby mu się przytrafić jakie nieszczęście?

— Wielkie nieszczęście panie, jeżeli nie jemu, to mnie...

— I cóż przecie?

— Skradziono mi go!

— Skradziono panie czarny tulipan?

— Tak, panie.

— Czy wiesz kto?

— Domyślam się kto, lecz nie śmiem go oskarżać.

— To, co mówisz łatwo da się sprawdzić.

— Jakim sposobem?

— Zdaje się, że go niedawno skradziono i złodziej może być blisko.

— Skądże ten wniosek?

— Gdyż widziałem tulipan przed dwiema godzinami.

— Widziałeś go pan? — zawołała Róża poskoczywszy do prezesa.

— Tak, jak ciebie teraz widzę.

— Lecz gdzie?

— Zdaje się, że u twego pana.

— U mego pana?

— Tak jest, czy nie służysz u pana?

— Ja?

— Tak, ty.

— Za kogo proszę mnie pan uważasz?

— Lecz ty, moja dziewczyno za kogo mnie uważasz?

— Co do mnie, uważam pana za tego kim jesteś rzeczywiście, to jest czcigodnego pana van Herysen, burmistrza miasta Harlem i prezesa towarzystwa ogrodniczego.

— W jakimże zamiarze przyszedł do mnie?

— Przyszedłam panu oznajmić, że skradziono mi czarny tulipan.

— Twój tulipan zatem jest ten, którym widział u pana Bokstel. — Żle się więc tłumaczysz moje dziecko, bo to twemu panu chyba ukradziono tulipan.

— Powtarzam panu, że nie wiem o tem, gdyż pierwszy raz słyseż nazwisko, które wspomniałeś.

— Nie wiesz, kto jest ten pan Bokstel i twierdzisz, żeś miała czarny tulipan?

— A zatem musi być chyba drugi...

— Tak, bo widziałem tulipan pana Bokstel.

— Jakże wygląda?

— Czarny.

— Bez skazy.

— Bez najlżejszej skazy, bez żadnego punkciku odmiennej barwy.

— I pan go masz u siebie... czy jest tu?

— Nie, lecz niebawem to nastąpi, gdyż mam ułożyć raport towarzystwu dla przyznania nagrody.

— Panie, panie — zawołała Róża! — czy ten pan Bokstel, który się mieni właścicielem czarnego tulipanu...

— I który jest nim rzeczywiście.

— Ah powiedz mi pan jak wygląda, czy nie szczupły?

— Tak.

— Łysy.

— Tak!

— Spojrzenie jego nieśmiałe, błędne?

— Zdaje mi się, że takie.

— Zgarbiony, z pałakowatemi nogami?

— W istocie panna doskonale opisujesz powierzchowność pana Bokstel.

— Czy kwiat jest w donicy z fajansu niebieskiego i białego z żółtymi kwiatami?

— Co się tyczy tego, to nie uważałem.

— O tak panie! to jest ten sam tulipan, który mi skradziono! tak, to moja własność i przychodzę żądać jej zwrotu u pana.

— Oh! oh! — mruknął van Herysen — więc chcesz

panna przywłaszczyć sobie tulipan pana Bokstela? w istocie, jesteś zbyt zuchwałą...

— Panie — odpowiada Róża zmieszana cokolwiek, tem napomnieniem — nie mówię, ażebym żądała tulipanów pana Bokstela, lecz żądam zwrotu mojego.

— Twojego?

— Tak, tego, którego sama zasadziłam i pielęgnowałam.

— A więc udaj się panna do pana Bokstela, który mieszka w zajezdnym domu „Pod Łabędziem“ i tam się z sobą porozumiecie; co do mnie, ta sprawa wydaje mi się równie trudną do osądzenia, jak króla Salomona, a więc gdy nie jestem obdarzony jego mądrością, ograniczę się na ułożeniu mego sprawozdania, przedstawię go na sesji i plenum zawyrokuje wypłatę nagrody wynalazcy i właścicielowi. — Żegnaj cię, moje dziecię.

— Oh! panie! panie — nalegająco zawołała Róża.

— Posłuchaj mej rady moje dziecię — mówi van Herysen, ponieważ jesteś ładną, młodą i nie sądzę, ażebyś była zupełnie zepsuta, postępuj ostrożnie w tej sprawie, gdyż w Harlem jest sąd i więzienie, a przytem jesteśmy bardzo surowi pod względem dobrej sławy naszych współpracowników w zawodzie ogrodnictwa.

Idź więc moje dziecię do pana Bokstela, który mieszka „Pod Łabędziem“.

Poczem van Herysen zabrał się do swego sprawozdania, przerwane przez przybycie Róży.

ROZDZIAŁ XXV

CZŁONEK TOWARZYSTWA OGRODNICZEGO

Róża, obłąkana prawie z radości i obawy na wieść, że czarny tulipan jest w Harlem, pospieszył do zajazdu „Pod Łabędziem“, w towarzystwie swego przewodnika, silnego mężczyzny, który połknąłby dziesięciu Bokstelów w potrzebie.

W ciągu drogi oznajmiła sternikowi o co rzecz idzie; ten przyrzekł jej wszelką pomoc i na wypadek, gdyby przyszło odebrać kwiat przemocą, miał tylko polecone, ażeby go oszczędzał.

Lecz przybywszy na Grootte Markt, Róża zatrzymała się niespodzianie, ważna myśl zrodziła się jej w głowie, podobna Minerwie Homera, która uchwyciła Achilleśa za włosy w przystępie gniewu.

— Mój Boże — mówi do siebie — postąpiłam bardzo źle, być może, iż wszystko stracone... wzbudziłam podejrzenia... rozgłosiłam tak ważną wiadomość. Jestem tylko kobietą, a mężczyźni mogą się łatwo przeciw mnie połączyć i wtedy jestem zgubioną... oh! o mnie tu nie idzie, lecz o Korneljusza, o jego tulipan.

— Poczem po chwili dodaje:

— Jeżeli pójdę do Bokstela, którego nie znam, bo czyż można być pewną, że to jest mój Jakób; może to rzeczywiście jaki amator, który odkrył czarny tulipan; albo też jeżeli mój tulipan był skradziony przez kogo innego; jeżeli więc poznam kwiat, a nie poznam człowieka, jakże dowieść, że jest moim? Z drugiej strony, jeżeli to jest fałszywy Jakób, cóż stąd wyniknie? Gdy będziemy się prawować o przyznanie własności, kwiat w tym czasie opadnie. Oh! natchnij mnie Boże, idzie tu o los życia mego, o biednego więźnia, który może umiera w tej chwili.

Po krótkiej modlitwie Róża zdawała się natchnioną.

W tym czasie słyhać było na Grooten Markt wielki hałas. Ludzie biegali, drzwi się bezustannie otwierały. Jedna Róża była obojętną na to poruszenie.

— Trzeba wrócić do prezesa.

— Wróćmy więc — mówi jej przewodnik.

Udając się małą uliczką Słomianą, spieszyli prosto do mieszkania p. van Herysen, który pisał swój raport.

Po drodze Róża słyszała mówiących tylko o wielkim czarnym tulipanie i nagrodzie stu tysięcy; wieść już więc po mieście obiegała.

Róża powtórnie doznała trudności, aby dostać się do pokoju prezesa, który jednakże przyjął ją, gdyż przychodziła w imieniu czarnego tulipana.

Lecz przypomniawszy sobie postać dziewczyny, którą uważał za szaloną lub awanturnicę; ogarnął go gniew i chciał ją prosto wygnać.

Róża złożywszy ręce i głosem prawdy przejmującym serca, przemawia:

— Na miłość Boską panie nie wypędzaj mnie; wysłuchaj raczej co ci mam powiedzieć i jeżeli nie będziesz mi mógł wymierzyć sprawiedliwości, to przynajmniej nie będziesz sobie wyrzucał, kiedy staniesz przed sądem Przedwiecznego, żeś się stał współnikiem złego czynu.

Van Herysen tupnął z niecierpliwości, Róża po dwakroć przerwała mu sprawozdanie, którego staranne wypracowanie uważał za obowiązek swej godności burmistrza i prezesa towarzystwa ogrodniczego.

— Ależ ja mam robotę — zawołał — mam ułożyć sprawozdanie o czarnym tulipanie.

— Twoje sprawozdanie, panie prezesie — zawołała Róża z wyrazem prawdy i niewinności — twoje sprawozdanie o czarnym tulipanie będzie mylnem, jeżeli mnie nie raczysz wysłuchać, bo będzie się opierać na fałszywych zeznaniach, nacechowanych występkiem.

— Błagam cię panie, wezwij tu do siebie pana Bokstel, którego uważam za tego, który przybrał nazwisko Jakóba Gisel, a przysięgam na Boga, że nie będę zaprzeczać własności tulipanowi człowiekowi, którego bym nie znała.

— Co za uporczywość bezużyteczna!

— Cóż pan przez to rozumie?

— Bo pytam, do czego to doprowadzi ciebie, gdybyś go poznała równie jak i twój tulipan?

— Lecz na koniec — mówi Róża z rozpaczą — jesteś pan zacnym mężem — pomnij więc na to, że mógłbyś przyznać nagrodę człowiekowi, który na nią zasłużył nie przez swoją pracę, lecz za kradzież.

Być może, iż głos Róży wzruszyłby serce van Herysen i byłby może łagodnie odpowiedział biednej dziewczynie, gdy wrzawa, dająca się słyszeć na ulicy, którą Róża słyszała na Grooten Markt, zbliżając się zastanowiła uwagę burmistrza.

Okrzyki radości i oklaski, odbiły się o ściany mieszkania pierwszego urzędnika miasta.

— Cóż to znaczy? — czy być może... czy mnie słuch nie omylił? — mówi do siebie van Herysen.

I pospieszył do przedpokoju, zapominając o Róży, którą pozostawił w swym gabinecie.

Zaledwie tam przybył, van Herysen wydał okrzyk zdziwienia widząc swoje schody natłoczone ludem.

Pośród gromady rozmaitej płci i wieku, młody człowiek ubrany skromnie w ciemno-fioletowej sukni wyszytej srebrzem, wstępował z wolna na schody.

Za nim postępowali dwaj oficerowie, jeden marynarki, drugi jazdy.

Van Herysen torując sobie drogę pomiędzy gapiącą się służbą schylił się do ziemi przed nadchodzącym.

— Jego K. Mość u mnie — zawołał — jakież wielkie zaszczyt dla mojego biednego domu.

— Kochany panie Herysen — mówi Wilhelm Oranji z wypogodzonym obliczem, co u niego uśmiech oznaczało — jestem prawdziwym holendrem, lubię wodę, piwo i kwiaty, a nawet ser, który tak wysoko cenią francuzi; z pomiędzy kwiatów przekładam nad inne tulipany. Dowiedziawszy się w Lejdzie, że miasto Harlem otrzymało czarny tulipan, pośpieszyłem przeto i przychodzę zapytać szanownego prezesa towarzystwa ogrodniczego, o ile ta wiadomość zasługuje na wiarę.

— Oh! Mości Książę! jakież zaszczyt dla towarzystwa, jeżeli prace jego podobają się W. K. Mości.

— Czy masz kwiat u siebie? — zapytuje książę.

— Jeszcze dotąd go nie mam... niestety.

- Gdzież jest?
- U swego wynalazcy.
- Któż nim jest?
- Poczciwy tulipanista z Dordrechtu.
- Z Dordrechtu?
- Tak.
- Jak się nazywa?
- Bokstel.
- Gdzie mieszka?
- Pod łabędziem; poślę natychmiast po niego i jeżeli W. K. Mość raczy się zatrzymać w moim salonie, pewny jestem, że nie omieszka tu pośpieszyć wraz ze swoim tulipanem.
- Dobrze, poślij po niego.
- Natychmiast M. Książę. — Lecz tylko...
- Lecz co?
- Oh! nic ważnego J. O. Książę.
- Wszystko jest ważnem na tym świecie panie van Herysen.
- Chciałem powiedzieć, że zachodziła pewna trudność...
- Jaka?
- W sprawie czarnego tulipanu: otóż znaleźli się przywłaszczyciele tegoż tulipanu, a tem samem i nagrody stu tysięcy guldenów.
- W istocie?
- Tak M. Książę, zgłoszono się do mnie nawet...
- I jakżeś postąpił? Przecież to zbrodnia, przywłaszczać kwiat tak kosztowny i rzadki.
- Niewątpliwie.
- Czy masz dowody przekonywające?
- Dotąd jeszcze nie, gdyż winna...
- Więc to kobieta?
- To jest ta, która chce sobie przywłaszczyć tulipan, jest u mnie, w tym oto pokoju.
- Jakież jest twoje zdanie o niej, panie van Herysen?
- Podług mnie, sędzę, iż chęć zysku spowodowała ją do tego kroku.
- I ona twierdzi, że tulipan jest jej własnością?
- Tak, M. Książę.
- I jakież dowody przedstawia?
- Miałem ją właśnie badać, gdy doszła mnie wiadomość o przybyciu W. K. Mości.

— Wysłuchajmy jej, panie van Herysen, tak, należy ją wysłuchać; jestem pierwszym urzędnikiem kraju, wysłucham tej sprawy i wydam wyrok.

— Otóż znalazłem króla Salomona! — mówi van Herysen skłoniwszy się do ziemi i pokazując księciu gabinet

Wilhelm postąpił kilka kroków, poczem zatrzymując się mówi:

— Idź naprzód i nazywaj mnie poprostu panem.

Weszli do gabinetu.

Róża stała w tem samym miejscu, oparta o okno wyglądała na ogród.

— Ah, ah, to fryzka — mówi książę spostrzegłszy kołpak złożony i czerwoną spódniczkę Róży.

Dziewica szybko się odwróciwszy nie mogła poznać księcia, który pospieszył zająć miejsce w najciemniejszym rogu pokoju.

Cała jej uwaga zwróconą była na najważniejszą osobę jaką sobie wyobrażała w swej sprawie, nie zaś na obcego, który z nim przybył.

Nieznajomy wzięwszy książkę do ręki dał znak burmistrzowi, ażeby rozpoczął badanie; van Herysen posłuszny skinieniem młodzieńca usiadł i z całą powagą, odpowiednią swej godności, zapytuje:

— Moje dziecię, czy przyrzekasz mi wyznać całą prawdę?

— Przysięgam panu.

— Możesz więc mówić przy tym panu, jest to jeden z członków towarzystwa ogrodniczego.

— Cóż panu więcej powiedzieć mogę, nad to, com wyznała?

— A więc nic ci nie pozostaje do nadmienienia?

— Nic, prócz powtórzenia mej prośby.

— Jakiej?

— To jest, ażebyś pan kazał tu sprowadzić pana Bokstela wraz z tulipanem; jeżeli go poznam, że to mój własny, będę się o niego upominać; choćby mi przyszło udać się do samego statudera, stanę śmiało z memi dowodami.

— Masz więc dowody?

— Bóg, któremu jest wiadomą moja sprawa, dostarczy mi ich.

Van Herysen spojrział na księcia, który usłyszawszy

głos Róży, usiłował przypomnieć sobie w jakiej okoliczności miał sposobność poznać mówiącą.

Oficer poszedł po Bokstela.

Van Herysen dalej prowadził badanie:

— Na czemże głównie opierasz, że jesteś właścicielką czarnego tulipanu?

— Na tem, że sama zasadziła i hodowała we własnym pokoju.

— W twoim pokoju, gdzie?

— W Löwenstein.

— W Löwenstein?

— Jestem córką dozorca więzienia.

Księżę pomyślał w tej chwili:

— Teraz przypominam ją sobie.

I udając, że czyta, przypatrywał się dziewczynie z większą uwagą, jak poprzednio.

— Lubisz więc bardzo kwiaty? — zapytuje van Herysen.

— Tak jest, panie.

— Jeżeli tak, to musisz posiadać poważne wiadomości ze sztuki ogrodniczej.

Róża wahała się przez chwilę, nakoniec głosem, pochodzącym z głębi serca, mówi:

— Sądzę, moi panowie, że jestem w obecności ludzi honorowych...

Obaj jednocześnie dali znak potwierdzający, ujęci dźwiękiem jej głosu.

— A więc, wyznam wam, że nie posiadam prawie żadnych wiadomości sztuki ogrodniczej... nie, jestem biedną dziewczyną, prawie wieśniaczką, która przed trzema miesiącami nawet czytać i pisać nie umiała. Tak panowie, wiedźcie więc i to, że nie mnie przynależy zaszczyt odkrycia czarnego tulipanu.

— Komuż więc?

— Biednemu więźniowi osadzonemu w Löwenstein.

— A więc jest to więzień! — zawołał księżę.

Na ten głos Róża zadrżała.

— Jest to więzień stanu, gdyż w Löwenstein nie ma innych — dalej mówi księżę.

Poczem udał, że się znów pogrążył w czytaniu.

— Tak — wynalazcą czarnego tulipanu jest więzień stanu — odpowiada Róża.

Van Herysen zbladł usłyszawszy podobne wyznanie przy podobnym świadku.

— Nie przeszkadzam dalszemu badaniu — mówi obojętnie Wilhelm do prezesa.

— Oh! panie — odzywa się Róża do niego uważając go za swego sędziego — widzę, że ściągnę winę na siebie przez moje wyznanie.

— Tak, gdyż więźniowie stanu nie powinni mieć związków z nikim.

— Niestety! — wyjąkała dziewczica.

— Wnosząc z tego coś mówiła widać, żeś miała związki z więźniem stanu, nie wiadomo tylko, czy się ograniczały na pielęgnowaniu kwiatów.

— Panie! — zawołała zmieszana Róża — winnam przyznać, żeś się z nim codziennie widywała.

— Nieszczęśliwa! — wykrzyknął van Herysen.

Książę podniósł głowę przypatrując się przełknięciu Róży i bladeści prezesa.

— To, co mówisz — odzywa się Wilhelm dobitnym głosem — nie obchodzi bynajmniej towarzystwo ogrodnicze: członkowie jego nie zajmują się polityką, lecz kwiatami.

Mów więc, panienko, o czarnym tulipanie.

Van Herysen wymownem spojrzeniem złożył dzięki nowemu członkowi towarzystwa.

Róża, ośmielona przez nieznanego, opowiedziała wszystko cokolwiek odnosiło się do historii czarnego tulipanu od trzech miesięcy. Mówiła o surowości Gryfusa, z jaką zniszczył pierwszy nasiennik, o rozpaczach więźnia, o środkach ostrożności, jakie przedsięwzięli, ażeby ocalić drugi nasiennik, o cierpliwości więźnia i cierpieniach jego, gdy przez kilka dni nie miał od niej wiadomości o tulipanie, że chciał się nawet zamorzyć głodem; na koniec o rozpaczach jakiej doznali oboje, przekonawszy się, iż tulipan został skradziony w godzinę po rozwinięciu.

Wszystko to opowiedziała z uczuciem prawdziwości, na co książę zdawał się być pozornie obojętnym, lecz nazwajem van Herysen okazał żywe zajęcie.

— Zdaje się, żeś niezbyt dawno poznała tego więźnia — zapytuje książę.

Róża z zajęciem spojrziała na nieznanego, który ukrywając się w cieniu, zdawał się unikać jej wzroku.

— Skąd to panu wiadomo?

— Ponieważ Gryfus i jego córka są dopiero od czterech miesięcy w Löwenstein.

— Ta, to prawda.

— I jeżeliś go znała poprzednio, to zapewne starałaś się, ażeby twój ojciec był przeniesiony z Hagi do Löwenstein.

— Panie... — odzywa się zarumieniona Róża.

— Dokończ — mówi ksiączę.

— Wyznaję, poznałam więźnia w Hadze.

— Szczęśliwy więzień! — mówi Wilhelm.

W tej chwili wszedł oficer z oznajmieniem, iż Bokstel, po którego chodził oczekuje w przedpokoju z tulipanem.

ROZDZIAŁ XI

TRZECI NASIENNIK

Zaledwie go oznajmiono, Bokstel ukazał się osobiście w salonie burmistrza; za nim dwaj ludzie nieśli mieszczącą w sobie kosztowny kwiat pakę, którą złożyli na stole.

Księżę, uprzedzony, jak wiadomo opuścił gabinet i udał się do salonu, obejrzał tulipan w milczeniu, poczem wrócił na swoje dawne miejsce w najciemniejszym kącie gabinetu van Herysena.

Róża blada ze wzruszenia i bojaźni, mniemała, iż wezwą ją dla obaczenia tulipanu.

Usłyszawszy głos Bokstela, zawołała:

— To on!

Księżę przywoławszy ją znakiem wskazał na uchylone drzwi salonu.

— To mój tulipan! — zawołała stanąwszy przy drzwiach — oh tak! to mój tulipan. O mój biedny Korneliuszu!

I załżała się łzami.

Księżę powstał z miejsca i stanął przy Róży stojącej w progu drzwi salonu.

Dziewica, po raz pierwszy widząc go w świetle, utwierdziła się w swoim mniemaniu, że ten człowiek był jej znany poprzednio.

— Panie Bokstel — zawołał księżę — proszę tu.

Bokstel nadbiegł z pośpiechem i stając przed Wilhelmem Oranji:

— Jego Księżęca Mość! — wykrzyknął cofając się.

— To księżę! — powtórzyła Róża z przestraczem.

Na ten głos Bokstel żywo się obrócił i spostrzegł Różę.

Na jej widok, całe ciało nikkzemnika zatrzęsło się, jakby uderzone iskrą elektryczną.

— Ah! — mówi do siebie książę — jakże się zmieszał.

Lecz Bokstel wkrótce odzyskał władzę nad sobą i pohamował wzruszenie.

— Panie Bokstel — mówi Wilhelm — zdaje się, że odkryłeś tajemnicę sadzenia czarnego tulipanu.

— Tak, M. Książę — odpowiada cokolwiek zmieszany.

Można było wprawdzie przypisać to wzruszenie niespodzianemu widokowi księcia.

— Ale otóż i ta młoda panna utrzymuje podobnie.

Wilhelm nie spuścił go z oka śledząc bacznie wszystkie poruszenia z zajęciem.

— Czy nie znasz tej panny?

— Nie, M. Książę.

— A ty, panno, czy znasz pana Bokstela?

— Nie znam pana Bokstela, lecz tego pana, który nazywał się Jakóblem Gisels.

— Cóż to znaczy?

— Tak, M. Książę, ten pan w Löwenstein nazywał się Jakóblem Gisels.

— Cóż pan na to?

— Ta dziewczyna kłamie!

— Zaprzeczasz więc, że nie byłeś nigdy w Löwenstein?

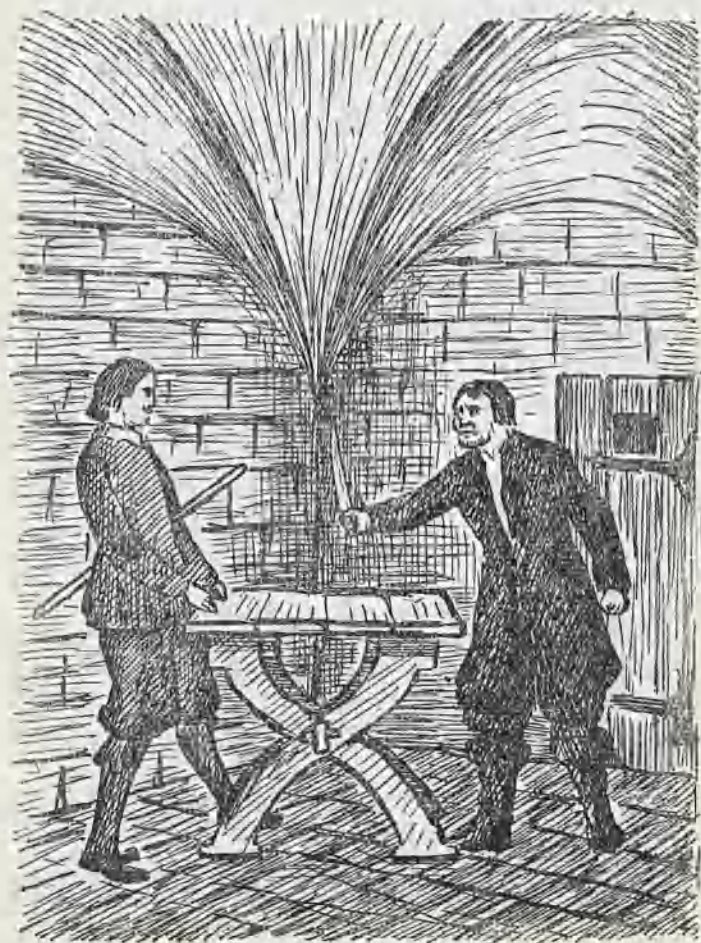
Bokstel wahał się z odpowiedzią; wzrok badawczy księcia na niego zwrócony nie dozwalał mu kłamać.

— Nie mogę tego zaprzeczyć, M. Książę, iż byłem w Löwenstein, lecz zaprzeczam temu, żebym miał ukraść tulipan.

— Ukradłeś go i do tego z mego pokoju! — zawołała Róża z oburzeniem.

— Nieprawda!

— Posłuchaj — czy zaprzeczysz, iż śledziłeś mnie w ogrodzie, gdy uprawiała ziemię pod nasiennik? Czy zaprzeczysz także temu, iż mnie śledziłeś powtórnie w tym miejscu pewnego dnia, w którym go miałam zasadzić? Czy zaprzeczysz, żeś po moim odejściu grzebał w ziemi w zamiarze wydobyć go własnymi rękoma, lecz nadaremnie, gdyż, Bogu dzięki, był to tylko podstęp z mojej strony, ażeby sprawdzić powzięte domysły o twoim niegodziwym zamiarze; powiedz teraz, czy to nieprawda?



Gryfus z nożem w ręku zbliżył się do van Baerla.

Bokstel nie zwracając niby uwagi na te zapytania, obrócił się do księcia, przemawiając uroczyście:

— Od lat dwudziestu, Mości Książę, zajmuję się hodowaniem tulipanów w Dordechtie i znany jestem zaszczytnie w tym zawodzie. Jeden gatunek mego wynalazku nosi nazwę przeze mnie nadaną, ofiarowałem go królowi portugalskiemu.

Co się tyczy tej dziewczyny, rzecz tak się ma. Dowiedziawszy się, że otrzymałem nasienniki mające wydać według wszelkiego prawdopodobieństwa czarny tulipan, zmówiła się ze swoim kochankiem osadzonym w więzieniu Löwenstein i ułożyli projekt pokrzywdzenia mnie, przywłaszczając sobie kwiat, za który przyznana jest nagroda stu tysięcy guldenów, którą Wasza Książęca Mość wyjednać mi raczy w swej sprawiedliwości.

— Oh! — zawołała Róża z oburzeniem.

— Cicho! — mówi książę.

I zwracając się do Bokstela, dodaje:

— Co to za jeden ten więzień, który ma być kochankiem panny?

Róża była bliską omdlenia, gdyż więzień uważany był przez księcia za zdrajcę i buntownika.

— To zapytanie sprawiło niewymowną radość Bokstelowi.

— Cóż to za jeden? — powtórzył książę.

— Ten więzień Wasza Książęca Mość, jest człowiekiem, którego nazwisko dostatecznym będzie do przekonania Waszej Książęcej Mości, iż nie jest godzien czci i wiary. Jest to więzień stanu skazany na śmierć.

— Jego nazwisko?

Róża zakryła twarz rękoma.

— Nazywa się Korneliusz van Baerle — powiedział Bokstel — syn chrzestny zbrodniczego Korneliusza de Witt.

Książę wzdrygnął się. Jego pogodne oko zajaśniało płomieniem na chwilę, poczem oblicze jego przybrało lodowatą powierzchowność.

Postąpił do Róży i dał znak, ażeby twarz odkryła.

Róża usłuchiwała tego rozkazu, jakby będąca pod wpływem magnetycznej siły.

— A więc dlatego podałaś w Lejdzie do mnie prośbę o przeniesienie twego ojca, aby być przy kochanku?

Róża spuściwszy oczy, odpowiedziała ledwo dosłyszalnym głosem:

— Tak, Mości Książę.

— Słucham pana, mów dalej — rzekł książę do Bokstela.

— Nie mam nic więcej do nadmienienia, Mości Książę. Co się zaś tyczy tej dziewczyny, nie chcąc jej zawstydzać, wstrzymałem się dotąd od szczegółów, dotyczących naszej znajomości. Przybywszy do Löwenstein za interesantem: poznałem się z Gryfusem, córka tegoż podobała mi się i żądałem jej ręki; nie będąc bogaty wyznałem jej jednakże nierozważnie, że całą nadzieję pokładam w otrzymaniu stu tysięcy złotych nagrody za czarny tulipan, na dowód czego pokazałem jej nasiennik. Wtedy, zmówiwszy się ze swym kochankiem, który dla ukrycia zbrodniczych zamiarów udaje w więzieniu, iż zajmuje się wyłącznie hodowaniem kwiatów, oboje ułożyli plan okradzenia mnie. W wigilję rozwinięcia kwiatu, ta dziewczyna ukradła z mojego pokoju tulipan i zaniosiła go do siebie; lecz szczęściem odebrałem go jej w chwili, gdy właśnie wysyłała gońca z pismem do Jaśnie Wielmożnego prezesa, oznajmiając, iż wynalazła wielki czarny tulipan; lecz, lubo złapana na gorącym uczynku przeze mnie, występuje dziś jako prawa właścicielka kwiatu. Być może, że pokazywała go jednej lub kilku osobom w przeciągu tych godzin, gdy był w jej pokoju i być może, że wezwie ich jako świadków, lecz szczęściem, że Wasza Książęca Mość uprzedzona jest o zabiegach tej intrygantki i jej domniemanych świadków.

— Oh! mój Boże, mój Boże! — niegodziwiec! — wyjąkała Róża ze łkaniem, padając do nóg statudera, który chociaż, być może nie traktował jej przychylnie, litował jednakże nad jej rozpaczą.

— Złeś postąpiła młoda dziewczyno, i twój kochanek będzie ukarany za rady, których usłuchałaś; bo jesteś tak młoda i wydajesz się uczciwą, że raczej należy wnosić, iż on to ciebie do złego nakłonił.

— Mości Książę — zawołała Róża — Korneljusz jest niewinny!

Wilhelm zrobił poruszenie.

— Chcesz zapewne uniewinnić go pod względem udzielonych ci rad...

— Oh! on jest zupełnie niewinny, chciałam powiedzieć;

tak, on się nie dopuścił zbrodni za jaką jest więziony, równie jak tej, za którą ma być karany.

— Czy wiesz za jaką zbrodnię został skazany na śmierć? Czy wiesz, że znaleziono u niego korespondencję Wielkiego Pensjonarza z margrabią de Louvois?...

— Lecz on o tem nie wiedział, Mości Książę, powtarzam to, choćbym miała ściągnąć na siebie niechęć Waszej Książęcej Mości, a może i karę, śmiało utrzymywać będę, iż Korneljusz jest niewinny... Oh! gdybyś poznał Mości Książę mego Korneljusza!

— Stronnik Wittów — szepnął Bokstel. Oh! Jego Książęca Mość, zna go dość dobrze, ponieważ darował mu życie.

— Cicho! — rzekł książę. — Wszystkie te kwestje polityczne nie należą do towarzystwa ogrodniczego.

Poczem zmarszczywszy brwi dodał:

— Co się tyczy przyznania nagrody, bądź spokojny panie Bokstel, sprawiedliwość wymierzona będzie.

Bokstel skłonił się do ziemi z radością w sercu zwłaszcza, gdy mu prezes winał.

— Ty zaś młoda dziewczyno — mówił dalej Wilhelm — chociaż jesteś współniczką występnego czynu, daruję ci winę, lecz winowajca rzeczywisty musi być karany za ciebie i za siebie. Człowiek będący w jego położeniu, może zdradzać, może knuć spiski... lecz nie powinien dopuścić się kradzieży.

— Kraść — zawołała Róża — on!... Korneljusz?... on by miał dopuścić się kradzieży!... oh!... nigdy, Mości Książę... ah, gdyby on słyszał ciebie, Mości Książę, umarłby z rozpaczy! Tak, słowa twoje zabiłyby go pewniej, niż miecz katowski na Buitenhof. Jeżeli zaś kradzież była popełniona, przysięgam, że nie kto inny, jak ten człowiek się jej dopuścił.

— Dowiedz tego — odezwał się Bokstel obojętnie.

— Tak! spodziewam się, że z pomocą Boską dokażę tego — odpowiedziała Róża z zapałem.

Poczem odwracając się do Bokstela zapytała:

— Więc twierdzisz, że tulipan jest twoim?

— Tak.

— Dobrze, powiedz teraz, wiele było nasienników z jego cebuli?

Bokstel zastanowił się, lecz domyśliwszy się, że dziew-

czyna nie zadałaby mu tego pytania, gdyby tylko były dwa nasienniki im obojga wiadome, odpowiedział:

— Trzy.

— Cóż się z nimi stało?

— Co... jeden chybił... drugi się przyjął.

— A trzeci?

— Trzeci...

— Gdzież trzeci?

— Trzeci mam u siebie — odpowiada zmieszany Bokstel.

— U ciebie? gdzie w Dordrechtcie, czy w Löwenstein?

— W Dordrechtcie

— Kłamiesz! Mości Księżę — rzekła Róża zwracając się do statudera — prawdziwa historia tych nasienników jest następująca. Pierwszy zgniecony został przez mego ojca w izbie więzienia i ten człowiek wie o tem dobrze, gdyż chciał go sobie przywłaszczyć. Dowiedziawszy się o szkodzie przez ojca wyrządzonej pokłócił się z nim o to. Drugi hodowany przeze mnie wydał czarny tulipan, a trzeci — (wyjęła go z za łona) oto jest, zawinięty w tym samym papierze, w którym wszystkie trzy były, gdy udając się na śmierć, Korneljusz van Baerle darował mi ich. Oto jest, Mości Księżę.

I Róża wydobywszy nasiennik z papieru podała go księciu.

— Ależ Mości Księżę — mówił jękając się Bokstel zartwożony rozwągą z jaką Wilhelm przypatrywał się nasiennikowi — ta dziewczyna mogła mnie go wykraść podobnie jak tulipan.

Wtem Róża, która w tym czasie rzuciwszy okiem na papier, obwijający nasiennik przeczytała go z niewymownem uczuciem radości objawiającej się w jej spojrzeniu, zawołała:

— Oh! przeczytaj to Mości Księżę! — rzekła — na miłość Boską, przeczytaj!

Wilhelm oddawszy nasiennik prezesowi wziął papier do ręki.

Zaledwie rzucił okiem na niego, zachwiał się, ręka jego zdrząła, wzrok przybrał wyraz politowania i boleści.

Była to pierwsza stronica biblii Korneljusza de Witt, na której napisał do Korneljusza van Baerle, zalecając

mu, aby spalił korespondencję Wielkiego Pensjonarza z margrabią de Louvois.

To pismo zawierało w sobie następujące wyrazy:

Drogi synu!

„Spal te papiery, które ci powierzyłem, spal je nie spojrzawszy na nie, nie odpieczętuj ich nawet, niech ich osnowa będzie ci nieznaną. Tajemnice podobne tym, które one zawierają, mogą się stać przyczyną śmierci. Spal je, a ocalisz Jana i Korneljusza.

Bywaj zdrow i kochaj mnie zawsze“.

20 sierpnia 1672 r.

Korneljusz de Witt.

Ten kawałek papieru stanowił zarazem dowód niewinności van Baerle'a i posiadacza nasienników.

Róża i statuder spojrzeli wzajemnie na siebie.

Róża zdawała się chcieć mówić:

— Widzisz, żem prawdę mówiła.

Spojrzenie statudera oznaczało:

— Milczenie i cierpliwość.

Książę otarł kroplę zimnego potu, spływającą z czoła na lica. Zwinąwszy starannie papier zachował go, poczem podniósłszy głowę przemówił:

— Oddał się panie Bokstel, przyrzekłem ci, że sprawiedliwość wymierzona będzie.

Następnie zwracając się do prezesa dodał:

— Ty zaś, mości prezesie, zatrzymasz u siebie tę pannę wraz z tulipanem.

— Żegnam cię.

Wszyscy skłonili się z uszanowaniem. Książę oddalił się pośród radosnych okrzyków zgromadzonego ludu.

Bokstel powrócił do hotelu „pod Łabędziem“ zafrasowany nieco. Ten papier, który Wilhelm przyjął z rąk Róży, który przeczytawszy schował starannie, ten papier mocno go niepokoił.

Róża przybliżywszy się do tulipanu pocałowała go i poleciwszy się opiece boskiej zakończyła modlitwę swoją temi słowy:

— Mój Boże! Tyś natchnął mego Korneljusza myślą, ażeby mnie czytać uczył, przyjm me dzięki Panie!

Tak, było to natchnienie Boga, który karze i wynagradza ludzi według ich postępów.

ROZDZIAŁ XXVII

W tymże czasie nieszczęśliwy van Baerle opuszczony w twierdzy Löwenstein, doznawał ze strony Gryfusa tyśiącznych przykrości, na jakie więzień może być narażony, gdy dozorca jego ułoży plan obchodzenia się z nim, jak oprawca. Gryfus nie otrzymując żadnych wiadomości od Róży, ani od Jakóba, powziął przekonanie, iż wszystko to co go spotyka jest dziełem złego ducha i że Korneljusz van Baerle jest jego współnikiem.

Stąd wynikło, że pewnego rana — było to na trzeci dzień po zniknięciu Jakóba i Róży — wszedł do izby więźnia w usposobieniu wściekłym, jak nigdy dotąd.

Korneljusz stał w oknie, podparty łokciami, patrząc w mglistą przestrzeń widnokregu, w stronę, gdzie ukazywały się młyny Dordrechtu, napawając się świeżem powietrzem, cokolwiek mu sprawiającem ulgę w cierpieniach i łzy rozpaczy osuszającym.

Gołębie latały, jak poprzednio, lecz nadzieja uleciała; przyszłość była zajmująca.

Niestety! Róża, strzeżona przez ojca, czyż będzie mogła napisać przynajmniej, lub napisawszy, jakim sposobem prześle mu list?

Nie, to było niepodobieństwem. Przez dwa dni przypatrzył się dostatecznie Gryfusowi i wnosząc ze złośliwości i wściekłego wzroku jego, można się było spodziewać, że dokuczał córce wszelkimi sposobami, Korneljusz lękał się, czy Róża nie jest wystawioną na grubjańskie obejście tego pijaka i złego człowieka, w całym znaczeniu tego wyrazu.

Ta myśl, że Róża cierpi z jego przyczyny, przywodziła Korneljusza do rozpaczy.

Uczuł wtedy swoją nicość i niemoc, zapytał siebie, czy Bóg sprawiedliwie zsyła tyle ciosów na dwoje niewinnych

istot. I w tych chwilach powątpiewał. Nieszczęścia nie pobudzają do łatwowierności.

Van Baerle chciał pisać do Róży. Lecz gdzież ona?

Powziął również myśl napisać do Hagi, dla uprzedzenia doniesienia Gryfusa, które miało sprowadzić nowe burze nad jego głowę.

Lecz czem i na czem napisze? Gryfus zabrał mu papier i ołówek.

A przytem chociażby je miał, dozorca bezwątpienia nie doręczy pisma jego podług adresu.

Wtedy Korneliusz zastanawiał się nad podstępami, tworzącymi się w umyśle więźniów.

Pomyślał o ucieczce, o której poprzednio nie przyszło mu do głowy, gdy mógł widywać Różę codziennie. Lecz im bardziej zastanawiał się nad środkami wykonania tego pomysłu, tem trudniejszym wydawało mu się przywieść go do skutku.

Należał on do tych wybranych mężów, którzy pogardzają pospolitymi środkami, i którzy opuszczają pomyślną drogę życia dlatego, iż nie postępują zwykłym torem, tą obszerną drogą ludzi mierności, która ich wiedzie do wszystkiego.

— Jakim sposobem mógłbym uciec z Löwenstein, skąd niegdyś uciekł Grotius?

Czyż od tego wypadku nie przedsięwzięto wszelkich środków ostrożności?

— Okna są strzeżone, drzwi opatrzone mocnymi ryglami i zamkami.

— Straże czuwają baczniej.

— Oprócz okien okratowanych, podwójnych drzwi, czuwającej straży, mam nieodstępного argusa tem niebezpieczniejszego, iż mnie nienawidzi.

— Nakoniec jedna okoliczność niweczy wszystko. Jest to nieobecność Róży.

— Gdybym dziesięć lat poświęcił ostrzeniu piłki do przepiłowania kraty lub spletał powrozy dla spuszczenia się oknem, albo lepił skrzydła jak Dedal... pewny jestem, że wszystkie te usiłowania byłyby daremnymi.

— Piłka się stępi, powróż się zerwie, skrzydła się rozleją. Nie zabiłbym się na miejscu może i znalazłoby mnie może z roztrzaskaną głową, złamaną nogą, pokale-

czonego, krwią zbroczonego, byłbym może tylko dotknięty wiecznem kalectwem.

— Trzeba więc zaniechać tego zamiaru i czekać sposobności, gdy mnie Gryfus zaczepi.

— Zaczynam tracić cierpliwość od czasu jak utraciłem moją Różę, a nadewszystko po stracie moich tulpanów. Nie masz wątpliwości, że Gryfus dziś lub jutro dotknie do żywego moją miłość własną, znieważy mnie, lub córkę, albo wreszcie posunie się do czynnych obelg. Czuję w sobie, od czasu zamknięcia w więzieniu, niezwykłą siłę, staję się zawziętym, drażliwym.

Dreńczy mnie żądza osobistej walki, pragnę się bić, mordować. Poskoczę więc do starego złoczyńcy i uduszę go.

Po tych słowach Korneljusz zamilkł na chwilę, usta jego były ściśnięte, oko błędne.

Walka toczyła się w jego umyśle, napełnionym myślą, którą sobie ułożył.

— Skoro go uduszę, pochwycę klucz, potem zbiegnę ze schodów i pospieszę do Róży, wtedy opowiem jej w skróceniu o wszystkim co zaszło i wyskoczymy oboje oknem do rzeki, umiem przecież dobrze pływać i uniosę ją z łatwością. Lecz co mówię; wszakże Gryfus jest jej ojcem i pomimo, że mnie bardzo kocha, nigdy nie chciałaby uciec z mordercą swego ojca, jakkolwiek obchodził się z nią najgorzej.

— Czyż zdołam przekonać ją, ukoić łyzy, być może rozpacz; to zajmie wiele czasu i wtem może nadejść który z dozorców: ten, zastając zaduszonego Gryfusa, domyśli się wszystkiego i pospieszy w moje ślady. Wtedy bezwątpienia poprowadzą mnie na rusztowanie i miecz katowski nie pozornie opuści się na moją szyję. Precz ode mnie te myśli! Lecz jakże się ich pozbyć? Czyż ujrzę kiedy moją Różę.

Te myśli zajmowały Korneljusza w trzy dni po scenie zaszłej między nim a Gryfusem, gdy ten zaszedł go niespodzianie z córką i w tej chwili, gdy na początku tego rozdziału widzieliśmy więźnia opartego na oknie.

W tejże chwili wszedł Gryfus.

W rękę miał gruby kij, oczy jego iskrzyły się, złowrogi uśmiech krasił usta jego i w całej powierzchowności przebijały się złe zamiary.

Korneljusz, uznając potrzebę zachowania cierpliwości,

potrzebę wynikającą z zupełnego przekonania, dosłyszał wejście dozorczy, lecz nie odwrócił się.

Wiedział, iż tym razem Róża nie przyjdzie za nim.

Nie masz nic dotkliwszego dla ludzi, pałających gniewem, jaka obojętność okazana, przez tego, który gniew wzbudził.

Kto ponosi koszta, pragnie z nich ciągnąć korzyści.

Każdy odważny łotr, zaostrzywszy złe żądze, chce niemi zadać razy.

Tak i Gryfus widząc Korneljusza stojącego obojętnie, zaczął go wezwaniem groźnego głosu.

— Hum, hum...

Korneljusz umiał piosnkę o kwiatach, posępną lecz rzewną:

*Dziećmi słońca się zowiemy,
Świeżem powietrzem żyjemy,
Czysta rosa nas napawa,
A wietrzyk nasza zabawa.*

Ten śpiew rozjątrzył Gryfusa.

— Hej, mości śpiewaku! czy mnie nie słyszysz?

Korneljusz odwrócił się i mówi:

— Dzień dobry — poczem znów nucić zaczął:

*Ludzie nas lubią lecz męczą,
Z ziemi wyrrywając dręczą,
Lecz dusza z nas nie uleci,
Bo dusza woń w nas nieci.*

— Ah! przeklęty czarowniku! ty sobie drwisz ze mnie, jak widzę?— zawołał Gryfus.

Gryfus przybliżył się do więźnia.

— Czyż nie widzisz — że mam z sobą pewną rzecz, która ciebie zmusi do wyznania twych zbrodni? — mówi wskazując na pałkę, którą trzymał w ręku.

— Czyś oszalał, mój zacny Gryfusie? — zapytuje Korneljusz.

I wtedy, przypatrując się jego twarzy zeszpeconej gniewem, oczom iskrzącym, spienionym ustom, mówi:

— Do kata! zdaje się, że to nie szaleństwo, lecz wściekliwość.

Gryfus machnął kijem w powietrzu.

Van Baerle obojętny na to wyzwanie, odzywa się, skrzyżowawszy ręce.

— Cóż to ma znaczyć... czy to pogroźki?

— Jak ci się zdaje... a gdybym też i groził ci, to cóż?

— Lecz za co?

— Najprzód spójrz na to, co mam w ręku.

— Widzę, że to pałka — mówi spokojnie Korneljusz, lecz nie przypuszczam, ażebyś miał mnie tym straszyć.

— Nie przypuszczasz, mości panie! z powodu?

— Ponieważ dozorca, któryby się odważył uderzyć więźnia, wystawionym jest na podwójne niebezpieczeństwo, a najprzód art. 9 przepisów obowiązujących tutaj tak opiewa:

„Będzie wydalony ze swego miejsca inspektor, dozorca lub klucznik, który się odważy podnieść rękę na więźnia“.

— Tak, to jest mowa o ręce, lecz nie o kiju. Tak, art. 9 nic o tem nie wspomina.

— Mówiłem o podwójnem niebezpieczeństwie, na jakie dozorca może być narażonym, otóż drugi artykuł nie zamieszczony wprawdzie w ustawie więziennej, lecz w piśmie Ewangelji brzmi jak następuje:

— Kto się porywa do miecza, od miecza ginie, czyli:

„Kto się porywa za kij, może nim być obłożony“.

Gryfus, stopniowo podniecany spokojną mową i umiarkowaniem więźnia, podniósł swoją pałkę; lecz w tejsze chwili Korneljusz pochwycił ją zręcznie i umieścił pod pachą.

Gryfus wył z wściekłości.

— Dość tego, dość; starcze, nie narażaj się na utratę twej posady.

— Ah! czarownika, czy myślisz, że nie mam innej broni?

— Być może...

— Wszak widzisz, iż nie mam nic w ręku.

— Tak widzę to z zadowoleniem.

— Wiesz dobrze, iż przychodzę tutaj co rano ze śniadaniem.

— Tak, to prawda, przynosisz mi zwykle najgorsze pożywienie jakie sobie można wyobrazić. Lecz to mnie nie obchodzi; żywię się tylko chlebem, a ten, im dla ciebie jest niesmaczniejszym, tem dla mnie lepszym.

— Lepszym?

— Tak.

— Z powodu?

— Bardzo prostego.

— Ciekawy jestem tego.

— Ty umniemasz, że przynosząc mi zły chleb sprawiasz mi przykrość?

— Nie omyliłeś się, bo nie myślę ci robić przyjemności.

— A więc ja, który jestem czarownikiem, jak ci wiadomo, przemieniam twój zły chleb na najsmaczniejszy, daleko lepszy od najwyborniejszego ciasta; a wtedy doznaję podwójnej przyjemności, raz że się nasycę podług upodobania, a powtóre, że sobie z siebie żartuję.

Gryfus zaryczał z gniewu i zawołał:

— Przyznajesz zatem, żeś czarownik...

— Nie szczycę się tem przed światem, że nim jestem, bo to mogłoby mnie zaprowadzić na stos jak Gaufreda, albo Urbana Grandier; lecz we cztery oczy można się przyznać do wszystkiego.

— To dobrze, dobrze — odpowiada Gryfus — lecz powiedz mi to, czy czarownik, który umie z czarnego chleba przemienić w biały, potrafi również z niczego go zrobić?

— Co? — zapytuje Korneljusz.

— Czy czarownik mówię nie umrze z głodu, jeżeli przez tydzień nie przyniosą mu choć najgorszego chleba.

Korneljusz zbladł.

— I to się zacznie od dzisiaj. Jeżeliś taki sławny czarownik, przemieniajże sprzęty będące w tej izbie na chleb; a ja tymczasem oszczędzać będę 18 groszy dziennie, które są mi wyznaczone, ażebym ciebie żywił.

— Lecz to byłoby morderstwo! — zawołał Korneljusz w perwszej chwili trwogi, którą łatwo wyobrazić sobie można na wspomnienie podobnego rodzaju śmierci.

— Wybornie — mówi żartobliwym tonem Gryfus — ponieważ jesteś czarownikiem, powinieneś sobie zaradzić.

Wkrótce powrócił Korneljusz do dawnego humoru i wzruszając ramionami zapytuje Gryfusa:

— Słuchajże mnie teraz... czy przypominasz sobie, że miałem u siebie gołębie?

— I cóż?

— Wszak to smaczne pożywienie z gołębi nieprawdaż?

Zdaje się, że człowiek, który codzień zje gołębia, nie umrze z głodu.

— Skądże ognia dostaniesz?

— O to się bynajmniej nie troszczę. Czy myślisz, że mnie djabeł nie zaopatrzy w ogień, który jest jego żywiołem?

— Wiem o tem, że człowiek najstrawniejszego żołądka nie jest w stanie żywić się ciągle mięsem gołębiem. Robiono o to zakłady i zakładający się przegrywali.

— I cóż stąd — jak mi się sprzykrzą gołębie, będę łowił ryby z rzeki płynącej pod oknem.

Gryfus wytrzeszczył oczy.

— Lubię bardzo ryby — mówi dalej Korneljusz — a ty mnie ich nigdy nie dajesz... A więc korzystając z tego, iż mnie chcesz głodem morzyć, będę się raczył rybami.

Gryfus o mało nie postradał zmysłów z gniewu, połączonego z przestracaniem, który go ogarnął: zdobywszy się jednak na resztę sił:

— A więc — mówi, kładąc rękę do kieszeni — ponieważ mnie zmuszasz do tego.

I wydobył duży nóż.

— Ah to nóż tylko! mówi Korneljusz, stając z kijem, w obronnej postawie.

ROZDZIAŁ XXVIII

VAN BAERLE PRZED OPUSZCZENIEM LOEWEN- STEIN ZAŁATWIA RACHUNKI Z GRYFUSEM.

Przez niejaki czas stali obaj naprzeciw siebie, jeden w zaczepnej, drugi w odpornej postawie; Korneljusz uważając, że to położenie zbyt długo trwało i zaczynało go już nudzić, zapytuje swego przeciwnika:

— Czegóż jeszcze chcesz ode mnie?

— Czego chcesz? Otóż najprzód oddaj mi moją córkę Różę.

— Twoją córkę?

— Tak, Różę, którą porwałeś szatańskim sposobem. Dalej! czy powiesz mi, gdzie ją podział?

Gryfus zbliżał się ku niemu z podniesionym nożem.

— Więc tu niema Róży? — zawołał Korneljusz.

— Niby nie wiesz o tem? Jakże, oddasz mi ją?

— Rozumiem; ty chcesz mnie wprowadzić w zasadzkę.

— Pytam po raz ostatni, czy wrócisz mi córkę? — gdzież ona jest?

— Zgadnij łotrze, jeżeli to prawda co mówisz, że jej niema.

— Zaczekaj zbrodniarzu! — wrzeszczy Gryfus wyblądły z usty spienionemi wściekłością, która ogarnęła umysł jego. — Nie chcesz powiedzieć tego, poczekaj roz-
tworzę ci zęby...

Postąpił krok do Korneljusza, migając przed jego oczyma nożem.

— Czy widzisz ten nóż? zarząłem nim kilkadziesiąt czarnych kur i mam nadzieję, że zabiję nim ich pana, diabła.. czekaj no! czekaj no...

— Jakto łotrze! chcesz mnie rzeczywiście zamordować?

— Chcę ci serce otworzyć, ażeby wyczytać z niego, w jakim miejscu ukrywasz moją córkę.

I wycharczawszy to, rzucił się w szale na Korneljusza, który zaledwie zdążył stanąć za stołem dla zabezpieczenia się od pierwszego natarcia.

Gryfus wywijał nożem, miotając straszliwe groźby.

Korneljusz zauważył, że jeżeli ręka go nie dosięgnie, to może go dosięgnąć ostrze noża, — pocisk wypuszczony z odległości, trafnie lub przypadkowo, może ugodzić go w serce.

Nie tracąc więc czasu uderzył pałąk z ręcznie w rękę, nóż trzymającą.

Nóż upadł na ziemię, Korneljusz przystąpił go nogą.

Poczem widząc, iż Gryfus usiłował rozpocząć z nim ręczną walkę, rozjątrzony gniewem i wstydem, że się dał rozbroić, Korneljusz chwycił się stanowczego środka:

Zaczął tedy okładać razami swego dozorcę, który w końcu prosił o łaskę.

Lecz nim to nastąpiło, Gryfus krzychał przeraźliwie; krzyki te były dosłyszane przez mieszkańców więzienia, jakoż niebawem dwóch dozorców, inspektor i kilku żołnierzy nadbiegli do izby Korneljusza i zastali go z pałąk w rękę i przydeptującego nóż nogą.

Na widok tylu świadków jego postępku, którego wstępne okoliczności były im nieznane, jak dziś mówią, Korneljusz uważał się zgubionym.

W istocie wszystkie pozory świadczyły przeciw niemu.

Wkrótce rozbrojono go, poczem otoczyli Gryfusa, podnieśli i dopytywali z troskliwością o jego rany, gdy tymczasem można było policzyć guzy wyskakujące na różnych częściach ciała, jak kretowiska na pagórku.

Natychmiast w miejscu popełnionego gwałtu spisano protokół i łatwo wnieść można, iż był ułożony z zeznań Gryfusa, który twierdził, iż od dawna więzień ułożył umyślnie plan zamordowania go, a zatem dopuścił się otwartego buntu.

W tym czasie, gdy odprowadzono Gryfusa do jego mieszkania, żołnierze będący przy Korneljuszu rozpoczęli z nim rozmowę i, powodowani miłością bliźniego, radzili mu przysposobić się na śmierć, gdyż ustawa więzienna obowiązująca w Löwenstein (którą zresztą odczytano Korneljuszowi przy wprowadzeniu go do tej twierdzy) nie była ułożona dla żartu.

Przytoczyli mu nawet przykład, jak artykuł tej ustawy

zastosowany był do pewnego więźnia nazwiskiem Mathias, który w 1668 r., to jest przed pięciu laty, dopuścił się czynu mniej zbrodniczego, jak on wobec Gryfusa.

Mathias cisnął w twarz dozorczy miską z gorącym rosołem, wskutek czego, nie tylko że został oparzony, ale część skóry zeszała mu z twarzy.

W dwadzieścia godzin potem wyprowadzono Mathiasa z więzienia, wykreślono go z listy więźniów, jako wychodzącego z Löwensteinu, gdyż powiedli go na esplanadę, z której widok jest bardzo piękny, tam skrępowano mu ręce, zawiązano oczy chustką i dozwolono się pomodlić.

Dalej, polecono mu, ażeby ukląkł i oddział dwunastu żołnierzy na komendę sierżanta dał ognia, a ciało Mathiasa prześrutowane zostało kulami, wskutek czego więcej się nie podniósł.

Korneljusz słuchał z uwagą tego opowiadania.

Poczem odzywa się:

— A więc mówicie, że to wszystko odbyło się w dwanaście godzin?

— Zdaje mi się, że jeszcze nawet tyle nie upłynęło — mówi ten, który opowiadał to zdarzenie.

— Dziękuję ci — odpowiada Korneljusz.

Żołnierz uśmiechnął się, co oznaczało zakończenie opowiadania, gdy wtem dosłyszano brzęk ostróg na schodach.

Straż uszykowała się w porządku przed przybywającym oficerem.

Ten wszedł do pokoju Korneljusza, gdzie jeszcze pisarz kończył ustny wywiad.

— Czy tu numer jedenasty?

— Tak, kapitanie — odpowiada podoficer.

— Więc tu jest osadzony więzień, nazwiskiem van Baerle?

— Tak, kapitanie.

— Gdzie on jest?

— Ja nim jestem — odpowiada Korneljusz, błędąc pomimo wrodzonego męstwa.

— Pan jesteś Korneljuszem van Baerle?

— Tak, panie.

— A więc, proszę ze mną.

— Oh, oh! mówi Korneljusz z bijącym sercem — jakże prędko załatwiają czynności w twierdzy Löwenstein.

— A co! czy nie prawdę mówiłem? — szepce opowiadacz do ucha więźnia.

— Skłamałeś.

— Jakto?

— Mówiłeś o dwunastu godzinach.

— Tak, to prawda. Lecz zato spotyka pana większy zaszczyt, przysłano po pana adjutanta J. K. Mości, jego zaufanego pana van Dekena; biedny Mathias nie był tak szczęśliwym.

— Dalej zatem — mówi do siebie Korneljusz, zabierając w płuca największą ilość powietrza; dalej, pokażmy tym ludziom, że obywatel, syn chrzestny Korneljusza de Witt, może bez przestachu znieść widok śmierci.

I śmiałym krokiem przeszedł około pisarza, który ośmielił się zrobić uwagę oficerowi:

— Lecz kapitanie van Deken, protokół jeszcze nie skończony.

— Niema potrzeby go kończyć — odpowiada oficer.

— Dobrze, kapitanie — mówi pisarz chowając obojętnie papiery i pióro do zatłuszczonej teki.

— Napisanem było — myśli biedny Korneljusz — że nie nadam na tym świecie nazwiska mego dziecięciu, kwiatu lub książce, tym trzem rzeczom, z których jedną przynajmniej jak zapewniają, Bóg naznacza ludziom, których obdarzył duszą wzniosłą i zdrowem ciałem.

I szedł za oficerem, śmiałym krokiem, z podniesioną głową.

Korneljusz liczył schody, prowadzące do esplanady, żałując, iż nie spytał się opowiadacza ile ich było, o czem ten nie omieszkałby go zawiadomić.

Czego najbardziej obawiał się więzień w tem przejściu, które uważał za ostatnią swą drogę, był to widok Gryfusa i Róży.

Jakież zadowolenie spostrzegłby na obliczu ojca, jaką rozpaczy na twarzy córki.

Grytus, mienawidzący go i powodowany żądzą zemsty, będzie się napawał widokiem zgonu człowieka, który w swem przekonaniu nie dopuścił się zbrodni, lecz dopełnił tylko ściśle wymierzoną sprawiedliwość.

Z tem wszystkiem, pragnąłby może widzieć Różę, pożegnać ją po raz ostatni; nakoniec myśl, iż umrze nie wiedząc co się stało z jego tulipanem, gdzie zwróci swoje

oczy z wysokości niebios, ażeby go wymaleźć, wszystko to przejmowało go rozpaczą.

Nadaremnie Korneljusz rozglądał się na wszystkie strony, nie widać było Gryfusa, ani Róży.

To stanowiło prawie kompensatę.

Korneljusz, przybywszy na esplanadę, szukał mężnym wzrokiem żołnierzy, którzy mieli służyć do egzekucji i w istocie ujrzał tu z dwunastu stojących w kupie i rozmawiających; byli oni bez muszkietów, nie stali w szeregu; szepcząc między sobą, śmiali się, co Korneljuszowi wydawało się niestosownem przy podobnej okoliczności.

Wtem ukazał się Gryfus we drzwiach więzienia oparty na kuli, gdyż chorował na nogę. Wzrok jego koci wyrażał nienawiść nieprzeblaganą, z ust jego potoczył się na Korneljusza potok złorzeczeń i obelg, który nie mogąc znieść tego, mówi do oficera:

— Zdaje się, że pan nie powinien dozwolić znieważać mnie w ten sposób w swej obecności, a zwłaszcza w podobnej chwili.

— Co do mnie — powiada z uśmiechem oficer — mnie mam, że po części ten starzec ma słuszość, gdyż obłożyłeś go razami.

— Ależ panie, ja się tylko broniłem.

— Bah! mówi kapitan z filozoficznym poruszeniem ramion — to ciebie teraz nie powinno obchodzić.

Na tę odpowiedź, zimny pot wystąpił na czoło Korneljusza; uważał ją bowiem za grubiańską ironję ze strony człowieka, zaufanego księcia.

Nieszczęśliwy bardziej, niż kiedykolwiek uczuł, iż nie ma nikogo na tym świecie.

— Wszakże i Jezus cierpiał... a jakkolwiek jestem niewinny, nie mogę się z Nim porównywać.

Znosił zniewagi i modlił się za swoich prześladowców. I zwracając się do oficera zapytuje:

— Gdzież idziemy?

Oficer wskazał mu ręką na karetę czterokonną, która w podobnej okoliczności przypominała mu stojącą na Buitenhof.

— Siadaj pan.

— Ah! zdaje mi się, że nie zasłużyłem na zaszczyt rozstrzelania.

Te słowa wymówił tak głośno, że usłyszał je żołnierz.

który opowiedział mu historję Mathiasa, i który uważał za swą powinność objaśniać wątpliwości, i gdy oficer wydawał zlecenia woźnicy, żołnierz zbliżywszy się szepnął mu zcicha:

— Były fakty, że skazanych na śmierć dla przykładu karano śmiercią w ich rodzinnem mieście, przed progiem ich domu. To zależy od treści wyroku.

Korneljusz znakiem podziękował mu za to objaśnienie.

— Otóż człowiek — pomyślał, który ma niewyczerpany zapas pociechy dla skazanych na śmierć.

I pożegnał go wsiadając do pojazdu.

— Ah łotr, rozbójnik! wrzśnie Gryfus grożąc mu pięścią. — I nic się nie dowiem, co się stało z moją córką!

— Jeśli mnie zawiozą do Dordrechtu — myślał Korneljusz — zobaczą być może przejeżdżając około mego domu, czy mój ogród jest w dobrym stanie utrzymywany.

ROZDZIAŁ XXIX

NA JAKI RODZAJ KARY SKAZANY BYŁ KORNELJUSZ VAN BAERLE

Kareta jechała cały dzień. Mijając Dordrecht na lewo, przebyła Rotterdam i o 5-tej wieczór stanęła w Delft, przebywszy blisko dwadzieścia mil.

Korneljusz zadawał pytania towarzyszącemu oficerowi, lecz jakkolwiek te były obojętnymi, pozostawały bez odpowiedzi.

Korneljusz żałował prawie żołnierza z Löwenstein, który nie dał się prosić, ażeby mówić, sam uprzedzał jego ciekawość.

Przepędzono noc w pojeździe. Nazajutrz o świcie, kareta minęła Lejdę, jadąc drogą, mającą z lewej strony morze Północne, a z prawej morze Harlemskie.

W trzy dni potem wjeżdżała do Harlem.

Pozostawimy ją tam i powrócimy do Róży.

Wiadomo, iż Róża i czarny tulipan, pozostawione zostały przez księcia pod opieką prezesa van Herysen.

Tegoż dnia wieczorem przybył do domu burmistrza, zapraszając Różę w imieniu księcia, ażeby się udała z nim do ratusza.

Tam zastała księcia w sali narad; siedział pisząc.

Był sam, u nóg jego leżał piękny chart fryzyjski, którego wzrok, ciągle zwrócony na swego pana, zdawał się przenikać myśl jego.

Wilhelm pisał jeszcze przez niejaki czas, poczem podniósłszy oczy spostrzegł Różę stojącą przy drzwiach.

— Zbliź się, panna — mówi pisząc.

Róża postąpiła parę kroków.

— W. K. Mość kazałeś mi przyjść.

— Dobrze — usiądź.

— Róża usłuchała go. Lecz zaledwie książę zaczął

znów pisać, powstała z miejsca rozumiejąc, iż niestosownie postąpiła.

Książę kończył swoje pismo.

W tymże czasie chart zbliżył się do Róży, łasił się.

— Ah, ah, — mówi Wilhelm — widać, że poznał swoją rodaczkę.

Poczem, zwracając się do Róży, z badawczym spojrzeniem, odzywa się:

— Moja córko — jesteśmy sami, możemy więc pomóc otwarcie.

Książę miał lat dwadzieścia trzy, Róża osiemnaście, właściwiej przeto byłoby, gdyby ją nazwał siostrą.

Róża drżała, pomimo, że w powierzchowności księcia malowała się łagodność i dobre usposobienie.

— Cóż W. K. Mość rozkaże?

Wszak masz ojca w Löwenstein?

— Tak, M. Książę.

— Czy kochasz go bardzo?

— Przyznaję, że nie kocham go tak, jak powinnam kochać.

— To źle moje dziecię nie kochać ojca, lecz to dobrze mówić prawdę swemu księciu.

Róża spuściła oczy.

— Z jakiej przyczyny nie kochasz ojca twego?

— Mój ojciec jest złym.

— W jaki sposób okazuje złość swoją?

— Mój ojciec źle się obchodzi z więźniami.

— Ze wszystkimi?

— Ze wszystkimi.

— Lecz głównie, czy nie to jest przyczyną twojej niechęci ku niemu, że postępuje zbyt surowo z jednym?

— Mój ojciec uwziął się szczególnie dokuczać panu van Baerle, którego...

— Który jest twoim kochankiem.

— Róża cofnęła się o krok.

— Którego kocham — odpowiedziała z dumą.

— Od jak dawna?

— Od chwili jak go poznałam.

— Kiedyż to było?

— Było to nazajutrz po okropnem morderstwie popełnionem na osobach Jana i Korneliusza Witt.

Usta księcia zawarły się, czoło się zmarszczyło, powieki się przymknęły, zakrywając oczy jego na chwilę.

Po chwili milczenia zapytuje.

— Lecz na cóż przyda ci się kochać człowieka, który jest skazany na wieczne więzienie?

— Postanowiłam los jego dzielić M. Książę — żyć z nim i umierać w więzieniu.

— I chciałybyś być żoną więźnia?

— Byłabym najszcześniejszą i najdumniejszą z niewiast, gdybym nosiła nazwisko van Baerla, lecz...

— Lecz co?

— Nie śmiem tego wyrazić W. K. Mości.

— W twoim głosie przebija się nadzieja... czegoż się spodziewasz?

Wzniósła swe piękne oczy na Wilhelma, oczy niewymownej przenikliwości i pełne powabu, które zdawały się wzywać miłosierdzia, uspiętego w posępnem sercu, snem podobnym do śmierci.

— Ah! pojmuję ciebie.

Róża uśmiechnąwszy się złożyła ręce.

— Masz więc we mnie nadzieję? — zapytuje księżę.

— Tak M. Książę.

— Hum!

Książę zapieczętował list, który pisał i zawołał jednego ze swych oficerów.

— Panie van Deken — jedź z tym do Löwenstein, przeczytasz wraz z gubernatorem to pismo i wykonasz moje rozkazy ciebie dotyczące.

Oficer skłoniwszy się wyszedł i wkrótce słyhać było tentent galopującego konia.

— Moja córko — mówi księżę, — w niedzielę przypada uroczystość tulipanów, a ta niedziela jest po jutrze. Oto pięćset guldenów na twój ubiór, gdyż życzeniem mojem jest, ażeby ten dzień był i dla ciebie uroczystością.

— Jakże W. K. Mość życzy sobie, ażebym była ubrana? zapytuje nieśmiało Róża.

— Spraw sobie ubiór weselny używany w Fryzji, będzie ci w nim do twarzy.

ROZDZIAŁ XXX

H A R L E M

Harlem, gdzieśmy przed trzema dniami przybyli z Różą a obecnie z więźniem, jest pięknem miastem, szczytącem się słusznie okazałością i pięknnością sadów i ogrodów.

Podczas, gdy inne miasta Holandji zakładały swoją wielkość na wystawianiu zbrojowni, warsztatów okrętowych, bazarów i składów, Harlem poprzestawało na stawie zasadzania najpiękniejszych drzew, wiązków rozłożystych, topoli wysmukłych; żadne miasto nie miało takich miejsc do przechadzek służących, ocienionych sklepieniami liści dębowych, lipowych i kasztanowych.

Miasto Harlem widząc, że Lejda jego sąsiadka i Amsterdam stolica dążyły, pierwsze, ażeby się stać szkołą, a drugie stolicą handlu Holandji, postanowiło ze swej strony poświęcić się rolnictwu, czyli raczej ogrodnictwu.

Miejscowe położenie wzgórzyste, świeżością powietrza i ciepłem słonecznym dostatecznie zaopatrzone, nadawało mu pierwszeństwo przed innymi miastami Holandji wystawionymi na morskie wichry i słońce równin i skłoniło ludzi poświęcających się ogrodnictwu do osiedlenia się w niem.

W Harlem więc zamieszkali przeważnie ludzie spokojnego umysłu, zamiłowani w płodach ziemi i domowem zaciszu, jak w Roterdamie i Amsterdamie osiedli czynni, przemyślni, z umysłem żywym, skłonny do przedsięwzięć i wypraw w odległe strony świata, jak wreszcie w Hadze ludzie światowi i politycy.

Wspomnieliśmy, że Lejda była miastem uczonych.

Harlem upodobało sobie sztuki piękne, muzykę, malarstwo i ogrodnictwo.

Harlem polubiło namiętnie kwiaty a pomiędzy temi pierwsze miejsce zajmowały tulipany.

Harlem wyznaczało nagrody za hodowanie i wydoskonalenie gatunków tulipanów w epoce naszej powieści; jak wiemy wyznaczono na 15 maja 1673 roku na cześć tulipanu czarnego bez skazy i wady, sto tysięcy guldenów nagrody dla wynalazcy.

Harlem odznaczywszy się tym sposobem w zamiłowaniu kwiatów a szczególnie tulipanów w czasach wojny i zaburzeń, Harlem wreszcie mając w swych murach ideał tulipanów, Harlem piękne miasto drzew i słońca, cieni i światła, Harlem postanowiło z okoliczności przyznania nagrody stu tysięcy guldenów wyprawić uroczystość, mającą pozostać w pamięci współczesnych i być przekazaną wspomnieniom potomności.

Holandja jest krajem uroczystości, nigdzie przyroda leniwa nie wzbudziła w ludziach podobnego zamiłowania do nich, jak w poczciwych holendrach.

Przypatrzymy się raczej obrazom dwóch Teniersów.

Ludzie leniwi są najzagozalszymi w znużeniu się, nie wtedy, gdy są przy pracy, lecz gdy się uciechom oddają.

Harlem było ożywione potrójną radością: i dlatego postanowiło obchodzić ją potrójną uroczystością; naprzód czarny tulipan był wynaleziony, powtóre książe Wilhelm zaszczycał miasto z tej okoliczności jako prawdziwy holender, nakoniec, dumą narodową chciała okazać francuzom, iż, pomimo niszczącej wojny i strat jakie poniosła, w roku 1672, pokład Rzeczypospolitej Batawskiej tak był mocny, że można było na nim tańczyć przy towarzyszeniu dział okrętowych.

Towarzystwo ogrodnicze harlemskie okazało się godnym reprezentantem dumy narodowej, wyznaczając nagrodę stu tysięcy złotych za cebulę tulipanu: Miasto Harlem nie chciało się okazać skąpszem i wyznaczyło podobną sumę na uczczenie narodowej uroczystości.

W niedzielę więc 15 maja widać było niezliczone tłumy mieszczan, snujące się po ulicach, wydając okrzyki radości i wesela.

Na czele towarzystwa ogrodniczego ukazał się prezes van Herysen przybrany w najkosztowniejsze suknie.

Zacny ten człowiek usiłował wszelkimi sposobami stać się podobnym do ulubionego kwiatu, przez zastosowanie barw ubioru swego do barw tulipana, co mu się nadspodziewanie udało.

Zwierzchnia suknia jego była z czarnego aksamitu, podobnie jak biret; przyczem odznaczała się białosc śnieżna kryz i mankietów koronkowych, inne części ubioru podobnie z czarnych jedwabnych materyj składające się, uzupełniały całość uroczystego przybrania prezesa, postępującego na czele, z potwornym bukietem w rękę, podobnym do tego, z jakim pan de Robespierre w sto dwadzieścia lat później szedł na uroczystość Najwyższej Istoty.

Z tą jednakże różnicą, że pocziwy prezes zamiast serce dumnego i zemstą pałającego trybuna francuskiego, posiadał w swych piersiach kwiat niewinny, jak najniewinniejszy z kwiatków, które niósł w swym rękę.

Za członkami towarzystwa ogrodniczego, którego całość podobną była kwiecistej łące, woniejącej jak w dniu majowym, postępowali uczeni, urzędnicy, wojskowi, szlachta i włościanie.

Lud, czyli pospółstwo w rzeczypospolitej holenderskiej, nie miał wyznaczonego miejsca. Jestto zresztą najlepsze miejsce, nie mieć żadnego w tłumie.

Nie był to pochód triumfalny Pompejusza lub Cezara. Nie obchodzono porażki Mitrydata ani podbicia Gallów. Pochód był spokojny, jak przejście stada owiec niewinnych, jak lot ptaków w powietrzu.

Wpośrodku tego orszaku woniejącego, widać było czarny tulipan niesiony na podstawie pokrytej białym aksamitem ze złotemi frendzlami. Czterech ludzi niosło drągi tej podstawy na barkach i zmieniali się często, tak jak w starożytnym Rzymie zmieniali się niosący posąg Cybelli, gdy to bóstwo sprowadzono z Etrurji od wiecznego grodu, przy odgłosie trąb i okrzykach ludu.

To uroczyste wystawienie tulipanu było czią oddaną przez lud nieoświecony i pozbawiony gustu, oświacie i gustowi sławnych mężów, których krew przelano na bruku w Buitenhof, których imiona zajaśniały na najpiękniejszych marmurach Panteonu holenderskiego.

Ksiązę statuder miał własnoręcznie doręczyć wynalazcy nagrodę stu tysięcy złotych, czego wszyscy byli ciekawi; a nadto gdy miał przy tej okoliczności coś przemówić publicznie, tego zarówno byli ciekawi tak przyjaciele jak i przeciwnicy jego.

Rzeczywiście, najobojętniejszą mowę człowieka politycznego, przyjaciele i nieprzyjaciele jego zawsze usiłują

tłomaczyć podług swoich widoków, pragnień i własnych myśli.

Nakoniec nadszedł wielki dzień 15 maja 1673; mieszkańcy miasta Harlem i okolicznych włości zgromadzili się wzdłuż chodników wysadzanych drzewami, tym razem nie myśleli poklaskiwać zwycięzcy lub uczonemu, lecz poprostu oddać zasłużone pochwały temu, który przyniewolił niejako tę płodnorodną matkę, zwaną przyrodą, do wydania na świat cudownego kwiatu w wyobraźni tylko dotąd istniejącego, to jest czarnego tulipanu.

Lecz nic nie jest tak zmienne jak postanowienie ludu, przyklaskiwać przedmiotowi obranemu przedwcześnie. Gdy miasto jest usposobione do poklasków, lub przeciwnie, niewiadomo na czym się zatrzyma.

Poklaskiwano zatem naprzód panu van Herysen i jego bukietowi, poklaskiwano Towarzystwu ogrodniczemu, winszowano sobie wzajemnie i powitano huczными okrzykami wyborową muzykę, która przygrywała na tej uroczystości.

Oczy wszystkich szukały bohatera uroczystości, przypatrzywszy się utworowi jego czyli tulipanowi.

Ten bohater, którego wymienił w swej mowie pan van Herysen, wzbudził powszechne zajęcie i słusznie, bo i nas możeby nie wiele zajmowała wymowa pana van Herysen, ani młodzi arystokraci, wyświeżeni i żujący cukierki, ani ulicznicy nawpół nadzy i leżący jak wędzone węgorze, podobne do kawałków wanilji. Wzrok nasz nie zatrzymałby się może nawet na świeżych twarzyczkach holenderek z rumianami policzkami i białem łonem, na tłustych kapitalistach, ani na wyżółkłych i chudych podróżnikach przybyłych z Jawy lub Cejlonu; nakoniec na pospółstwie, którego ulubionem pożywieniem chłodzącem są ogórki z miodem.

Wszystko to nie może nas zajmować, gdyż zwracamy główną uwagę na postać jaśniejącą radością człowieka, będącego w gronie towarzystwa ogrodniczego, wyświeżonego, w szkarlatnym ubiorze, przy którym odznacza się wydatniej żółtość cery jego i włos czarny.

Tym bohaterem dnia, który przyćmił swoją sławą mowę van Herysena i obecność Statudera jest to Isaak Bokstel, który postępuje z prawej strony poduszki aksamitnej, na której niosą czarny tulipan, a po lewej, w dużym wor-

ku, sto tysięcy guldenów w pięknej monecie złotej; dlatego też lewe oko Isaaka bezprzestannie zyzem patrzy.

Bokstel przyspiesza często kroku, ażeby się dotknąć łokciem pana van Herysen, Bokstel chce każdemu coś ująć dla przyczynienia sobie znaczenia, jako ukradł Róży tulipan, dla zjednania sobie sławy i majątku.

Za kwadrans spodziewano się księcia; orszak miał się zatrzymać przy urządzonem wzniesieniu, na którym miał być umieszczony tulipan obok potentata, dla którego przysposobiono siedzenie. Statuder miał osobiście wymienić nazwisko wynalazcy kwiatu, który na wieczne czasy zachowa nazwę tulipa nigra Buxtella.

Jednak Bokstel czasami odwraca wzrok od tulipanu i worka, spoglądając nieśmiało pomiędzy tłumy ludu, obawiając się czy nie dostrzeże bladej twarzy pięknej Fryzjki.

Byłoby to widmo, któreby mogło przerwać uroczystość, jak widmo Banka przerwało ucztę Makbeta.

Ten nikczemnik, który się dopuścił tyłu zbrodni, zacząwszy od usiłowania kradzieży w Dordrechcie cebuli czarnej tulipanów, aż do wykradzenia kwiatu z pokoju Róży, ten człowiek nie uważał się za złodzieja.

Bo on czuwał bezprzestannie nad tulipanem, on, zanim ścigał go od szuflady, w której był zachowany w suszarni, do rusztowania w Buitenhof; stąd pobiegł za nim do Löwenstein i tam od chwili jak go ujrzał na oknie Róży, ożywiało go swoim tchnieniem; miał więc niezaprzeczone prawo do niego, bo nikt z większą troskliwością nie śledził postępów wzrostu jego.

Prócz tego wszystkiego, nie dostrzegał Róży.

Bokstel uczuł niewymowną radość.

Orszak zatrzymał się nakoniec w pośrodku łuku, zakreślonego przepyszniemi drzwiami, przyozdobionemi girlandami i napisami; muzyka zaczęła przygrywać i młode dziewice w bieli wystąpiły naprzeciw tulipanowi, któremu towarzyszyć miały na wzniesienie, gdzie miał być wystawiony, obok złożonego krzesła przysposobionego dla Jego Książęcej Mości Statudera Holandji.

ROZDZIAŁ XXXI

W tej uroczystej chwili, gdy echo okrzyków radości odzywało się w różnych dzielnicach miasta, karetą przejeżdżała drogą poza drzewami otaczającymi orszak uroczysty; konie stępa iść musiały z przyczyny natłoku dzieci, które dorodzi mężczyźni i kobiety podpychali za siebie, pragnąc się zbliżyć do miejsca opisanego.

W tej karecie zapyłonej, ciągnionej przez strudzone konie, jechał nieszczęśliwy van Baerle, który przez okno drzwiczek mógł widzieć ten ruch miasta, który usiłowaliśmy opisać dokładnie.

Ta wrzawa, tłumy ludu, migające oblicza i barwy ubiorów zaćmiły wzrok więźnia jak błyskawica, któraby przenikła do jego więzienia.

Pomimo obojętności swego towarzysza podróży, którą mu ten dotąd okazywał nie odpowiadając na zadawane pytania dotyczące jego położenia obecnego, Korneljusz spróbował wszakże przemówić raz jeszcze do niego, powodowany ciekawością coby ten ruch w mieście oznaczał, nie domyślając się bynajmniej i nie mogąc przypuścić jego celu.

— Nie mógłbyś mi pan powiedzieć, co to jest? — zapytuje swego towarzysza.

— Zdaje się, że to jest widoczne — dziś święto i uroczystość w mieście.

— Ah! to święto i uroczystość — mówi Korneljusz głosem żalobnej obojętności, właściwym człowiekowi, któremu radość oddawna jest nieznaną i nadzieja odjęła.

Poczem, po chwili milczenia, gdy karetą postąpiła kilka kroków dodaje:

— Zapewne jest to święto patrona Harlemu, gdyż wiadać mnóstwo kwiatów.

— W istocie jest to uroczystość, w której kwiaty główną rolę zajmują.

— Oh!... jaka woń przyjemna, oh! co za powabne barwy! zawołał Korneljusz.

— Zatrzymaj się — zawołał oficer na pocztyljona ze współczuciem, właściwem wojskowym — niech się pan przypatrzy.

— Oh! dzięki ci panie — odpowiada melancholijnie van Baerle — z tem wszystkim dla mnie radość innych nie może być przyjemną; oszczędź mi pan więc tego widoku.

— Jak się panu spodoba — a więc jedźmy dalej. Kazałem się zatrzymać ponieważ sam tego żądałeś, mniemałem, że jako miłośnikowi kwiatów, nie będzie ci obojętną uroczystość, którą obchodzą.

— Więc to uroczystość kwiatów! jakiegoż gatunku?

— Tulipanów.

— Uroczystość tulipanów! — zawołał van Baerle — to ich święto?

— Tak panie, lecz ponieważ ten widok nie jest mu przyjemny, więc jedźmy.

I oficer wychylił się dla wydania rozkazu woźnicy.

Lecz Korneljusz go zatrzymał; przykre wspomnienie zrodziło się w jego umyśle.

— Czy to dziś — zapytuje drżącym głosem — ma być przyznana nagroda?

— Tak, nagroda za odkrycie czarnego tulipanu.

Lica Korneljusza zapłonily się; dreszcz przebiegł mu członki, krople potu wystąpiły na czole.

Poczem zasłoniwszy się, iż bez niego i jego kwiatu uroczystość nie będzie mieć miejsca, rzekł:

— Niestety, ci ludzie podobnie jak ja godni są pożałowania, gdyż ich nadzieje zawiedzionemi zostaną...

— Cóż pan chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć — mówi Korneljusz, ukrywając się w głębi pojazdu — że przez pewną osobą dobrze mi znaną, jedynie czarny tulipan może być odkryty.

— Otóż ta osoba, którą pan zna odkryła go, bo całe miasto w tej chwili właśnie przypatruje się temu, co pan uważa niepodobne do odkrycia.

— Czarny tulipan! zawołał van Baerle wychylając się za drzwiczki. — Gdzież on jest?

— Tam, czy widzisz pan to wzniesienie?

— Widzę...



Nareszcie! marzenia moje się spełniły...

— A teraz jedźmy dalej.

— Oh! zlituj się pan!... nie jedźmy jeszcze? dozwól mi się przypatrzeć! Jako? to co widzę miałoby być czarnym tulipanem... czy to podobne? Lecz może ma skazy, może jest tylko zafarbowany czarno? oh! gdybym był blisko, potrafiłbym rozpoznać! dozwól mi się przypatrzeć, błagam ciebie.

— Czyś pan oszalał! Czyż mogę zadość uczynić jego żądaniu?

— Błagam ciebie.

— Czy zapominasz, że jesteś więźniem?

— Nie panie; lecz wierzaj mi że jestem człowiekiem honoru; daję ci moje słowo, że nie ucieknę, nie będę usiłował uciec, dozwól mi tylko przypatrzeć się.

— Nie mogę... mam ścisły rozkaz.

I znów oficer zrobił poruszenie ku woźnicy.

Korneljusz zatrzymał go.

— Bądź cierpliwym i litościwym, całe moje życie zależy od twej litości. Niestety! moje życie wkrótce się zakończy. Ah! nie wiesz pan ile cierpię; nie pojmujesz udręczeń serca mego panie; gdyż — dalej mówi z uczuciem rozpaczony — gdyby to był mój tulipan! to jest ten, który skradziono Róży.

— Oh! czy pan pojmujesz, co to jest odkryć czarny tulipan, widzieć go przez chwilę, przekonać się że się udał, że to było arcydzieło przyrody i sztuki, a potem go utracić na zawsze!

— Oh! ja muszę go widzieć... muszę... zabijesz mnie pan jeżeli zechcesz, lecz muszę go ujrzeć, muszę...

— Milcz nieszczęśliwy, i skryj się wgłąb pojazdu, gdyż widzę zbliżającą eskortę J. K. Mości Statudera; i gdyby dostrzegł co wyrabiasz, byłbyś zgubiony i ja także. Van Baerle obawiając się narazić swego towarzysza na odpowiedzialność, skrył się wgłąb karety, lecz nie mógł pół minuty pozostać w tem położeniu, i zaledwie kilkunastu jeźdźców minęło karete, gdy ukazał się w drzwiczkach dając znaki i wzywając Statudera, który właśnie nadjeżdżał.

Wilhelm, z obojętnością mu właściwą, jechał zwolna, trzymając w ręku zwitek pergaminowy.

Spostrzegłszy człowieka, który zdawał się go błagać o ła-

Statuder kazał się zatrzymać swemu pojazdowi.

Woźnica stanął o sześć kroków od karety, w której siedział van Baerle.

— Cóż to znaczy? — zapytuje ksiązę oficera, który na pierwszy rozkaz Statudera wyskoczył z karety i z uszanowaniem zbliżał się do stopnia pojazdu księcia.

— Jest to więzień stanu, którego z rozkazu W. K. Mości zabrałem ze sobą z Löwenstein i przywiozłem do Harlem.

— Czegóż on chce?

— Prosił mnie usilnie, ażeby się zatrzymać przez chwilę.

— Ażeby się przypatrzeć czarnemu tulipanowi — zawołał van Baerle, składając ręce — a potem jak go zobaczę, gdy sprawdzę to co mam w myśli... niechaj umrę, jeżeli taka jest wola W. K. Mości... lecz dozwól mi ksiązę przed śmiercią błogosławić twoje imię, jeżeli zadość uczynisz mej prośbie i dozwolisz, ażeby moje dzieło nie zagięło na zawsze.

Był to ciekawy widok tych dwóch ludzi naprzeciw siebie wyglądających z drzwiczek, otoczonych strażą; jeden wszechwładny, drugi więzień, jeden bliski tronu, drugi bliski śmierci.

Wilhelm obojętnie patrzył na Korneljusza i słuchał próśby jego.

Poczem — odzywając się do oficera — mówi:

— To jest więzień, który chciał zabić dozorcę w Löwenstein.

Korneljusz westchnął i spuścił głowę. Jego łagodne oblicze zmieniło się i bladło jednocześnie. Te słowa księcia wszechwładnego, który już był zawiadomiony o zbrodni jego, zapowiadały mu nietylko karę nieodwołalną, lecz nawet odrzucenie próśby jego.

Nie śmiał zaprzeczać ani się usprawiedliwiać; ksiązę widział w nim uosobienie rozpaczy niemej i dotkliwej, którą serce wzniosłe i umysł jego niepospolity zdolne były ocenić.

— Możesz mu pozwolić wysiąść — mówi Statuder — niech się przypatrzy czarnemu tulipanowi, w istocie warto go widzieć raz w życiu.

— Oh! — zawołał Korneljusz, bliski omdlenia, i drżącymi krokami zstępując ze stopnia karety.

— Oh! Mości Książę...

Nie był w stanie wymówić więcej; i gdyby go ficer nie przytrzymał, byłby ukląkł i oddał czołobitność księciu.

Po tem zezwoleniu, książę jechał dalej wśród okrzyków radosnych ludu. Wkrótce ukazał się na wzniesieniu huk dział zwiastował jego przybycie.

ROZDZIAŁ XXXII

ZAKOŃCZENIE

Van Baerle strzeżony przez czterech żołnierzy, którzy mu torowali drogę pomiędzy tłumami, przybliżył się nakoniec do wzniesienia, na którym stał czarny tulipan.

Nakoniec go ujrzał, ten kwiat jedyny zrodzony pod wpływem tajemniczych kombinacyj, ciepła, chłodu, cienia i światła, ukazał się na kilka dni i miał zniknąć na zawsze. Stał przed nim w odległości kilku kroków, napawał się jego pięknnością i kształtem, ujrzał go stoczonego głodem dziewic stanowiących straż honorową. A jednakże im bardziej upewniał się na własne oczy o doskonałości kwiatu, tym bardziej serce jego przejmowało się boleścią. Spojrzawszy w około chciał zadać pytanie, jedno pytanie. Lecz zewsząd widział tylko nieznaną oblicza; oczy wszystkich zwrócone były na statudera, który zasiadł na tronie.

Wilhelm będący obecnie przedmiotem powszechnego zajęcia, potoczył spokojnym wzrokiem na wszystkie strony: przenikliwe jego oko zatrzymało się kolejno na trzech wierzchołkach trójkąta, tworzących trzy odmienne interesy i trzy dramaty. W jednym stał Bokstel, drżący z niecierpliwości, pochłaniający swoją uwagę księcia, worek z pieniędźmi, czarny tulipan i zgromadzenie.

W drugim Korneliusz, dyszący, niemy, w którego spojrzeniu dusza, serce, zajęte były wyłącznie czarnym tulipanem.

Nakoniec w trzecim, stała na stopniu, pomiędzy dziewczynami Harlemu, piękna Fryzonka ubrana w cienkiej wełnianej sukni pąsowej, bramowanej srebrem, w złotym kołpaku, z którego spadały koronki. Była to Róża, która się opierała na ramieniu oficera, z okiem łzami zroszonym, ledwo stojąca na nogach. Książę uważając, że słuchacze

jego uciszyli się, rozwinął z wolna pergamin, i głosem spokojnym, czystym, lubo słabym, lecz którego jedna nuta nie była straconą, dzięki religijnemu milczeniu panującemu pośród 50.000 widzów.

— Wiadomo wam w jakim celu zgromadzeni jesteśmy.

— Przyznano nagrodę 100.000 zł. wynalazcy czarnego tulipana.

— Tak, czarnego tulipana — i ten cud Holandji wystawiony jest tu w oczach waszych. Tak, czarny tulipan jest odkrytym i obejmuje wszelkie warunki wymagane przez towarzystwo harlemskie.

Historja tego kwiatu i nazwisko jego wynalazcy, zapisane zostaną w księdze honorowej miasta.

Niech się teraz zbliży właściciel czarnego tulipanu!

I to mówiąc rzucił wzrokiem na trzy wierzchołki trójkąta.

Widział Bokstela zeskakującego z pieńka.

Widział Korneljusza, mimowolnie postępującego krok.

Nakoniec widział Różę, prowadzoną, albo raczej popychaną przez oficera, który był jej dodany za towarzysza. Podwójny okrzyk dał się słyszeć z obu stron księcia.

Bokstel jak piorunem rażony, i Korneljusz w zachwyceniu, obaj zawołali jednocześnie.

— Róża! Róża!

— Ten tulipan do ciebie należy, dziewico? mówi książę.

— Tak M. Książę — odpowiada Róża, gdy szmer powszechny powitał z zachwyceniem jej urodę.

— Oh! — pomruknął Korneljusz — więc skłamała, mówiąc, że jej go skradziono! Dla tego też opuściła Löwenstein. Oh! jestem zdradzony, zapomniany przez nią, którą kochałem nad życie.

— Oh! wyjęknął Bokstel — jestem zgubiony.

— Ten tulipan — mówi dalej książę — będzie odtąd nosił nazwisko swego wynalazcy, i zapisany będzie w katalogo kwiatów pod tytułem: Tulipa nigra Rosa Baerlensis to jest z powodu nazwiska van Baerla, który przybierze ta panna od swego małżonka.

I w tejże chwili Wilhelm, wzięwszy Różę za rękę podał ją mężczyźnie, który poskoczył do stóp tronu, błydy, zmieszany, przygnieciony radością, aby dziękować księciu i swej narzeczonej, a przede wszystkim Bogu, który z wysokości Niebios błogosławił dwóm szczęśliwym sercom.

W tejże samej chwili padł u nóg prezesa van Herysen, drugi człowiek dotknięty odmiennym wzruszeniem.

Bokstel zawiedziony w swoich nadziejach, zemdłał.

Podniesiono go, lekarz puls pomacał, Bokstel umarł.

Ten wypadek nie przerwał uroczystości, gdyż księżę ani prezes nie myśleli się nim zajmować.

Korneljusz cofnął się z przestrachu: w tym złodzieju bowiem, w tym fałszywym Jakóbie poznał Isaaka Bokstel, swego sąsiada, którego w czystości swej duszy, nie posądził na chwilę, aby był zdolnym do podobnego postępku. Zresztą było to wielkiem szczęściem dla Bokstela, że Bóg zesłał mu apopleksję piorunującą, gdyż nie był świadkiem wypadków, które nastąpiły i które zadałyby cios śmiertelny jego dumie i chciwości.

Poczem, przy odgłosie trąb, orszak uroczysty wyruszył z powrotem w tymże samym porządku jak poprzednio. Co do osób jedna ubyła, to jest Bokstel, lecz natomiast dwie najgłówniejsze zajmowały powszechną uwagę: Korneljusz i Róża szli obok siebie, jaśniejący radością.

Nakoniec powróciwszy do ratusza, księżę, wskazując na worek ze 100.000 guldenów, mówi do Korneljusza:

— Trudno rozstrzygnąć, komu ma być przyznana nagroda, tobie czy Róży?

— Bo jeżeliś wynalazł tulipan, ona go pielęgnowała i u niej zakwitnął; byłoby niesłusznem, gdyby go tobie wniosła jako posag. Przytem jest to nagroda miasta Harlemu dla wynalazcy tulipana.

Korneljusz, w milczeniu, oczekiwał dalszych rozporządzeń księcia, który tak mówił:

— Ofiaruję z mej strony Róży 100.000 zł., które zasłużyła przez swoją miłość, odwagę i dobre prowadzenie. Co się tyczy ciebie, panie, dzięki Róży, która mnie złożyła dowód twej niewinności — i to mówiąc, podał Korneljuszowi ćwiartkę biblji, na której był napisany list Korneljusza de Witt, i w który był zawinięty trzeci nasiennik — co się tyczy ciebie, uznaliśmy, żeś był więziony za zbrodnię, której się nie dopuściłeś.

Jesteś więc nie tylko wolnym, ale nadto zwrócony mieć będziesz twój skonfiskowany majątek. Panie van Baerle! byłeś chrzestnym Korneljusza de Witt i przyjacielem Jana, zachowaj zatem w pamięci ich zasługi, gdyż ci mężowie, niesłusznie sądzeni i ukarani w chwili wzburzenia

umysłów, byli znakomitymi obywatelami, którymi Holandia wiecznie zaszczycać się będzie.

Książę, po tych ostatnich słowach, które wymówił przeciw zwyczajowi głosem wzruszonym, podał swe ręce do ucałowania narzeczonym, którzy przed nim przyklękli.

Poczem mówi westchnąwszy:

— Wy jesteście być może najszczęśliwsi, bo zajmując się rzeczywistą sławą Holandji, a mianowicie jej rzeczywistą pomyślnością, będziesz tylko myśleć o wynalezieniu nowych barw tulipanów.

I spojrzawszy w stronę Francji zasępił się, przewidując nowe burze gromadzące się z tej strony, poczem usiadł do karety i odjechał.

Korneljusz tegoż dnia wyjechał do Dordrechtu wraz z Różą, która wysłała do swego ojca starą Zug, dla zawiadomienia go o wszystkim co zaszło.

Łatwo wnieść można, poznawszy charakter Gryfusa, że nie zbyt chętnie pojednał się ze swoim zięciem.

Szczególniej zaś miał na sercu razy, któremi go obłożył, policzył je z łatwością, gdyż stwierdził, że miał 41 sińców i guzów; w końcu jednakże ułagodził się, nie chcąc się okazać mniej wspaniałomyślnym od J. K. Mości statudera.

Nie mogąc wyrzec się skłonności powołania swego poprzedniego, wyjednał sobie u zięcia posadę dozorca tulipanów, i bezwątpienia był najsurowszym strażnikiem kwiatów w Holandji.

Nie oszczędzał żadnego motyla, muchy, a nawet zabijał pszczoły. Dowiedziawszy się o występkach Bokstela, który go uwodził pod nazwiskiem Jakóba, zniszczył jego obserwatorium, będące za drzewem muru granicznego, który następnie zrzucony został, gdyż Korneljusz nabył posiadłość sąsiada, wystawioną na licytację przez spadkobierców jego.

Róża, codzien piękniejsza, codziennie korzystała z nauki męża, i we dwa lata tak dalece postąpiła, że mogła następnie zająć się sama wychowaniem dwojga dzieci, które w miesiącu maju 1674 i 1675, jednocześnie z tulipanami świat ujrzały i które nie sprawiły jej tyle dolegliwości i cierpień, ile sławny kwiat, któremu winna była swoje obecne szczęście.

Rozumie się, że jedno z tych dzieci było synem, drugie córką, jedno otrzymało imię Korneljusza drugie Róża.

Van Baerle pozostał wiernym Róży równie jak swoim tulipanom: przez całe życie zajmował się szczęściem swej żony i hodowaniem kwiatów; wynalazł wiele gatunków, które zajmują zaszczytne miejsce w katalogu holenderskim.

Za najgłówniejsze ozdoby salonu, uważane były przez oboje małżonków, dwie stronicy biblji Korneljusza de Witt, oprawione w złotych ramach i zawieszzone na ścianach; na jednej, jak wiadomo, był list Korneljusza zalecający mu spalić korespondencję z margrabią Louvois; na drugiej był testament Korneljusza van Baerle, w którym zapisuje Róży nasiennik, z warunkiem, by otrzymawszy nagrodę 100.000 guldenów, poślubiła młodzieńca od 26 do lat 28, którego by kochała i był jej wzajemnym; który to warunek ściśle został wypełniony, lubo Korneljusz nie umarł, i właśnie dlatego, że nie umarł.

Nakoniec dla oddalenia zawistnych, od których Opatrzność być może nie raczy go zawsze uwalniać tak cudownie, jak go oswobodziła od zabiegów mynhera Isaaka Bokstel, kazał wyryć napis nade drzwiami swego domu; były to słowa Grotiusa, który tenże skreślił na ścianie więzienia swego:

„Częstokroć cierpienia nasze doszły do tego stopnia, że nie mamy przyczyny nigdy powiedzieć: Jestem zbyt szczęśliwym“.

K O N I E C

SPIS RZECZY

ROZDZIAŁ I. Wdzięczność ludu	7
ROZDZIAŁ II. Dwaj bracia	15
ROZDZIAŁ III. Wychowaniec Jana de Witt	23
ROZDZIAŁ IV	31
ROZDZIAŁ V. Hodowla tulipanów i jego sąsiad	40
ROZDZIAŁ VI. Nienawiść hodowcy tulipanów	47
ROZDZIAŁ VII. Szczęśliwy człowiek zapoznaje się z nieszczęściem	52
ROZDZIAŁ VIII. Izba rodzinna	60
ROZDZIAŁ IX. Izba rodzinna	66
ROZDZIAŁ X. Córka dozorca więzienia	69
ROZDZIAŁ XI. Testament Korneljusza van Baerle	73
ROZDZIAŁ XII. Wykonanie wyroku	84
ROZDZIAŁ XIII. Co się wówczas działo w duszy jednego widza	87
ROZDZIAŁ XIV. Gołębie z Dordrechtu	94
ROZDZIAŁ XV. Drzwiczki	94
ROZDZIAŁ XVI. Nauczyciel i uczennica	99
ROZDZIAŁ XVII. Pierwszy nasiennik	105
ROZDZIAŁ XVIII. Kochanek Róży	112
ROZDZIAŁ XIX. Kobieta i kwiat	118
ROZDZIAŁ XX. Co się stało przez te dni osiem	127
ROZDZIAŁ XXI. Nasiennik drugi	135
ROZDZIAŁ XXII. Zazdrośnik	148
ROZDZIAŁ XXIII. Czarny tulipan przechodzi w inne ręce	155
ROZDZIAŁ XXIV. Prezes van Herysen	155

ROZDZIAŁ XXV. Członek towarzystwa ogrodni- czego	165
ROZDZIAŁ XXVI. Trzeci nasiennik	173
ROZDZIAŁ XXVII	182
ROZDZIAŁ XXVIII. Van Baerle przed opusz- czeniem Löewenstein załatwia rachunki z Gry- fusem	189
ROZDZIAŁ XXIX. Na jaki rodzaj śmierci ska- zany był Korneljusz van Baerle	195
ROZDZIAŁ XXX. Harlem	198
ROZDZIAŁ XXXI	203
ROZDZIAŁ XXXII. Zakończenie	210